

BIBLIOTEKA
PW
SP.
KRAKÓW

60557

21 11 193

OPOWIADANIA Z DZIEJÓW OJCZYSTYCH

DLA VI KLASY SZKÓŁ WWSZECHNYCH



LWÓW

WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH



WŁODZIMIERZ JAROSZ i ADOLF KARGOL

OPOWIADANIA Z DZIEJÓW OJCZYSTYCH

DLA VI KLASY SZKÓŁ POWSZECHNYCH

CENA ZŁ. 1·50

WRAZ ZE ZNACZKIEM NA TOWARZYSTWO POPIERANIA BUDOWY
PUBLICZNYCH SZKÓŁ POWSZECHNYCH



Chlebaczynski

LWÓW

WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
1934



60.554

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

UP - Kraków BG



1050305570

1. OPLAKANE CZASY

Zmierzch polskiej potęgi. Wkrótce po śmierci sławnego na cały świat króla Jana III Sobieskiego pokazało się, że Rzeczpospolita przestała być potęgą, którą była od 300 lat, t. j. od czasów grunwaldzkiej bitwy, a nawet, że stawała się zależną od coraz potężniejszych sąsiadów.

Niemają zawinili w tem następcy Jana III, dwaj królowie S a s i, t. j. księżęta niemieckiej Saksonji, A u g u s t II, i jego syn, A u g u s t III, ale więcej jeszcze winy ponosiła szlachta, bez której nic ważnego w kraju stać się nie mogło.

Sejm. W sejmie wodzili rej możni panowie, nasyłając doń swoich stronników, wybranych na sejmikach. Bo szlachta nie służyła już Ojczyźnie, ale bogatym i potężnym możnowładcom, a służyła za „czapkę i papkę“, t. j. za pański ukłon, za uścisk ręki i za ucztę albo inne wynagrodzenie. Tak wybrani posłowie zjeżdżali się na sejm. Obradował on zwyczajnie w Warszawie, na Zamku, w wielkiej sali, obwiedzionej z trzech stron galerją, jakby kościelnym chórem, gdzie gromadziła się publiczność, aby przysłuchiwać się obradom.

Nie było w nich ładu ni składu. Każdemu posłowi wolno było mówić, o czem mu się podobało. Kiedy więc np. Izba radzi o podatkach, jakiś poseł zaczyna rozwodzić się nad tem, że ktoś tam na jakiejś rzeczce zahamował żeglugę, wybudowawszy tamę dla swego młyna.

— Ależ mówmy, Miłościwi Panowie, o skarbie, od któregośmy zaczęli! Niepodobna radzić o wszystkim razem! — woła marszałek Izby.

Zrywanie sejmów. Napróżno. Poseł musi się wygadać. A sejm obraduje tylko przez sześć tygodni i to tylko co dwa lata. W dodatku zwykle bywa zrywany. Wystarczy, gdy jeden poseł zawoła: „nie pozwalam!“ albo po łacinie: „veto!“ —



Obrady sejmu

a wszystko, co przez parę tygodni z mozołem uchwalono, staje się nieważne.

Dawniej wyrzuconoby takiego posła z sali, ale za Sasów zawsze w Izbie było dość posłów, którzy takiego kolegę brali w obronę. Udawali, że bronią prawa: ponieważ prawo wymaga jednomyślnej zgody na ustawę, a jeden z posłów nie pozwala obradować, tedy zmuszali marszałka, by ogłosił sejm za nieważny. Tak im bowiem rozkazał pan, za którego „papkę“ wybrano ich na posłów; ten zaś czynił to już to z polecenia obcego rządu, który mu za to płacił, już to jedynie poto, aby nie dopuścić, by kto inny, a nie on, zasłużył się około dobra Rzeczypospolitej.

Pewien holenderski komedjant pokazał raz na przedstawieniu w teatrze, jak wygląda polski sejm: rozwiązał wór, pełen drobnego ptactwa, które poświegotało, szukając wyjścia ze sali i wreszcie drzwiami i oknami rozleciało się na wszystkie strony. Tak sejm, pogadawszy sobie, rozjeżdżał się do domu, a kraj pozabawiony skarbu i wojska, stał bezbronny wobec potężnych sąsiadów.

Król. Sejm „niemy“. Cóż jednak czynił król? August II myślał tylko o tem, jakby zaprowadzić w Polsce samowładne rządy, nakładać dowolnie podatki i wydawać je, jak francu-

ski Ludwik XIV, na dworski przepych, na zabawy i zwycięskie wojny. W tym celu saskie wojska, które przebywały w Polsce, zaczęły popełniać gwałty, rabując szlacheckie wsie i dwory i nie cofając się nawet przed rozlewem krwi. Działo się to z porady jednego z saskich generałów.

— Niech tylko szlachta porwie za broń — mówił do króla — wtedy Wasza Królewska Mość stłumi bunt i zacznie rządzić wedle własnego upodobania.



Król August II

Ale szlachta, zamiast pochwyć za broń, udała się ze skargą na króla do — cara Piotra Wielkiego. Ten pochwyił skwapliwie sposobność wmieszania się w sprawy polskie i pogodził szlachtę z królem. Stało się to na sejmie zwanym „niemym“, na którym posłowie, nie obradując, uchwalili żądania cara, by król powtórzył przysięgę, że będzie szanował prawa Rzeczypospolitej, i by Polska zmniejszyła ilość swego wojska do 24.000.

Odtąd car, pod pozorem obrony szlachty przed królem, miał prawo utrzymywania w Polsce znacznej siły zbrojnej.

Upadek oświaty. Cudzoziemszczyzna. Lekarz Augusta II, Niemiec, który jał się wydawania drukiem dawnych, po łacinie pisanych, kronik polskich, musiał zaprzestać tej pracy, ponieważ mało kto kupował wydawane przez niego książki.

Zapewne więc czytano książki pisane w polskim języku? I to nie. Szlachta przestała ciekawić się nauką: w szkołach, prze-

szło 100 lat nieulepszanych, uczono mało i źle, a do zagranicznych szkół dzieci nie wysyłano, gdyż w Polsce wierzono, że wszelkie urządzenia Rzeczypospolitej są najlepsze w świecie.

Mimo to weszło wtedy do Polski wiele cudzoziemskich zwyczajów, co prawda, mało przynoszących krajowi pożytku. Przede wszystkim za przykładem królewskiego dworu zaczęto się ubierać po francusku, który to strój w Polsce nazywano niemieckim. Nosił zaś francuski elegant płytkie buciki i pończochy, wąskie, krótkie spodeńki i frak albo kaftan do stanu, ze złocistemi galonami, t. j. naszyciami — do boku przypasywał prostą, cienką szpadę, którą szlachta pogardliwie zwała „rożnem“, a na głowę nakładał perukę z cudzych włosów i trójgraniasty kapelusz. Jeszcze chętniej, niż mężczyźni, nosiły się po francusku kobiety: na głowę nakładały wysoko utrefione i na białą upudrowane peruki i ubierały się w „rogówki“, t. j. szerokie, rozpięte na rogowych obręczach spódnice.

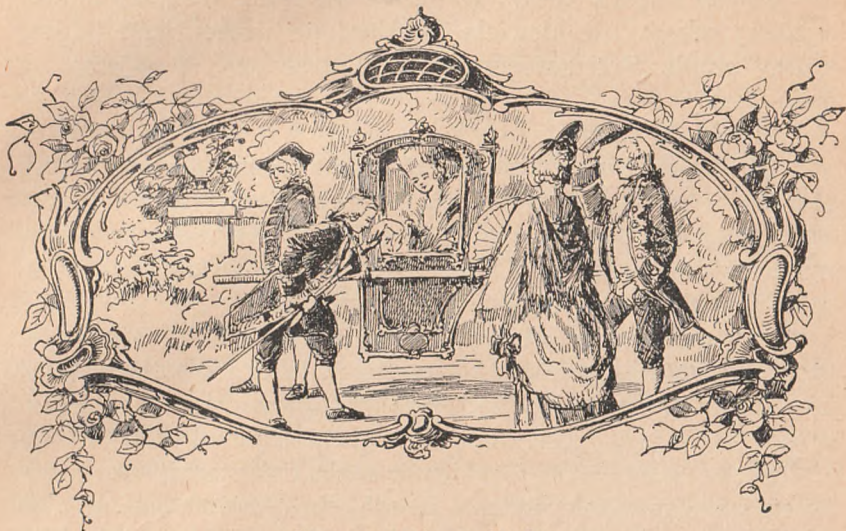
Za króla Sasa. Gorzej było, że w Polsce stały się głośnie pijatyki, które urządzano na królewskim dworze. Urządzano tam nawet t. zw. „puharowe wyścigi“: w kraju opowiadano, że kto prędzej i więcej wypił, otrzymywał od króla starostwa, pensje, a nawet ordery. Więc za przykładem dworu wielu panów



Stroje francuskie

i szlachty wstydziło się wstrzemięźliwości, a ubiegało się o sławę puharowego zwycięzcy.

„Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa“ — mawiano wtedy w Polsce i jedzono też, a jeszcze więcej pito i bawiono się, nie bacząc na coraz głębszy upadek Ojczyzny.

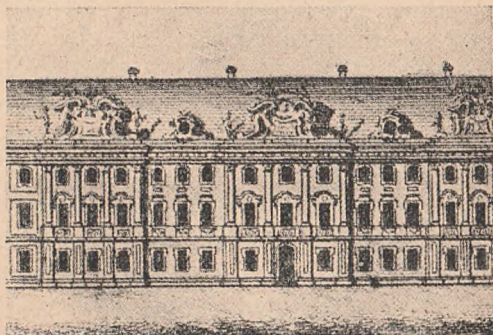


Scena z życia za Sasów

2. ŚWIATŁO WŚRÓD MROKÓW

Kasztelaniec nauczycielem. Niezwykły dla senatorskiego syna zawód obrał sobie kasztelaniec Stanisław Konarski. Skończywszy szkołę u Pijarów, wstąpił za pozwoleniem ojca do tego zakonu. Zostawszy księdzem, wyjechał na dalszą naukę do Rzymu, potem badał pilnie szkolne urządzenia we Francji, a wreszcie po powrocie do kraju, jał się wykonania dzieła, które oddawna obmyślał.

Oto, słusznie uważając, że kraj niełatwo podniesie się z upadku,



Kolegium „nobilium” w Warszawie

jak długo szlachta będzie się wychowywała w zastarzałych, złych szkołach, nakłonił swój zakon do tworzenia nowych szkół, zwanych kolegjami „nobilium“ czyli szlacheckimi.

Łacina i język polski. W Polsce zawrzało. Wszyscy mówili o nowej szkole. Ale niewielu ją chwaliło: więcej było takich, którzy ganili. Przedewszystkiem zarzucali jej, że pijarzy za mało uczą.

Skąd taki zarzut?

Oto stąd, że u pijarów mniej uczono łaciny, niż w szkołach starych, w których uczniowi nie wolno było nawet słowa powiedzieć po polsku i to nietylko podczas lekcyj, ale także po nauce, w rozmowie z kolegami; w ten bowiem sposób zmuszano młodzież do wprawiania się w języku łacińskim.

Dawniej było to potrzebne, przez długie wieki bowiem była łacina zrozumiałą przez wykształconych ludzi wszystkich narodów europejskich: w tym też języku spisywano wszelkie układy, zawierane między państwami. Ale od czasów Ludwika XIV takim międzynarodowym językiem została francuszczyzna, a gdy po łacinie poza szkołą nikt nie mówił, wprawa we władaniu tym martwym językiem stała się dla ludzi świeckich niepotrzebna. Jakoż w kolegjach „nobilium“ uczniowie nietylko mówili swobodnie po polsku między sobą, ale i na lekcjach: nawet bowiem gramatyki łacińskiej uczyli się z podręcznika, ułożonego po polsku przez ks. Konarskiego — a wkońcu, co stronnicy dawnych szkół uważali za niepotrzebną stratę czasu, pijarzy zadawali uczniom domowe pisemne ćwiczenia w ojczystym języku.

Tak więc ks. Konarski, chociaż nie przeznaczał dla polskiego języka osobnych lekcyj, jako dla przedmiotu nauki, to jednak był pierwszym, który język ojczysty wpuścił do polskiej szkoły.

Inne przedmioty. Ale ks. Konarski nietylko ukrócił w swoich kolegjach używanie łaciny, jako jedyne go języka wykładowego i towarzyskich rozmów. Uczynił więcej: odważył się nawet zmniejszyć ilość lekcyj łaciny, a czas w ten sposób uzyskany przeznaczył na naukę przedmiotów, których w starych szkołach albo wcale nie uczono, albo niewiele.

Jakież to były te przedmioty?

Polska nauka była w upadku, a u innych narodów, jak u Francuzów i Niemców, kwitła. Drukowano tam wiele i coraz więcej książek, z których można się było dowiedzieć o tem,

o czem w Polsce prawie nikt nie pisał: jak uczeni chcieliby, aby było urządzone państwo? jak zagranicą udoskonalono sztukę wojenną? jakie wymyślono przyrządy dla ułatwienia rękodzielniczej pracy? jak to tam gospodarzą na roli, że mają z półlanka więcej zbiorów, niż my z całego łanu?

Dlatego to ks. Konarski ukrócił naukę łaciny, grekę zupełnie usunął, a kazał uczyć języków żywych, francuskiego i niemieckiego, a nadto fizyki, t. j. nauki o przyrodzie i jej życiu: o niebie i ziemi, o powietrzu i wodzie, o burzy i piorunach, o świetle i głosie, o zwierzu i roślinie — i geografji, która opisuje ziemię i życie różnych na niej narodów — i historii, aby młodzież rozumiała, skąd wzięły się dzisiejsze urządzenia tak własne jak i innych oświeconych narodów — i matematyki, która i w życiu potrzebna i wyrabia bystrość umysłów młodzieńczych — i fechtowania i jeżdżenia konno i tańców, słowem wszystkiego, co szlachcicowi mogło być w życiu potrzebne.

Obyczajność. Ale pijarzy nietylko rozwijali umysł, nietylko nauczali wiadomości potrzebnych i pożytecznych: baczyli też pilnie, aby młodzieniec nabył u nich przyzwoitych obyczajów. Mieszkając w kolegjach i przebywając pod nadzorem profesorów, uczniowie brali z nich przykład przyzwoitości i układności. W osobnym statucie dla kolegjów ułożonym Konarski przepisał nawet, jak uczniowie mają rano wstawać, myć się, stać, chodzić, siedzieć. Zakazywał biegać po izbach i korytarzach, garbić się lub opierać się, stojąc przed starszym; rozwalać się, siedząc; czynić grymasy lub prostackie ruchy głową czy rękami, śmiejąc się.

Pamiętał również ks. Konarski i o tem, aby w niczem nie uchybić równości między wychowankami. Kiedy w starych szkołach synowie biednej szlachty bywali służącymi swych bogatych kolegów, a nawet za przewinienia swoich wojewodzciców czy starościców w zastępstwie za nich otrzymywali chłostę, to w kolegjum pijarskiem nie było panów ni ich sług; kto tam wchodził, wiedział, że „wszystkie różnice majątku czy urodzenia trzeba całe za kolegjum zostawić i o nich zapomnieć“ — jak nakazywały przepisy statutu ks. Konarskiego

Wychowanie obywateli. Najważniejsze jednak było to, że statut ks. Konarskiego, jako najgłówniejszą cnotę,

nakazywał uczniom posłuszeństwo, boć bez posłuszeństwa byłby bezrząd na świecie — a dalej żądał, aby uczniowie „często Ojczyznę na pamięć sobie przywodzili, jej miłością z młodych lat pałać poczynali“ i by kształcili się na pożytecznych obrońców i podpory Rzeczypospolitej.

Tak w opłakanych tych czasach u pijarów niejeden panicz pierwszy raz w życiu usłyszał, że ważniejsza jest Rzeczpospolita, niż jego pański ród, że to hańba, kiedy się wzbogaca swój dom, a kraj przyprawia o szkodę — i przeciwnie, że to zaszczyt pracować dla dobra Ojczyzny, nie patrząc własnej korzyści.



Medal na cześć ks. Konarskiego

3. SZKOŁA RYCERSKA J. KR. MOŚCI I RZPLTEJ

Dzieciństwo Tadeusza Kościuszki. W Mereczowczynie, powiecie słonimskim, w drewnianym, dochowanym do dziś dworku, urodził się za panowania Augusta III Tadeusz, syn dzierżawcy tej wsi, pana Kościuszki, potomka dawnych ruskich bojarów. Do dziś pokazują tam wielki kamień, koło którego lubiły bawić się dzieci dzierżawcy, ubrane skromnie, a odżywiane, jak cały dwór, „żytniami krupami“, jak czytamy w jednym liście matki Tadeusza. Nauczywszy się w domu czytać i pisać, został chłopiec oddany na kilkoletnią naukę do szkoły pijarów. Ojciec jego zmarł wcześniej; matka, kiedy sierota skończył naukę w kolegium, wystarała się o przyjęcie go do siedmioklasowej Szkoły Rycerskiej Jego Królewskiej Mości i Rzeczypospolitej, zwanej także Korpusem Kadetów, którą własnym kosztem założył w Warszawie król Stanisław August Poniatowski.

Nowicjat. Rycerska Szkoła mieściła się w pałacu na Krakowskim Przedmieściu, w budynku dzisiejszego Uniwersytetu. Tu więc zjawił się pewnego dnia 19-letni Tadeusz Kościuszko, aby przedstawić się komendantowi korpusu, generałowi księciu Adamowi Czartoryskiemu. Następnie obszedł wszystkich oficerów, a potem pokoje, zamieszkałe przez 20 kadetów tej brygady, do której go wcielono. Brygad było 4, razem więc szkoła liczyła 80 uczniów; brygadami komenderowali majorowie, zwani brygadjerami i ich zastępcy, kapitanowie i porucznicy, jako podbrygadjerzy.

Po wstępnym egzaminie Kościuszko, przyjęty do kl. V, otrzymał zwyczajne kadeckie wywianowanie od koszuli aż do koca i wałka, t. j. walcowatej poduszki, długiej na szerokość łóżka. Mundurem na codzień była ponsowa sukienna kurtka z mo siężnemi guzikami i białemi obszewkami, białe spodnie i trójkgraniasty kapelusz ze złotemi galonami i kokardą nad lewą skronią. Młodzieniec cieszył się myślą, że wkrótce za postępy w nauce otrzyma obszycia granatowe, potem mały złoty epolecik (naramiennik) z granatowym paskiem, później srebrny medal z napisem „za pilność“, wkońcu złoty z takimże napisem, a po roku nowicjatu paradny kadecki mundur i szpadę.

Dzienny rozkład zajęć. O 6 rano otwierały się wszystkie drzwi na I piętrze. Do sal wchodzili dwaj żołnierze: jeden uderzał w bęben, drugi grał na piszczałce. Na głos tej pobudki kadeci zrywali się z łóżek i wkrótce ubrani schodzili nadół, gdzie znajdowały się sale szkolne. W największej z nich ustawiali się, każda brygada w osobny rząd. Po przeglądzie, dokonany przez oficera, i cichej mszy w kaplicy schodzono do suterren (podziemia), do wielkiej jadalnej sali. Przed każdym kadetem stał w zimie cynowy kubek, napełniony grzanem piwem, zabielonem mąką, i kawałek chleba, a w lecie chleb z masłem bez piwa.

Po śniadaniu powrót na I piętro i powtarzanie lekcyj, a o 8 wszyscy siedzą w salach szkolnych. Prócz języków polskiego, łacińskiego, francuskiego i niemieckiego uczą tu: arytmetyki, geometrii, fizyki, geografji, historii powszechnej i polskiej, filozofji, prawa, ekonomji (nauki gospodarstwa państwowego), architektury, fortyfikacji (budowy twierdz), rysunków i tańców.



Rejtan (obraz Jana Matejki)

Pierwszy rozbiór Polski r. 1772. Zwycięzcy postanowili powiększyć swoje państwa ziemiami bezsilnej Polski i dokonali tego w r. 1772. Fryderyk II, król pruski, zagarnął Pomorze; Katarzyna II, cesarzowa Rosji, część Białej Rusi nad górnym Dnieprem i górną Dźwiną, a Marja Teresa, panująca w Austrii, kraj rozciągający się na północ od grzbietu Karpat po Wisłę, oraz dorzecze górnego Dniestru i górnego Bugu czyli tę ziemię, którą później w Austrii nazwano z łacińskiego, od dawnego królestwa halickiego — Galicją.

Jak powstał sejm rozbiorowy. Dokonawszy grabieży, państwa zaborcze zażądały, aby sejm oświadczył, że Polska oddaje owe ziemie dobrowolnie. Wiele jednak poczyniono zabiegów, aby sejm był posłuszny żądaniu wrogów. I tak zaborcy usunęli ze senatu 4 biskupów, 3 kasztelanów i jednego wojewodę, którzy nie chcieli Ojczyźnie, jak mówili „kopać grobu własnymi rękoma“, a izba poselska została wybrana pod bagnetami rosyjskimi i pruskimi. Zresztą wielu uczciwej szlachty, nie chcąc przykładać ręki do zbrodni rozbioru, usunęło się od wyborów.

Poniński. Ale i ten sejm nie byłby zatwierdził rozbioru kraju: wszak wystarczało „veto“ jednego posła, aby uczynić obrady nieważnymi. Aby do tego nie dopuścić, przekupili zaborcy jednego z posłów, zdolnego i wymownego, ale nieuczci-

wego, Adama Ponińskiego, aby zawiązał konfederację i zmienił w ten sposób sejm zwyczajny na konfederacki, któryby większością głosów uchwalił potwierdzenie rozbioru.

Posel nowogródzki. Kiedy jednak Poniński ogłosił w sejmie konfederację a siebie jej marszałkiem, w izbie ozwały się głosy oburzenia. Jeden z posłów wstaje i woła:

— Ani na marszałka, ani konfederację nie pozwalam! Przyzwani tu jesteśmy przez Jego Królewską Mość na sejm wolny!

Mówi to Tadeusz Rejtan, poseł nowogródzki, poczem chwyta za łaskę nieobecnego marszałka litewskiego i woła do Ponińskiego:

— Takim ja marszałek, jak ty!

Przy Rejtanie staje 10 jego zwolenników. Wrzawa rośnie. Poniński chce sprawę odwlec. Woła, podnosząc łaskę:

— Odraczam posiedzenie na jutro, na godzinę 9-tą!

— I ja odraczam także — woła Rejtan, podnosząc drugą łaskę — poczem posłowie rozeszli się.

Następnego dnia wczesną rano zjawił się w sejmie Rejtan z garstką zwolenników, a po kilku godzinach nadeszli stronnicy Ponińskiego. Wracają od króla, którego napróżno prosili, aby przystąpił do konfederacji. Znów więc odroczenie obrad do jutra, póki poseł rosyjski groźbami nie przyciągnie lęklivego króla na stronę zaborców. Posłowie ruszają ku drzwiom. Zrywa się Rejtan i zaczyna ich zaklinać na honor narodu, na miłość Ojczyzny i na ich własną, aby sobie samym krzywdy nie czynili i nie gubili Rzeczypospolitej. Jego mowa wstydzi jednych, gniewa innych; wielu rusza obojętnie ramionami. Z galerji schodzi publiczność, a między nią straż kolbami toruje posłom drogę ku wyjściu.

Wtedy Rejtan w uniesieniu rzuca się w drzwiach na ziemię, zaklinając na wszystkie świętości, aby się zatrzymano. Naokoło niego tłum skonfederowanych posłów. Jeden z nich przekracza leżącego, za nim inni. Sala opróżnia się. Zostaje w niej Rejtan przez resztę dnia i całą noc, aby okazać, że nie uznaje rozkazów samozwańczego marszałka.

Ale na drugi dzień król ustąpił przed pogróżkami rosyjskimi. Rejtan opuścił Izbę sejmową. Rozbiór Polski został zatwierdzony, a poseł nowogródzki z rozpaczyny wpadł w obłąkanie.

5. BOHATEROWIE DWU ŚWIATÓW

Powstanie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Niedługo po pierwszym rozbiórze Polski wybuchła wojna między Anglią a jej kolonjami, które ciągnęły się długim pasem na wschodnich wybrzeżach Ameryki Północnej.

Kongres czyli zgromadzenie przedstawicieli tych kolonij ogłosił ich niepodległość jako wolnego państwa pod nazwą Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Wodzem ich wojska został Jerzy Waszyngton, a ich wysłańcy zjednali swemu krajowi pomoc niektórych państw europejskich, zwłaszcza Francji, skąd prócz regularnych wojsk przybywali do Ameryki także liczni ochotnicy.

Kazimierz Pułaski. I Polska dostarczyła ochotników młodej



Popiersie Jerzego Waszyngtona

republice (państwu, na którego czele stoi wybierany co kilka lat prezydent). Ruszył więc za Ocean Kazimierz Pułaski, 30-letni szlachcic, najgłośniejszy z wodzów niedawnej konfederacji barskiej, wsławiony szczególnie bohaterską obroną Częstochowy przed Moskalami. Stawiając się za oceanem, został zamianowany generałem i otrzymał dowództwo nad całą amerykańską konnicą, składającą się zresztą zaledwie z paru pułków, źle uzbrojonych i niewyćwiczonych. Tę to konnicę usiłował Pułaski

usprawnić, tropiąc na jej czele wroga i próbując podjazdowej wojny, którą w czasie konfederacji barskiej wobec liczniejszego nieprzyjaciela skutecznie prowadził.

Spotkanie się rodaków. Niespodzianką było dla Pułaskiego zjawienie się pewnego zimowego dnia na jego kwaterze nieznanego mu rodaka. Był to Tadeusz Kościuszko. Wysłany podczas barskiej wojny do Francji na studia inżynierskie, powrócił do kraju po rozbiorze, a nie znajdując w Ojczyźnie zajęcia, wyjechał do Ameryki. Przyjęty do wojska jako pułkownik inżynierji, zdołał już oddać sprawie amerykańskiej duże usługi, umocniwszy fortyfikacjami Filadelfję, siedzibę Kongresu, i opracowawszy plan zatamowania Anglikom żeglugi w ujściu wpadającej pod Filadelfję do oceanu rzeki. Dowiedziawszy się o przybyciu sławnego rodaka, Kościuszko odwiedził konfederackiego wodza.



„Zdarzyła się nam pociecha — zapisał w pamiętniku pewien towarzysz Pułaskiego. — Tadeusz Kościuszko, będący w obowiązkach inżyniera, przyjechał do nas w gościnę. Nie miał zawieszistej miny, jak pan Kazimierz, ale widać było na jego twarzy pocziwość i otwartość szlachecką, a przytem był człowiek niezmiernie słodki i pełen wiadomości. Choć równego wieku z Pułaskim, nie znali się z sobą w kraju, ale tu oto pokochali się mocno, przyjaźń dożgonną sobie obiecując. Po dziesięciu dniach zabawy, podczas których, mimo biedy, wysadziliśmy się na traktament (gościnę) staropolski, odjechał Kościuszko do swego korpusu (oddziału)“.

Śmierć Pułaskiego. Nie opływał bowiem w dostatki Pułaski w Ameryce; toż nie przyjmował nawet płacy generała, aby zaznaczyć, że jest ochotnikiem, a nie najemnikiem. Wkrótce pozwolono mu utworzyć z ochotników własny oddział, złożony z piechoty i konnych. I chociaż niewielką ich garść znalazł, to jednak niedługo zasłynął jako nieustraszony wódz tego legjonu, jak nazwał swój oddział. Bił się naprzód na północy, potem o 1000 km stamtąd na południu, a wreszcie otrzymał rozkaz udania się pod miasto Savannah.

Jarosz i Kargol. Opowiadania. Kł. VI.



Kazimierz Pułaski

Zamknęło się tam parę tysięcy Anglików z silną artylerią, a opasały ich przeszło dwa razy silniejsze wojska amerykańskie i francuskie. Atak miał zacząć się po północy, ale był już dzień, kiedy Anglicy zobaczyli nadchodzących Francuzów i Amerykanów i przyjęli ich ulewą armatnich pocisków. Padł francuski wódz; jego wojsko cofa się. Widzi to Pułaski i sam, tylko z jednym kapitanem, pędzi na pole bitwy, chcąc swoją obecnością zagrażać Francuzów. Była to jego ostatnia bitwa: padł, rażony kulą

działową, a wyniesiony z bitwy, trzeciego dnia umarł.

Tak skończył swój żywot Kazimierz Pułaski, bohater dwu światów, t. j. starego, Europy, i nowego, Ameryki, a jak go w 130 lat po jego śmierci, odsłaniając jego pomnik w Waszyngtonie, stolicy Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, nazwał prezydent tegoż państwa: „rycerz z krwi i kości, syn rycerskiego narodu, rycerski w postawie i zwyczajach, mężny i nieustraszony, a zarazem pełen kobiecej łagodności i uprzejmości“.

Czyny Kościuszki. Pożegnawszy się owej zimy z Pułaskim, którego już nigdy nie miał zobaczyć, powrócił Kościuszek do swych prac, mniej głośnych od świetnych ataków konfederackiego wodza, ale niemniej korzystnych dla sprawy amerykańskiej wolności. Obwarowywał więc ważniejsze drogi, dokonywał pomiarów rzek i opracowywał plany zdobywania miast. Na wyżynie na północ od Nowego Jorku, w miejscu, obwarowywanem przez Kościuszkę, stoi dziś pomnik, wzniesiony na jego cześć ze składek amerykańskiej młodzieży akademickiej; fortyfikacje zaś, wykonane przez Polaka, były takie silne, że nieprzyjaciel nawet nie próbował ich zdobywać.

Jeden z najbliższych naczelnemu wodzowi generałów takie gwiadectwo dawał Kościuszce:

„Z niczem nie da się porównać jego gorliwość w służbie publicznej. Niestrudzony żadną pracą, nie lękający się żadnego niebezpieczeństwa, wyróżniał się bezprzykładną skromnością i nieświadomością, że dokonał czegoś niezwykłego“.

Po zwycięskiej wojnie Kongres polecił ministrowi wojny zamianować Kościuszkę generałem.

6. O KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ

Wady szkół zakonnych. Niektóre zakonne szkoły dokonały u siebie poprawy na wzór pijarskich. Ale nie wszystkie. Jeszcze długo po reformie Konarskiego było np. w Pakości, w Poznańskim, gimnazjum, w którym nie wolno było uczniom mówić po polsku nawet w domu; „stąd — opowiada w pamiętniku pewien tamtejszy uczeń — w całym mieście, poczynawszy od kucharek, a skończywszy na szewcu, wszyscy nauczyli się mówić tak zwaną kuchenną (czyli złą) łaciną, tak, że cała Pakość była jakby rzymską kolonią“. I nie było na to rady, bo nie było w kraju władzy nad zakonami, które słuchały tylko swoich cudzoziemskich generałów, t. j. zwierzchników, zależnych jedynie od papieża.

Złego sejmu dobry czyn. Wtem po kraju rozszedł się uniwersał czyli odezwa Komisji Edukacji Narodowej Korony Polskiej i W. Ks. Litewskiego. Wyszedł on z sejmu rozbiorowego, tego, jak go nazwał jeden z ówczesnych pisarzy, „najgorszego z sejmów“, który jednak prócz rzeczy złych przecie uchwalił jedną szczęśliwą ustawę.

Zaczyna się ona następującemi słowami:

„Ustanowienie Komisji, nad edukacją młodzi narodowej, szlacheckiej, nadzór mającej“.

„Ponieważ Ojciec Święty skasował Zakon XX. Jezuitów, którzy w kraju większą część edukacji (szkół) utrzymywali — więc, ażeby Rzplita (Rzeczpospolita) tak co do edukacji młodzi jakoteż co do dóbr i majątków, pozostałych po Jezuitach, nie ponosiła uszczerbku, takowe czynimy rozrządzenie:

„Ustanawiamy Komisję w Warszawie odprawować się (urzędować) mającą, do edukacji młodzi szlacheckiej“ — poczem uniwersał wymienia nazwiska członków Komisji, między nimi także księcia Adama Czartoryskiego.

„Odtąd — czytamy dalej — wszystkie akademje, gimnazja, szkoły publiczne, żadnych nie wyłączając, pod dozór Komisji tej oddajemy“ — a wkońcu uniwersał wzywa wszystkich przełożonych szkół, aby nadesłali Komisji dokładne opisy stanu swoich zakładów.

Nowy ustrój szkolnictwa. Tak więc na miejsce zniesionych razem z zakonem szkół jezuickich sejm 1) polecił utworzyć szkolnictwo państwowe i 2) w tym celu wybrał Komisję Edukacji Narodowej, której władzy poddał wszystkie szkoły, od najniższych do najwyższych czyli stworzył to, czego wówczas nigdzie w Europie nie było: najwyższą państwową władzę nad szkolnictwem, więc jakby dzisiejsze Ministerstwo Oświecenia Publicznego, które z dochodów dóbr pojezuickich miało szkoły utrzymywać.

Wiele dobrych ustaw uchwałyły dawne sejmy polskie przez 300 lat swego istnienia, ale niewiele z nich zostało dobrze wykonanych. Że jednak ta ustawa stała się dumą Polski, to było zasługą Komisji Edukacji Narodowej, która w kilkunastu zaledwie latach uczyniła daleko więcej, niż zamierzała uchwała sejmu. Większość sejmowa bowiem nie myślała o przekształceniu szkolnictwa: chciała jedynie przejąć na własność państwa szkoły jezuickie i zostawić je takimi, jak były — a tymczasem Komisja przerobiła do gruntu nie tylko te i inne zakonne średnie szkoły, ale również i akademje, a nawet najniższe szkółki, t. zw. parafjalne. Wszystkie tedy szkoły tego samego stopnia otrzymały jednaką ilość klas, jednolity plan nauk i przepisane przez Komisję podręczniki. Najwyższe, akademje, krakowska i wileńska, miały obowiązek zapomocą wizytacyj nadzorować naukę w 6-klasowych szkołach średnich, zwanych wydziałowemi. Tych miało być 10, po jednej w okręgu, zwanym wydziałem. Przełożony czyli rektor państwowej szkoły wydziałowej wizytował znajdujące się w jego okręgu 3-klasowe szkoły podwydziałowe, jakby dzisiejsze wyższe klasy szkoły powszechnej. Było ich w państwie przeszło 70, wypadało ich tedy na wydział przeciętnie po 7, a do przełożonych tych

szkół należał znów nadzór nad okolicznymi szkołkami parafialnymi.

Ks. Grzegorz Piramowicz. Najczynniejszym pracownikiem Komisji Edukacji Narodowej był Grzegorz Piramowicz, lwowianin, przedtem jezuita, potem ksiądz świecki. Był on członkiem „Towarzystwa do ksiąg elementarnych“, które powstało przy Komisji Edukacji Narodowej, aby dostarczyć szkołom dobrych podręczników. Ale ks. Piramowicz oprócz podręczników pisał także książeczki, w których wykładał sposób nauczania w nowej szkole i cel nauki.



Ks. Grzegorz Piramowicz

Przedewszystkiem nawoływał, aby nie bić uczniów, chyba za jakieś nadzwyczajne przewinienie; a tak po tysiącletnim panowaniu w szkole różga została z niej prawie wyrzucona.

Starsi podnieśli krzyk:

— Jakże więc młódź będzie słuchała nauczyciela?

— Nauczyciel będzie postępował tak, aby zjednął sobie miłość i ufność dzieci — znajdowali odpowiedź w pismach ks. Piramowicza.

Żądał Piramowicz zakładania szkółek na wsi: „Nie masz innego sposobu wyprowadzenia ludu z występków — pisał — jako: nowe pokolenia zaraz w początkach ich życia oświecać, drogę im cnoty ukazywać“.

Ks. Piramowicz pracował nad wychowaniem młodych Polaków tak, „żeby łatwiej było człowiekowi kochać cnotę, a obywatelowi stało się niepodobna nie kochać Ojczyzny“.

7. CZWARTKOWE OBIADY

Czwartkowi goście. Do powstania Komisji Edukacji Narodowej przyczynił się wiele król Stanisław August, który żywo zajmował się jej pracami, jak zresztą wszystkim, co miało na celu podniesienie w narodzie oświaty. Otoczył tedy nauki i sztuki piękne opieką, pobudzał utalentowanych ludzi do pisania i nagradzał autorów (twórców) mądrych i pięknych książek. Na rozmowy z nimi przeznaczył jeden dzień w tygodniu, i w ten dzień zapraszał uczonych i poetów do siebie na obiad.

Jakoż we czwartki około godziny 2 po południu zajeżdżały przed Zamek nie, jak zwykle, pańskie kolasy, obwieszane po bokach i z tyłu świetną służbą, ale zwyczajne dorożki. Wsiadali z nich przeważnie skromnie ubrani goście duchowni i świeccy, ci zwykle we frakach, perukach i przy szpadach, i dążyli do

sali na I piętrze, pełnej na ścianach obrazów, przedstawiających różne zdarzenia historyczne, i rzeźbionych popiersi sławnych Polaków, umieszczonych na pięknych podstawach pod ścianami.

Król. Wtem otwierały się drzwi i służba ogłaszała gościom nadejście króla.

„Nie jest on wzrostu wysokiego — opisuje go uczestnik jednego czwartkowego obiadu — ale tak szlachetnej postaci, że chociaż strój jego przepychem oczu nie zwraca, natychmiast



Król Stanisław August (portret Bacciarellego)

między dworzanami rozeznąć go trzeba. Miał na sobie mundur kadecki i order Białego Orła. Dosyć liczny otaczał go orszak: doktor nadworny, adjutant (przyboczny oficer), dwu szambelanów (dworskich urzędników) i dwu paziów. Staliśmy wszyscy rzędem; król do każdego przystępował, każdemu coś uprzejmo powiedział“.

Tak wyglądał ten pełen jak najlepszych chęci, a słabej woli król, niegodnie ulegający nakazom obcego posła, ale zarazem więcej, niż którykolwiek z jego poprzedników na polskim tronie, zasługujący na zaszczytne miano opiekuna nauk i sztuk, które też dzięki niemu doszły w czasach stanisławowskich do dawno niewidzianego rozkwitu.

Przy stole. Przywitawszy się z gośćmi, ruszał król do sali jadalnej; zaproszeni szli za nim. Przy okrągłym stole stawali obok siedzącego króla i za nim: dwaj szambelanowie, dwaj paziowie i królewski podczaszy, ubrany fałdziście, po polsku, w przeciwieństwie do wyfraczonych dworzan, podobnie odzianych świeckich gości i duchownych strojów księży. Wśród żywej rozmowy zabierano się do obiadu. Cenili ówcześni smakosze barszcz z uszkami, dumę królewskiego kucharza; po barszczu podawano wędliny, także kiszki i kielbasy — a nadto różne marynowane w occie mięsa i ryby, poczem podczaszy nalewał królewski kieliszek winem, przyczem i kieliszki gości były napełniane. Podczas jedzenia rozmawiano przeważnie o nowych budowach w Warszawie i o pracach królewskich gości.

Ks. Naruszewicz. Najznakomitszym uczonym czasów stanisławowskich był ks. Adam Naruszewicz, były jezuita, potem zamianowany przez króla smoleńskim biskupem, autor „Historji narodu polskiego od przyjęcia chrześcijaństwa“. Nakłonił go do pisania tego dzieła król. Kilkaście lat pisał ks. Naruszewicz 7 tomów swojej historji i przedstawił w niej dzieje ojczyzny aż do czasów Jadwigi i Jagiełły. Historja jego, w przeciwieństwie do wszystkich poprzednich, nie uznaje za prawdę pozmyślanych opowiadań o czasach przedchrześcijańskich, jak np. podania o Popiele, którego miały zjeść myszy. Podobno dało to raz powód do wielkiej wesołości na czwartkowym obiedzie. Było mianowicie, opowiada pewna sławna pisarka, w królewskiej piwnicy stare węgierskie wino, zwane przez króla „Popielem“. Otóż kiedy raz jeden z poetów

zabierał się do odczytania swego utworu, ucieszony król kazał podać „Popiela“. Ale z Naruszewiczem przekomarzał się: udawał, że nie chce mu dać wina, ponieważ historyk nie uznaje Popiela.

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedział podobno dziejopis — tego uznaję! — i skosztowawszy „Popiela“, dodał: — Zaiste! Prawdziwy! Jeszcze m y s z k ą traci! — na co wszyscy wybuchnęli długim śmiechem.

Ks. Ignacy Krasicki. O myszach i bajecznym Popielu pisał także żartobliwą wierszowaną opowieść najslawniejszy poeta czasów stanisławowskich, autor hymnu „Do miłości Ojczyzny“, ks. Ignacy Krasicki, który poezji polskiej przywrócił piękno, utracone po śmierci wielkiego Jana Kochanowskiego. Opisując wesoło wojnę myszy i szczurów z kotami, wyśmiał poeta kłótność polskich sejmów, mianowicie swary między senatem, t. j. szczurami, a izbą poselską czyli myszami.

Pisał też Krasicki bajki i zgrabne s a t y r y, w których wyszydzał wady swych bliźnich, nikogo zresztą po imieniu nie nazywając — i stał się nauczycielem swego narodu, pisząc powieści pouczające mową niewierszowaną czyli p r o z ą. W jednej z nich np. uczył, jak powinien żyć i pracować dla Ojczyzny szlachcie, choćby od niej oderwany przez rozbiór kraju.

Młody, dowcipny i mądry ksiądz stał się przyjacielem króla, który go też zamianował biskupem w a r m i ń s k i m i zawsze rad widział u siebie. Ale rozbiór kraju przydzielił warmińskie biskupstwo królowi Prus i odtąd rzadko już przyjeżdżał Krasicki do Warszawy.

8. O STANISŁAWOWSKICH SIEDZIBACH I STOLICY

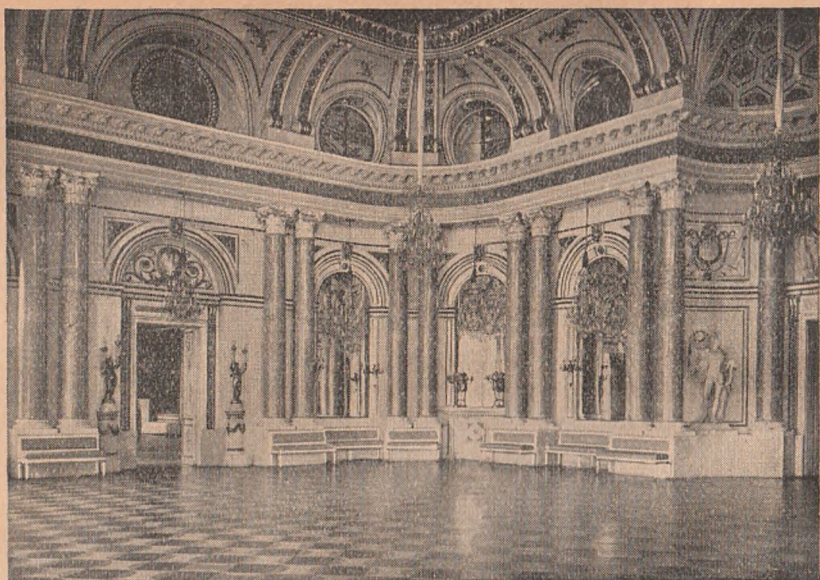
Królewska „malarnia“. Jak czwartki dla uczonych i poetów, tak środy przeznaczał król na obiady z artystami p l a s t y k a m i, t. j. malarzami, rzeźbiarzami i architektami. Byli to przeważnie ludzie obcy, sprowadzeni z Włoch i Francji; więcej bowiem jeszcze, niż nauka i sztuka słowa, były wówczas w Polsce zaniedbane sztuki plastyczne, zwłaszcza przez szlachtę, która niemi pogardzała, uważając je za zwyczajne rzemiosła.

Pomiędzy tymi cudzoziemcami najgłośniejszy był Włoch, Bacciarelli (Baczarelli), kierownik królewskiej „malarni“ na Zamku, czyli szkoły malarskiej, założonej przez króla; kształciło się w niej wielu młodych Polaków, między którymi nieraz godzinami przebywał król, przyglądając się ich pracom, chwalać, ganiąc i zachęcając.

Odnowienie wnętrza Zamku. Gdy w parę lat po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta pożar zniszczył wewnętrzne urządzenie Zamku, król przystąpił do odnowienia tej swojej siedziby. Plan nowego urządzenia opracował zdolny włoski architekt, ale trud swój podzielił z królem, który nie mało się natroskał, aby zamierzone dzieło było jak najpiękniej wykonane. „Wybiera, grymasi, poprawia i snuje nowe plany“ — skarżyli się na króla malarze i rzeźbiarze, którzy musieli mu przedstawiać coraz to inne projekty, t. j. plany obrazów, rzeźb i sprzętów. To też nie tylko wszelkie malowidła i rzeźby, ale także kominki, świeczniki, wazony, posadzki, a nawet klamki u drzwi były starannie obmyślane i najdokładniej wykonane według życzenia króla, który słynął w Europie jako wielki znawca sztuk pięknych. Po kilkunastu latach pilnej pracy został królewski Zamek nie tylko odnowiony, ale i tak upiękaszony, że budził w kraju ogólny podziw.

— Chyba Wersalowi ustępuje wspaniałością — mówili bywali zagranicą panowie i mieli słuszość, bo, jeżeli Wersal był o wiele większy od warszawskiego Zamku, to piękniej urządzonej królewskiej siedziby trudno było szukać w Europie; nigdzie bowiem wówczas nie zasiadał na tronie człowiek tak zamiłowany w sztukach pięknych i taki ich znawca, jak król Stanisław August Poniatowski.

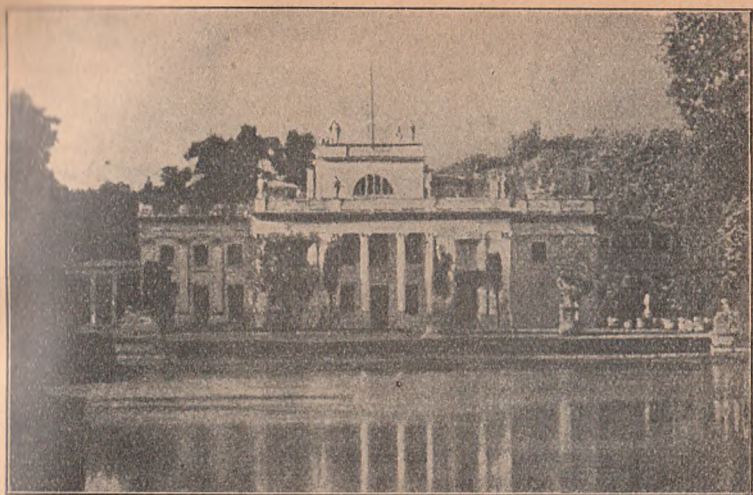
Sala balowa. Owe dwie znane dobrze czwartkowym gościom sale należały do skromniejszych na warszawskim Zamku. Wiele było wspanialszych od nich, jak np. tronowa, ale i tę przewyższała bogactwem i okazałością sala balowa, zwana także kolumnową. Wysoka na dwa piętra, miała w jednej ścianie szereg okien z pięknym widokiem na Wisłę, a w przeciwnej szereg wielkich zwierciadeł. Tak okna, jak zwierciadła i drzwi ujęto w wysokie kolumny: dźwigają one bogato ozdobiony gzyms, nad którym widać sufit, wypełniony przez Bacciarellego ogromnym obrazem.



Sala balowa na Zamku Warszawskim

Łazienki. Po odnowieniu Zamku zajął się król budową i urządzeniem pałacu w zakupionym od jednego z panów łazienkowskim parku. Był tam już niewielki budynek; do niego dodał włoski architekt dwa skrzydła, nad wszystkim nadbudował piętro, a nad niem dźwignął mur, zwany attyką, zasłaniający dach, podobnie, jak to widzimy nad głównym frontem pałacu wilanowskiego. Tak powstał prześliczny pałac, pełen wykwintu a przytem prostoty.

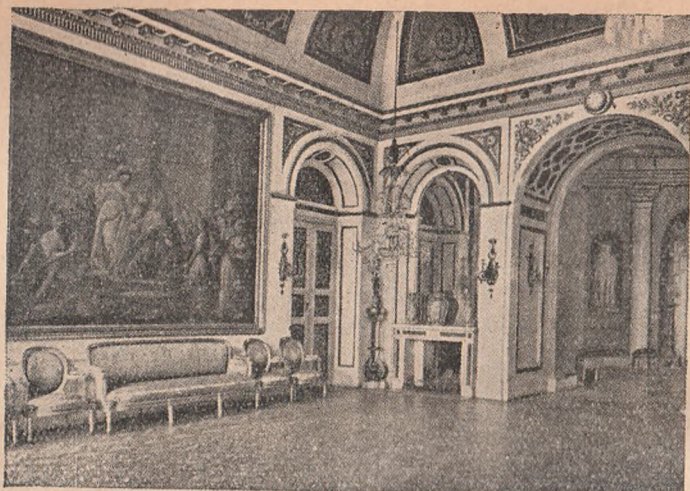
I tu, jak na Zamku, pracowali liczni malarze i rzeźbiarze. Rozmieszczono tedy wiele rzeźb na szczycie attyki, a także przed pałacem i w parku, wewnątrz zaś ozdobili głównie malarze. Pokryli oni obrazami ściany wielu sal; Bacciarelli — salę Salomona, zwaną tak dlatego, że przedstawił na jej ścianach różne zdarzenia z życia tego króla, któremu dał twarz Stanisława Augusta. Z okien tej sali widać rozległy staw, a za nim pomnik Jana III, przedstawionego jako starożytnego rzymskiego wodza, po parku zaś rozrzucono parę mniejszych pałacyków i aż trzy teatry, a nadto wybudowano ogrzewaną oranżeryję dla pielęgnowania krzewów pomarańczowych.



Łazienki. Widok zewnętrzny

Warszawa. Przykład króla zachęcił panów do budowania w okolicy Warszawy pałacików, okolonych pięknymi ogrodami, pełnymi umyślnie wykopywanych sadzawek, sztucznie z kamieni budowanych grot, sypanych pagórków, kopanych wąwozów, różnych altan i gaików. Także i w mieście wzrosła liczba pańskich pałaców, a jeszcze więcej mieszczańskich kamienic, których wybudowano w stanisławowskich czasach około 2000. Bo też na początku panowania Stanisława Augusta liczono mieszkańców stolicy 30 tysięcy, a przy końcu prawie 4 razy tyle. Zjawily się okazałe hotele, w których obcy mógł znaleźć pomieszczenie, nie potrzebując go, jak dawniej, szukać w prywatnych domach albo klasztorach, wybudowano pierwszy publiczny, dostępny dla każdego widza, teatr, pokazały się również pierwsze cukiernie. To też wiejski szlachcic z podziwem pisał o stolicy: „Miasto wielkie, zastępujące (zasłaniające) brzegi Wisły, jakby jaki las; czerwone dachy, kominy na domach wysokie równo z kościołami, ludzi nie widać boso, każdy z miną wesołą, ubrany, jak u nas w niedzielę“.

Ale i cudzoziemiec wychwalał Warszawę, pisząc o niej: „Zdumiewać się można nad mnogością pałaców, ze smakiem (ze znawstwem sztuki) i wspaniale wybudowanych. Są one wielkie, trwałe i piękne: ogrody, ozdoby sal, sprzęty, zbiory obrazów



Łazienki. Sala Salomona

świadczą o bogactwie i zamiłowaniu sztuki ich właścicieli“. A ruch w mieście taki, że „w dniu, kiedy jest posiedzenie sejmu albo bal, naliczysz więcej powozów w ciągu jednego dnia, niż w Berlinie za cztery tygodnie. Co do przepychu i wygody życia chyba Wiedeń może równać się z Warszawą“ — kończył Niemiec swoje zachwyty nad polską stolicą.

9. JAK KSIĄDZ REFERENDARZ URZĄDZIŁ SWOJE PAŃSTWO

Ks. Brzostowski. Bogatym panem był ks. Paweł Brzostowski, referendarz W. Ks. Litewskiego czyli członek tamtejszego nadwornego sądu. Stać było bogatego dygnitarza na kupno wielkich posiadłości, które rozciągały się na południowy wschód od Wilna, naokoło dawniejszego *M e r e c z a*, przezwanego od imienia nowego właściciela *P a w ł o w e m*. Około 20 wsi należało do tego pawłowskiego „państwa“, jak w Polsce było zwyczajem nazywać ziemskie posiadłości; prawie dwudziestu wsiom rozkazywał ze swego Pawłowa wszechwładny, jak każdy wówczas dziecko, ks. referendarz litewski.

Możny więc i bogaty był ks. Brzostowski, ale jakże inny od wielu, bardzo wielu możnych i bogatych panów!

Dwa światy. Nigdzie w Rzeczypospolitej nie była dola chłopów równie litości godna, jak na Litwie. Już za ostatniego Jagiellona pewien pisarz, podróżując po ziemiach litewskich, spotkał raz orzącego w niedzielę chłopów, a gdy go, zgorszony, zapytał, dlaczego nie święci dnia Pańskiego, usłyszał odpowiedź: „I w niedzielę jeść trzeba“. Już więc za Zygmunta Augusta były na Litwie okolice, w których chłop odrabiał tyle pańszczyzny, że, aby się wyżywić, musiał i w niedzielę pracować. A 200 następnych lat bynajmniej nie przyniosło poddanym polepszenia doli: owszem, pogorszyło ją jeszcze. To też, kiedy za panowania w Rzeczypospolitej króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, a za władania w państwie pawłowskim ks. referendarza Brzostowskiego jeździł po Litwie wysłannik Komisji Edukacji Narodowej, wtedy, przejechawszy blisko 100 mil po kraju, wszędzie widział, jak to potem opisał, „tylko nędzne walące się chaty i wywiedle ludzkie cienie“.

Dopiero, gdy wjechał w granice państwa pawłowskiego, odrazu, jak opowiada, „okropne nikły widziadła“, t. j. znikwały okropne obrazy. Wokoło zobaczył pola pokryte obfitym plonem, mieszkania czyste, płoty bez dziur, sady pełne drzew owocowych, w Pawłowie murowany ratusz, szpital i szkołę, wszędzie zaś ludzi schludnie ubranych, śmiało spoglądających, tak różnych od innych wieśniaków, jak człowiek wolny, „szczęśliwie żyjący, różni się od jęczącego w więzieniu“.

Pawłowska Rzeczpospolita. Cały ten kwitnący stan pawłowskiego majątku był dziełem ks. referendarza. Rozumiejąc, jakim dobrodziejstwem dla Polski mogłyby być jej ustawy, gdyby były należycie wykonywane, przepisał poprostu prawa wielkiej Rzeczypospolitej i nadał je swej małej — pawłowskiej. Tylko wolnego „veto“ nie wpuścił do Pawłowa, ani elekcji króla, ani jego bezsilności. Uczynił się dożywotnim wykonawcą praw w Pawłowie, ale zastrzegł sobie prawo usuwania niedołącznych urzędników, czego król z dostojnikami Rzeczypospolitej czynić nie mógł. Senatem w państwie pawłowskim została zwierzchność całej włości, t. j. wójt pawłowski, jego zastępcy po wsiach i inni urzędnicy, a izbę poselską stanowili wszyscy chłopcy z włości. Obrady tego „sejmu“ odbywały się w ratuszu; tam też zasiadał wybrany przez ludność sąd, tam urzędowała komenda milicji, jakby pospolitego ruszenia w Rzeczypospolitej, tam

wreszcie było stanowisko maleńkiej pawłowskiej artylerji, której także temu „państwu“ nie brakowało.

Gospodarstwo. Jak szlachcic w Rzeczypospolitej, tak w majątności pawłowskiej każdy wieśniak był wolny. Mógł się przenieść, gdzieby mu się podobało, a nawet, odchodząc, mógł sprzedać swoje budynki. Ale nie zdarzało się, aby kto dobrowolnie włość opuszczał, chyba, wyrokiem sądu skazany na wygnanie. Bo i pocóżby odchodził? Pańszczyznę ks. referendarz zniósł, a czynsz na który ją zamienił, był mały: za każdy dzień dawnej pańszczyzny chłop płacił dziedzicowi 8 groszy, które sobie zresztą odbierał z zarobkiem, zajmując się do pracy na gruncie dworskim za 10—12 groszy dziennie. W dodatku miał zadarmo szkołę i szpital, na które gmina niewiele łożyła, ponieważ ks. referendarz wyposażył je hojnym zapisem 30.000 złotych, z których dochód wystarczał na opłacanie nauczyciela i felczera, leczącego chorych w szpitalu i po domach całej włości.

Czy jednak ks. Brzostowski, płacąc więcej najemnikom, niż mu płacili czynszu, nie stracił dochodów ze swoich dóbr?

Bynajmniej. Wolny najemnik pracował za pieniądze ochotniej, niż dawniej poddany za darmo. To jedno. Drugie, że jeszcze ochotniej pracował on na swoim, niż za pieniądze na cudzem. A praca dawała zamożność, a zamożność pragnęła większych wygod, a wygody kosztują. Rósł tedy handel w pawłowskiej majątności, a z jego wzrostem dzierżawcy sklepów płacili dziedzicowi coraz większe czynsze, skąd poszło, że urządzenia ks. Brzostowskiego nie tylko nie pomniejszyły jego dochodu, ale owszem zwiększyły go o kilka tysięcy złotych rocznie.

W sądzie. W ratuszu odbywa się sąd. Dawniej miał on wiele zajęcia, kiedy szerzyło się w włości pijaństwo i bójki, a po chatach mieszkano po parę rodzin, wśród których wybuchały swary z powodu lada przesunięcia garnka przy ogniu. Ale teraz każda rodzina ma swą własną chatę, a pijaństwo prośbą i groźbą wypenił mądry ks. referendarz. Kogoż więc i za co ciągną do sądu? Oto jeden z gospodarzy, paląc fajkę, wyszedł z chaty do obory, co wówczas pociągało za sobą surowe kary.

Ale choć sąd ukarał winnego tylko słowami ks. referendarza, który cielesnemi karami się brzydził, a pieniądze polecał nakładać dopiero za uparte powtarzanie przestępstwa, to jednak

człowiek, zawstydzony słowami mądrego pana, wystrzegał się do końca życia wychodzenia z fajką w zębach z chaty.

Tak ks. referendarz wychowywał obywateli pawłowskiego państwa.

10. O „WIELKIM PIECU” PANA PODKANCLERZEGO

Królewska troska. Traktem, t. j. drogą, nieokopaną rowami, przecinającym powiat chęciński, toczyła się bryczka, na której siedziało dwu szlachty.

— Dwór, a nie dwór — rzekł jeden z nich, obcy w tych stronach szlachcic, wskazując na dalekie przed nimi budynki, między którymi dymił szeroką gardzielą komin.

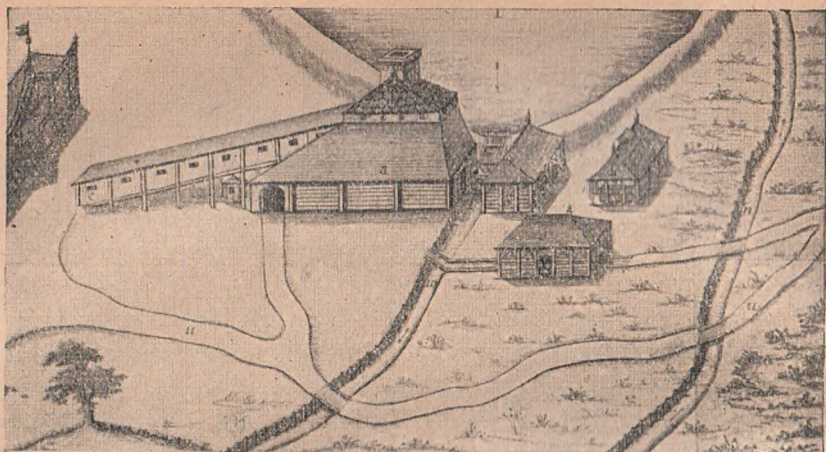
— To wielki piec w Antoninowie — odpowiedział drugi. — Huta żelazna.

— Czyjaż to posiadłość?

— To starostwo podkanclerzego koronnego, pana Jacka Małachowskiego. Wielu panów buduje pożyteczne krajowi fabryki. I książdz biskup krakowski i kanclerz koronny i podskarbi litewski pan Tyzenhaus, i inni, a wszyscy za staraniem Króla Jegomości, który ich do tego zachęca, własnego worka nie żałując. Sam, z własnych pieniędzy opłaca uczonych, biegłych w mineralogji czyli nauce o skałach i corocznie rozdaje kilkadziesiąt tysięcy złotych pomiędzy nowe kopalnie, bo wiadomo, że dobywanie kruszców wymaga niemałych wydatków, zanim okażą się zyski.

Antoninów. Przejezdni nierzadko zatrzymywali się w Antoninowie, aby obejrzeć wielki piec pana podkanclerzego.

Nad stawem wznosił się wielki drewniany budynek z pięterkiem pokrytem glinianą dachówką, z której wystawał szeroki komin, dzień i noc ziejący dymem. Był to właśnie ów wielki piec. Palono w nim węglem drzewnym. Ten wydziela zamało ciepła, potrzebnego do stopienia żelaznej rudy; aby więc otrzymać należyty żar, trzeba było ogień podsycać miechami bez ustanku dmuchającymi w ognisko wielkiego pieca. Siły potrzebnej do poruszania miechów dostarczał staw: na obrazku na następnej stronie widzimy staw u góry a potok, obracający koło i przez nie poruszający miechy, przepływa pod samą ścianą na prawo od wielkiego pieca.



Wielki piec w Antoninowie

Jak z prawej strony potok dostarczał miechom siły, tak z lewej, pochyłym pomostem, dostarczano piecowi materiału, t. j. węgla, rudy i potrzebnego do wytapiania żelaza wapna. Wędrował ten materiał na piętro, do t. zw. szychtarki, oświetlonej małemi okienkami, widocznymi na obrazku nad dolnym dachem. Było to poddasze o niskich ścianach, pełne zwałów materiału, który zasmoleni robotnicy co pewien czas wsypywali wielkimi koszami do otworu, zięjącego w ścianie komina. Naprzód wsypywali warstwę węgla, na nią drugą — rudy, a wreszcie trzecią — wapna. Uczyniwszy to, robotnicy mówili, że „zrobili szychtę“; takich szycht bywało w ciągu doby ponad 20.

Na dole sapaly miechy, a prąd powietrza pędzony przez nie w palenisko, podsyczał i wzmagał żar ognia. Obok paleniska tkwiła w ziemi zaprawa: długie na 2 metry a parę decymetrów szerokie wgłębienie, zbudowane z kamieni, do którego leniwie ściekała rozżarzona do białości płynna ciężka masa.

— A cóż się dzieje — zapytywali zwykle zwiedzający hutę — kiedy się zaprawa wypełni?

— Wtedy powstaje gęś — padała niezrozumiała dla gości odpowiedź, poczem następowało jej wytłumaczenie.

Oto tuż obok bruzda, wysypana mokrym piaskiem, do której spuszcza się z zaprawy płynne żelazo, aby wystygło. W ten

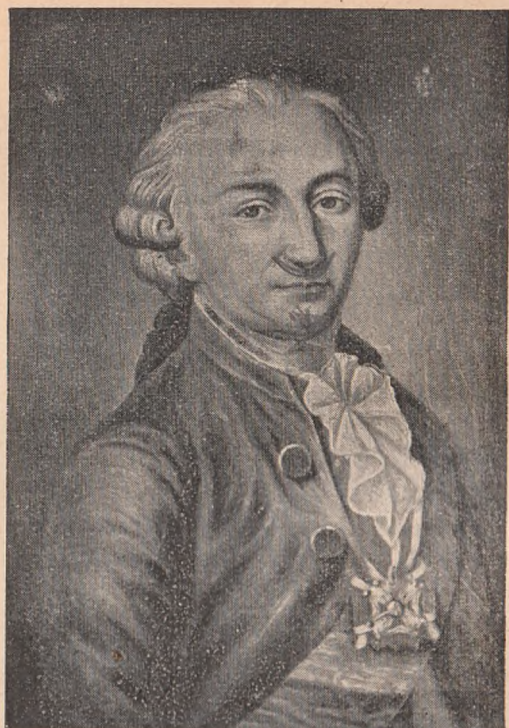
sposób powstaje trójkątny kawał metalu, zwany przez hutników „gęsią“, który następnie wędruje do wagi umieszczonej na dworze, pod pochyłym pomostem, poczem otrzymuje kredą napisać, ile waży i jako gotowy do handlu towar idzie do magazynu.

Przemysł żelazny. Wielki piec w Antoninowie wytapiał około 100 cetnarów żelaza tygodniowo czyli najwięcej żelaza ze wszystkich pieców w Polsce. Ale pracował czyli „szedł“ tylko przez trzy czwarte roku; w lecie, podczas posuchy, koło na potoku stawało — miechy przestawały pracować i huta odpoczywała. Oprócz antoninowskiego pracowało w Polsce za Stanisława Augusta kilkadziesiąt wielkich pieców. Było nadto w kraju prawie drugie tyle małych dymarek, podobnych do pieców w kowalskich kuźniach; razem wszystkie wielkie piece i dymarki wytapiały rocznie kilkadziesiąt tysięcy cetnarów żelaza, z czego sam Antoninów wytwarzał prawie 15-tą część.

Tak więc dzięki zachodom troskliwego o przemysł króla niewiele tylko materiału wwoziła Polska dla swych żelaznych fabryk, które wytwarzały w kraju towary dotychczas sprowadzane z zagranicy. I król bowiem i panowie pobudowali różne fabryki żelaznych narzędzi, jakoto gwoździ, pługów, kós, karabinów, strzelb, pistoletów, szabel i innych wyrobów, za które przedtem corocznie wychodziły zagranicę miliony złotych i bogaciły cudzoziemskich przemysłowców i kupców.

11. O SEJMIE CZTEROLETNIM

Konfederacja. Nie dożył ks. Konarski tej chwili, kiedy w kilkanaście lat po pierwszym rozbiórce dawni wychowankowie jego szkół, związani w stronnictwo, zwane p a t r j o t y c z n e m, skorzystali z niezgody, wybuchłej między zaborcami, i jęli się dzieła naprawy Rzeczypospolitej i uwolnienia jej od rosyjskiej zależności. Aby sejm, na którym miano tego dokonać, uchronić przed zerwaniem, postanowili go posłowie stronnictwa patrijotycznego poddać pod prawa konfederacji. Wiele w tem pomógł im król, którego sobie zjednali; zwolennicy starego bezrządu nie śmieli się sprzeciwiać, kiedy Stanisław August oświadczył się za konfederacją, wskazując, że nadeszła stosowna chwila do ratowania Ojczyzny.



Stanisław Małachowski

— Czas to jest —
kończył swą mowę —
daj Boże, żeby nie
ostatni, z którego naj-
usilniej korzystać na-
leży, aby siły narodu
pomnożyć.

Tak mówił król,
poczem zaprosił sej-
mujących do przystą-
pienia do konfederacji.
Bez sprzeciwu wybrani
zostali na marszałków
dwaj zwolennicy na-
prawy: z Korony Sta-
nisław Małachowski, a z Litwy Kazi-
mierz Sapieha —
poczem zaczęły się
cztery lata trwające
obrady wiekopomnego
sejmu, który dlatego
zwiemy czterolet-
nim albo wielkim.

Uchwalenie 100 tysięcy wojska. Na jednym z pierwszych posiedzeń sejmowych pewien senator postawił wniosek powiększenia wojska do liczby 100 tysięcy. Wniosek został natychmiast uchwalony.

— Zgoda! Zgoda! — wołali senatorowie, posłowie, publiczność, zwłaszcza panie, oklaskujące z galerji nową ustawę i wywijające z radości chustkami i szalami.

Z tronu przemówił król. Był wzruszony „zgoda serc i umysłów“, dawno w sejmie niewidzianą, ale obawiał się, czy znajdują się pieniądze na utrzymanie tak wielkiego wojska.

I słuszny był niepokój króla, bo, aby utrzymać tak liczną armję, musiałyby szlachta nie żałować pieniędzy na podatki, większość zaś jej nie miała chęci ponosić tak dużych ciężarów.

Czarna procesja. Szczęśliwiej załatwił sejm 4-letni sprawę podniesienia z upadku miast. Oto prezydent Warszawy, Jan

Dekert, człowiek bogaty, światły i wytrwały, zwołał przedstawicieli królewskich miast do Warszawy; tu ułożywszy na piśmie żądania swego stanu, ruszyli mieszczenie do króla i sejmowego marszałka. Ów pochód przeszło 250 przedstawicieli miast, ubranych wedle przepisu obowiązującego mieszczen, w czarne szaty, nazwano w Warszawie czarną procesją.

Zjawieniem się swoim pod Zamkiem wprawiła procesja w przerażenie zwolenników dawnego bezrządu. W tym bowiem czasie wrzała we Francji krwawa wojna domowa, wszczęta przez mieszczaństwo, zwana wielką rewolucją, i obrońcy polskich przywilejów szlacheckich obawiali się, aby czarna procesja nie stała się początkiem rewolucji na wzór francuskiej. Ale mieszczenie nie myśleli o objęciu władzy w Polsce: prosili tylko o dopuszczenie przedstawicieli miast do sejmu i przywrócenie im dawnych miejskich praw, a przedłożywszy swoje pismo, rozjechali się do domu.

Obrady nad prawami miast. Długo jednak większość posłów, obrońców dawnych szlacheckich przywilejów, nie zgadzała się na przyznanie miastom żądanych praw.

— Królu — wołał jeden z nich — pomnij! Kiedyś był szlachcicem, czy posłował mieszczenin z Tobą? Zostawmy mieszczen w dawnym ich bycie! Niech będzie, jak bywało! Wieki tak Rzeczpospolita przetrwała — wieki podobnież trwać będzie!

Ale przyjaciele miast mówili rozsądniej:

— Trzeba zadowolić miasta — tłumaczył jeden z nich. — Szlachta sama nie obroni Rzeczypospolitej! Gdyby mieszczenie nie byli uciśnieni, staliby zawsze przy nas i aniby dozwolili wywozić z Warszawy biskupów i senatorów!

Inny poseł chciał pozwolić mieszczenom kupować dobra ziemskie.

— Cóż mieszczenin ma uczynić — pytał się — skoro dorobi się fortuny? Chyba zagranicę się wynieść! Czyż nie lepiej go zatrzymać i przez posesję (posiadanie dóbr) związać z krajem?

Tak pouczali patryjoci starą szlachtę, którą zwali „weteranami“, i wreszcie doprowadzili do uchwalenia t. zw. „prawa o miastach“.

Prawo o miastach. Dawało ono mieszczeninowi wolność osobistą: bez wyroku sądu nie wolno odtąd było więzić mie-

szczanina, podobnie, jak szlachcica. Dawne miejskie sądy, wybierane przez mieszczan, zostały przywrócone, tak samo zarząd miasta przez miejską radę. W sejmach miało odtąd zasiadać 20 posłów z miast, zwanych plenipotentami, którzy mieli prawo głosować we wszystkich sprawach miejskich; przyznano też mieszczanom dostęp do urzędów, do stopni oficerskich i wyższych godności duchownych, i prawo posiadania dóbr ziemskich. Prawa te otrzymały tylko miasta królewskie; dola miast prywatnych, t. j. szlacheckich, pańskich i duchownych, zależała nadal od dobrej woli ich właścicieli.

Zbratanie stanów. Dzielną przewodcą czarnej procesji, prezydent Dekert, nie doczekał się prawa o miastach. Umarł przed jego uchwaleniem i nie on, ale już jego następca w godności prezydenta stolicy przyjmował marszałka Małachowskiego i wielu innych panów i szlachty, kiedy przybyli do ratusza, by wpisać się do księgi warszawskiego mieszczaństwa.

12. O JULJANIE URSYNIE NIEMCEWICZU

Posel inflancki. Pomiędzy posłami, należącymi do stronnictwa patryjotycznego, znajdował się młody, wybrany przez szlachtę inflancką, Julian Ursyn Niemcewicz. Kształcił się w Korpusie Kadetów, a potem jako adjutant ks. Czartoryskiego zwiedził razem z nim Niemcy, Włochy, Francję i Anglię. Bogactwo tych krajów i potęga niektórych z nich pobudziły go do tem gorętszej miłości jego biednej, osłabionej Ojczyzny; jej służyć wszystkimi swojemi siłami — stało się odtąd zadaniem byłego kadeta przez całe 60 lat jego dalszego życia.

Obrońca uciśnionych. Pierwszą większą mowę wypowiedział w sejmie w obronie chłopów, na których wielu szlachty zwałoby obowiązek płacenia podatku, uchwalonego na powiększenie wojska. Żądając ustanowienia takich sądów, przed którymi chłop mógłby się skarżyć na pana, mówił:

— „Wspomnijmy, jakie były buntów ukraińskich przyczyny! Jeżeli teraz podobne wyniknie nieszczęście — nie chwyci się go czyhający na zgubę nieprzyjaciół? Już tedy samo bezpieczeństwo Rzeczypospolitej klęskom tym zaradzić każe; przydajmy do tego uczucia sprawiedliwości i ludzkości! Zważmy, czem jest stan chłopski, ta szanowna część narodu naszego:

ażuć milionów ludzi, nie mających własności, nie mogących uciekać się pod opiekę prawa! Wyrzucano mi, że ja chłopom chcę powrócić wolność; bodajbym nigdy na inny nie zasłużył zarzut! Ale wiem, że tak ważna odmiana nie jest (nie może być) dziełem jednego sejmu, że powoli postępować nam w tem przedsięwzięciu potrzeba. Nie jest to zatem mowa o przywróceniu chłopom wolności, ale o zasłonięciu ich od ucisku!"



Juljan Ursyn Niemcewicz

Nie zabrakło też inflanckiego posła między obrońcami miast. Mówił, że jeżeli nakłada się na mieszczan podatki, to należy im także przyznać korzyści z podatków. Podatek przeznaczano na wojsko, a czyż mieszczanin może być oficerem? Wołał tedy o sprawiedliwość dla mieszczan, bo inaczej oni sami upomną się o należne im prawa.

Służba piórem. „Wcześniej — pisał Niemcewicz w swoich pamiętnikach — obudził się we mnie smak do poezji, w 16 roku. Od tego czasu zacząłem bawić wiersze i nałóg ten nie opuścił mnie przez lat zgórz 60“. Pisał drobne wierszyki, bajki, wreszcie dłuższe wiersze, nazwane „Ś p i e w a m i h i s t o r y c z n e m i“, a wszystko to miało za zadanie nauczyć rodaków miłości Ojczyzny.

„Powrót posła“. Najgłośniejszym dziełem Niemcewicza stała się komedia p. t. *Powrót Posła*. Wystawiono ją w Warszawie w teatrze niedługo przed uchwaleniem prawa o miastach. Przedstawia ona dwa ówczesne szlacheckie stronnictwa: patriotyczne i „weteranów“. Do pierwszego należy

podkomorzy i jego syn, poseł sejmowy, który w czasie przerwy w obradach przyjechał ze stolicy do domu, do drugiego starosty, stary gaduła, skąpiec i samolub. Cały teatr trząsł się od śmiechu, kiedy starosta na scenie płakał za dawnymi czasami:

„Jak to Polak szczęśliwie żył pod Augustami!
Człek jadł, pił, nic nie robił i suto w kieszeni!
Dziś? Wszystko się zmieniło! I bardziej się zmieni!
Zepsuli wszystko! Tknać się śmieli okrutnicy
Liberum (wolność) veto! Tej to wolności żrenicy!“

Kiedy zaś na zaręczynach podkomorzycy ze starościanką podkomorzy obdarza swoich chłopów wolnością, oburzony starosta krzyczy:

„Potrzebne to rzeczy?
Do czego to znów przypiąć to ich uwolnienie?
To tylko Waćpan robisz dla drugih zgorszenie!“

Śmiała się publiczność, widząc w osobie starosty wyszydzonych niektórych gadatliwych posłów, zwolenników starego bezrządu, ale teatr drgał od grzmotu oklasków, kiedy podkomorzy lub jego syn wygłaszali myśli stronnictwa patriotycznego, jak np. „dom zawsze ustępować powinien krajowi!“ to znaczy, że korzystać domu, t. j. rodu, nie śmie przynosić krajowi szkody. Podobnie też kończy się komedia słowami podkomorzego, który wznosi zdrowie narzeczonych:

„Bodajbyśmy — dzieląc pomyślnie godziny (chwile pomyślności)
Między słodkiem staraniem krewnym i domowi (dla krewnych i domu)
A tem, co się należy własnemu krajowi —
Cnotliwie wszyscy w zgodzie i jedności żyli
I na szczęście Ojczyzny i dzieci patrzyli!“

Dziennikarz. W kilka dni potem ci, co nie byli na przedstawieniu, przeczytali w *Gazecie Narodowej i Obcej* mowę, wygłoszoną w sejmie przez jednego z „weteranów“, który żądał, by sejm ukarał autora komedji za wyszydzanie żrenic szlacheckiej wolności. Mowa ta wywołała w sejmie powszechny śmiech i wślawiła komedję jeszcze bardziej: na dalszych przedstawieniach było pełno publiczności, a marszałek Małachowski, który także zjawił się w teatrze, został przywitany radosnymi oklaskami. Donosiły o tem i inne gazety, ale żadna tak dokładnie, jak „*Narodowa i Obca*“. Jej redaktorem bowiem był Niem-

cewicz, który jął się tej pracy, aby rozpowszechniać program stronnictwa patrijotycznego, t. j. jego przykazania i cele i zjednywać mu nowych zwolenników.

13. O KONSTYTUCJI 3 MAJA

Śmiała myśl. Już trzeci rok obradował wielki sejm, a jeszcze nie usunął największych wad ustroju Rzeczypospolitej: elekcyjności (wybieralności) króla i wolnego „veta“, bronionych zawzięcie przez większość posłów. Tymczasem nad Polską gromadziły się groźne chmury: zaborcy pogodzili się, a Katarzyna II gotowała się do zemsty za zrzucenie przez Polskę zależności od Rosji.

Wtedy kilku śmiałych członków stronnictwa patrijotycznego, między nimi marszałek Małachowski i jeden z największych polityków w polskiej historii, ks. Hugo Kołłątaj, postanowili ratować Ojczyznę wbrew woli sejmowej większości i narzucić krajowi wypracowaną przez Kołłątaja ustawę o ustroju państwa, t. j. konstytucję.

Było to niedługo po świętach Wielkanocnych r. 1791. „Weteranów“ w stolicy było mało, bo przeważna ich część nie wróciła jeszcze ze świąt, które spędziła u siebie na wsi — toteż tę ich nieobecność postanowili wykorzystać twórcy konstytucji i w niepełnym Sejmie uchwalić nowy ustrój państwa.

Mieli twórcy nowej konstytucji za sobą króla i kilkudziesięciu wtajemniczonych posłów, czyli o wiele mniej, niż połowę sejmu, ale w razie oporu nielicznych w mieście „weteranów“ mogli liczyć na wojsko i na mieszczaństwo.

Wielki czyn. Dzień 3 Maja 1791 r. Od wczesnego rana snują się ulicami stolicy tłumy publiczności. Śpieszą one ku Zamkowi, gdzie wypełniają dziedziniec, schody i salę sejmowych obrad. O godz. 11 wchodzi do sali król w mundurze generała Korpusu Kadetów, otoczony oficerami gwardji, t. j. swego przybocznego oddziału wojskowego, poprzedzany przez sejmowych marszałków. Zasiada na majestacie; słyhać trzykrotne stuknięcie laską o podłogę i Małachowski zaczyna posiedzenie sejmu, polecając odczytać nadesłane z zagranicy depesze z wiadomościami o niebezpieczeństwach, zagrażających Rzeczypospolitej.

— Prosimy! Prosimy! — rozlegają się okrzyki posłów i publiczności.

— Proszę o głos! — woła jeden z nielicznych na sali weteranów, ten sam, który niedawno ośmieszył się, żądając na Niemcewicza sejmowego sądu za wystawienie „Powrotu Posła”. — Mam odkryć wielkie rzeczy. Oto uknowana jest rewolucja... — krzyczy — która przygotowując nowy rząd, ma popchnąć naród w niewolę!

Pomimo jego sprzeciwu odczytano zagraniczne depesze, poczem sekretarz sejmowy odczytał nową konstytucję, którą sala przyjęła burzą oklasków i „po tysiąc razy okrzyknęła zgodę” — jak to potem sekretarz opisał.

Treść Konstytucji. Konstytucja 3 Maja postanawia:

1) że religja rzymsko-katolicka ma być w Polsce panująca, ale że wolno każdemu wyznawać jakąkolwiek inną religję,

2) że tron polski staje się dziedziczny — ponieważ zaś król Stanisław August jest bezdzietny, przeto następstwo po nim na tronie obejmie ród książąt saskich,

3) że do uchwalenia praw i podatków na Sejmie wystarcza większość głosów, a wolne veto jest zniesione,

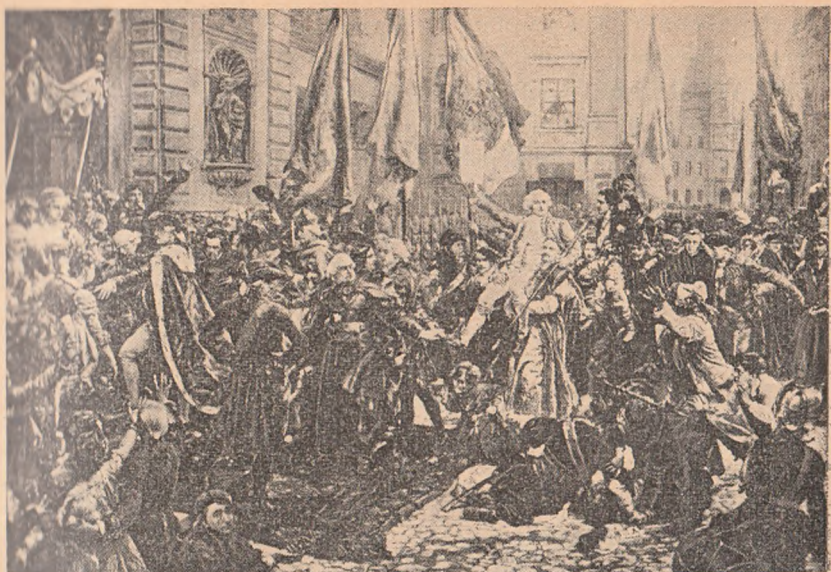
4) i że sejm może być zwołany każdej chwili, a nie, jak przedtem, tylko raz na dwa lata;

5) nadto wpisane zostało do Konstytucji niedawno uchwalone prawo o miastach,

6) a ludność wiejska otrzymała opiekę prawa: chłop mógł odtąd skarżyć dziedzica przed sądem, czego mu przedtem nie było wolno.

Król z narodem! Napróżno sprzeciwiało się uchwale kilku „weteranów”, napróżno ów ośmieszony poseł wywłókł na środek sali swego synka i chwytając za szablę, wykrzykiwał nad przerażeniem dzieckiem: — Zabiję własne dziecko, aby nie dożyło niewoli, którą ten projekt krajowi gotuje! — Na sali rozległy się tak burzliwe wołania: „Wiwat król! Wiwat nowa konstytucja!” — że marszałkowie długo nie mogli uciszyć zebranych. Okrzyki z Izby sejmowej przeniosły się na dziedziniec zamkowy, a stąd na bliższe i dalsze ulice, wzniesając wszędzie radosny zapał. Wreszcie uciszyła się sala i rozległy się słowa królewskiej przysięgi na nową konstytucję, poczem król dodał:

— Przysięgłem Bogu, żałować tego nie będę. Wzywam teraz kochających Ojczyznę, niech idą za mną do kościoła na złożenie



Ogłoszenie Konstytucji 3 Maja (fragment obrazu Jana Matejki)

Bogu wspólnej przysięgi i dziękczynienia, że nam dozwolił tak uroczystego i zbawiennego dokonać dzieła.

Wśród gromkich okrzyków posłowie i publiczność porwali na ręce Stanisława Małachowskiego i wśląd za królem zanieśli go do katedry. Huk armat, ustawionych przed Zamkiem, towarzyszył przysiedze. Z zapalem składali ją senatorowie, posłowie, król i wszystek lud, zapelniający kościół i stłoczony przed kościołem na ulicy.

14. NOWY GROM

Wrogowie konstytucji. Nowe prawa nie podobały się weteranom. Zwłaszcza między panami, żądnymi wysokich godności, a nawet dążącymi do tronu, znaleźli się potężni wrogowie Konstytucji; wprowadzona bowiem przez nią dziedziczność tronu odbierała im nadzieję uzyskania kiedyś wymarzonej królewskiej godności.

Konfederacja targowicka. Wojna z Rosją. Jakoż w rok po ogłoszeniu Konstytucji niektórzy panowie zawiązali na Ukrainie, w mieście Targowicy, konfederację dla ochrony „szlacheckiej wolności” i wezwali carycę Katarzynę II, aby im

pomogła obalić Konstytucję 3 Maja. Carya chętnie użyła pomocy targowiczanom i wkrótce dwie silne armje wkroczyły w granice Rzeczypospolitej: jedna na Litwę, druga na Ukrainę. Przeciw nim wyszło utworzone przez sejm 4-letni nowe polskie wojsko, liczące zaledwie połowę uchwalonej liczby 100.000 żołnierzy, a w dodatku prawie zupełnie pozbawione doświadczonych wodzów. Tylko w armji koronnej, którą dowodził młody i dzielny, ale nieprzywykły do sprawowania tak wielkiego dowództwa bratanek króla, książę Józef Poniatowski, znajdował się podwładny mu generał, mający wojenne doświadczenie. Był nim Tadeusz Kościuszko.

Bitwa pod Dubienką. Powróciwszy z Ameryki jako generał, otrzymał Kościuszko ten sam stopień w wojsku polskim, a w wojnie z Rosją dowodził jedną z czterech dywizyj, z których składała się armja ks. Józefa. Armja ta, licząca nieco więcej, niż 20.000 żołnierzy, cofała się przed trzy razy liczniejszym wrogiem przez Wołyń ku Bugowi, zadając czasem następującym na nią Moskalom dotkliwe porażki. Po dwu miesiącach walk doszła do Bugu, a książę Józef nakazał Kościuszcze bronić prze-



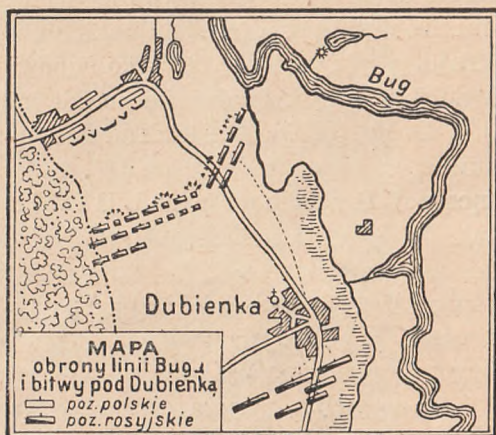
Ks. Józef Poniatowski

ścia przez rzekę koło Dubienki, miasteczka tuż przy granicy austriackiego zaboru, sam zaś z głównymi siłami stanął parę mil na północ od Dubienki. Był to pogodny, suchy lipiec i woda w Bugu opadła tak dalece, że w każdym miejscu można go było przejść z łatwością. Jakoż Kościuszko, zamiast bronić mostu pod

Dubienką, spalił go, a swoje wojsko ustawił niedaleko miasteczka między nadbrzeżnymi mokradłami a lasem, należącym już do austriackiej Galicji. Stał zaś naprzeciw głównych sił rosyjskich, pięć albo sześć razy liczniejszych od jego dywizji.

W lipcowe popołudnie zaczęła się bitwa hukiem armat. Ale jak długo mogło 10 polskich dział odpowiadać 56-ciu rosyjskim? Po jakimś czasie, kiedy niektóre polskie szanse, zasypywane gradem moskiewskich pocisków, zaczęły milknąć, wódz rosyjski rzucił kilka pieszych i konnych pułków do ataku. Ucichły armaty: słychać tylko ogień karabinowy i przeciągłe okrzyki „ura!“ rosyjskich żołnierzy. Przybywają im na pomoc nowe pułki, aż wreszcie trzy polskie szanse zaroily się od moskiewskiego mrowia. Nadto rosyjski wódz wysłał najwaleczniejszego ze swych oficerów z paru pułkami konnicy, nakazując mu przekroczyć austriacką granicę i przedrzeć się lasem na tyły polskiego obozu. Ten niespodziewany napad został jednak odparty, przyczem dowódca poległ, „a z jego komendy mało co się powróciło“, jak opowiadał potem Kościuszko, który, zadawszy wrogowi większe straty, niż je sam poniósł, wycofał się w porządku i połączył się z głównymi siłami księcia Józefa.

Król stronnikiem Targowicy. Wojsko, pewne ostatecznego zwycięstwa, cofało się ku Wiśle, gdy wtem do armji przyjechał goniec, który przywiózł królewski rozkaz zaprzestania wojny: chwójny bowiem i trwożliwy Stanisław August, przerażony groźnym listem Katarzyny II, przeszedł na stronę konfederacji targowickiej. Na wiadomość o tem ogarnęła oficerów rozpacz: wielu z nich wniosło do króla prośby o dymisję, t. j. o uwolnienie z wojska i ci razem z uchodzącymi z kraju twórcami i stronnikami Konstytucji schronili się zagranicę, armja zaś i kraj przeszły pod rozkazy konfederacji targowickiej.



Nowy sejm rozbiorowy. Ale radość targowiczian nie trwała długo: po kraju rozeszła się wieść, że Katarzyna II wraz z królem pruskim znów dzieli Polskę pomiędzy siebie. Znów zjechał się sejm, który miał uchwalić rozbiór, a zwołano go do Grodna. Otoczony rosyjskiem wojskiem i armatami, nie znalazł wśród siebie drugiego Rejtana. Sprzeciwiał się — milcząc. Przez trzy dni próbował poseł rosyjski nakłonić posłów do zgody na rozbiór kraju, a gdy Izba na wszystko odpowiadała milczeniem, zaborcy ogłosili, że sejm zgadza się na ich żądania.

Drugi rozbiór Polski. Tak dokonano drugiego podziału Polski. Rosja zabrała ogromny obszar kraju na wschód od linii, łączącej Dynaburg nad Dźwiną z biegiem Zbrucza, tak, że stała się sąsiadką Austrii, a król pruski zajął zostawione Rzeczypospolitej przez pierwszy rozbiór Gdańsk i Toruń, a nadto Wielkopolskę, część Mazowsza i część Krakowskiego. Granica Prus dotykała rzeki Pilicy i biegła w pośrodku między Warszawą a Płockiem.

Austria, zajęta wojną, którą prowadziła z Francją, w tym rozbiorze udziału nie brała.

15. KRAKOWSCY CHŁOPI ZDOBYWAJĄ ARMATY

Wybuch powstania. Po zwycięstwie targowiczian Kościuszko wyjechał zagranicę. Ale już w kilka miesięcy po drugim rozbiorze wybuchło w kraju powstanie. Zaczęło je wojsko. Miało ono być zmniejszone i oddane pod dozór Moskali. Już przedtem garść partjotów zawiązała w Warszawie spisek przeciw Moskalom i, oddając naczelne dowództwo w zamierzonym powstaniu Kościuszcze, wezwała go do powrotu do Polski. Zanim jednak Kościuszko zdołał dojechać do Krakowa, przeleciała przez kraj radosna wieść: oto Małaliński, komendant oddziału konnicy, zagrożonego zmniejszeniem, podniósł broń i, wymykając się przeważającym siłom rosyjskim, podążył z Ostrołęki nad Narwią w stronę Krakowa.

Przysięga Kościuszki. Wielka, pełna radosnych nadziei uroczystość odbyła się w Krakowie marcowego dnia r. 1794. W jednym z kościołów odprawiono nabożeństwo, którego wysłuchał Tadeusz Kościuszko, otoczony dostojnikami i garścią szlachty, poczem udał się na rynek, gdzie na głos ratuszowego dzwonu



Tadeusz Kościuszko

zgromadziło się tłumnie mieszczaństwo i gdzie czekała w szeregach załoga, t. j. wojsko, przebywające stale w twierdzy. Wśród uroczystej ciszy odczytano akt powstania, ułożony przez krakowską szlachtę; akt ten oddawał najwyższą władzę w kraju Tadeuszowi Kościuszce jako „najwyższemu i jednemu Naczelnikowi całego zbrojnego powstania“. Po odczytaniu aktu nastąpiła przysięga wojska na wierność Naczelnikowi, poczem podniósł rękę Kościuszko i przysiągł, że powierzonej mu władzy będzie używał jedynie dla obrony całości granic i przywrócenia wolności narodowi.

Z Krakowa pod Raclawice. Krakowska załoga składała się z dwu bataljonów piechoty, razem 800 żołnierzy. Dodawszy do tego garść ochotniczej szlacheckiej młodzieży, ruszył Naczelnik z Krakowa. Wkrótce spotkał liczącą 700 koni brygadę Madalińskiego i z paru innymi oddziałami, zebranymi po dro-

Pierwsze działo zdobył Wojciech Bartos z Rzędowic, podniesiony po bitwie do stanu szlacheckiego, nazwany Głowackim i zamianowany oficerem. Przyskoczył on do armaty w chwili, kiedy rosyjski żołnierz przykładał do panewki tlejący sznurek, zwany lontem. Bartos czapką zgasił lont, a nadbiegający za nim chłopci kosami jęli wycinać przerażonych rosyjskich artylerzystów i broniącą artylerji piechotę.

Tak w krótkiej chwili przestało istnieć rosyjskie centrum. Wtedy ci, których wysłano przeciw prawemu polskiemu skrzydłu, obawiając się od tyłu napadu kosynierów, pośpiesznie odeszli, na lewem zaś skrzydle skończył bitwę Naczelnik, stając sam na czele piechoty i w walce na bagnety wybijając rosyjskich strzelców.

16. JAK KILIŃSKI POMÓGŁ WYRZUCIĆ MOSKALI Z WARSZAWY

Dwa wojska w stolicy. Kiedy do Warszawy przysła wieść o zwycięstwie pod Racławicami, spiskowcy postanowili uwolnić stolicę od Moskali. Znajdowały się tam dwie załogi: polska, licząca około 4000 żołnierzy pod dowództwem generała Cichockiego i 8000 Moskali pod dowództwem rosyjskiego ambasadora czyli posła, który był zarazem komenderującym generałem. Ambasador wiedział, że zanosì się na rewolucję; mimo to nie rozbrajał polskiej załogi, złudzony udaną uległością generała Cichockiego. Ale choć wierzył Cichockiemu, to jednak nie dowierzał jego wojsku; w przewidywaniu więc rozruchów rozkazał tak poobstawiać polskie oddziały rosyjskimi, aby w każdym miejscu Polacy byli słabsi od Moskali. Tymczasem spiskowcy wojskowi i cywilni porozumieli się wzajemnie ze sobą i postanowili za kilka dni wyrzucić wrogów z Warszawy.

Jan Kiliński. Nie było między warszawską rzemieślniczą bracią człowieka śmielszego i ruchliwszego nad mistrza szewskiego, Jana Kilińskiego. Przybysz z Wielkopolski, założył był w stolicy warsztat, który zasłynął wyrobem doskonałych damskich bucików i niedługo młody mistrz kupił na Starem Mieście kamieniczkę. Wesoły i wymowny umiał zabawić zjawiających się w jego warsztacie gości, którzy go też lubili i polecali

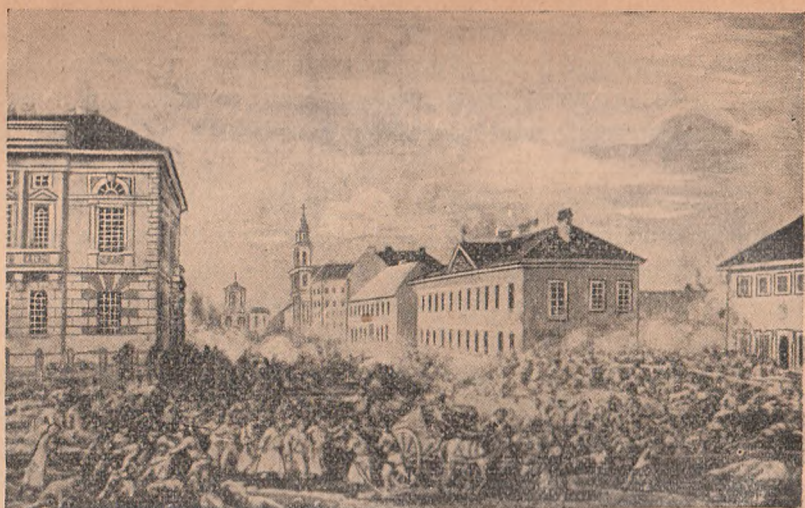
wyroby wesołego mistrza swoim znajomym, jego wymowa zaś, a nadto prawość i miłość Ojczyzny zjednały mu zaufanie kolegów. Jakoż szewscy mistrzowie wybrali go starszym swego cechu, a wreszcie został zaszczycony wyborem na miejskiego radnego.

Przystąpiwszy do spisku, zajął się Kiliński jednaniem mu członków między rzemieślnikami, zwłaszcza czeladzią; przed wybuchem powstania napisał testament i chyłkiem, nie żegnając się z żoną i dziećmi, wyszedł przed północą na Staromiejski Rynek.

Wybuch. Dziesięć razy mniej rozległa wówczas, niż dziś, stolica skupiała się z trzech stron około przypartego do Wisły Starego Miasta. Za łukiem jego murów rozrosły się od czasów Sobieskiego nowe dzielnice; tam też, na zachód od Krakowskiego Przedmieścia, wybudował był August II wspaniały pałac i założył ogromny ogród, zwane dlatego *Saskiem i*. Za Saskim ogrodem były koszar *konnej gwardji*; ta to gwardja rozbiła w Wielki Czwartek przed świtem sąsiednie rosyjskie warty, dając tem hasło do wybuchu powstania.

Kiliński przechodził przez Staromiejski Rynek, kiedy go doleciał odgłos walki za Saskim ogrodem. Krzyknął tedy ku strażnikom na ratuszowej wieży, aby trąbili „na gwałt“, na co czeladź, porozmieszczana po kościelnych dzwonnicach, uderzyła we wszystkie dzwony. W uśpionem mieście wszczął się ruch. Zewsząd nadbiegała uzbrojona młodź rzemieślnicza i gromadziła się pod dowództwem Kilińskiego. Ten ruszył na ulicę Podwale pod ambasadę rosyjską, ale zobaczył stojącą już przed palacem gotową do boju konnicę. Kazał tedy swoim poobsadzać okna pobliskich kamienic i „sprzątać“, jak mówił, adjutantów, przez których ambasador będzie rozsyłał rozkazy do swoich wojak.

Dwa krwawe dni. Zarządzenie Kilińskiego przyniosło powstaniu więcej korzyści, niż pomoc niespełna 2.000 cywilnej ludności, którą owych dni dowodził. Wiele bowiem rosyjskich oddziałów, nie otrzymując rozkazów, przysłuchiwało się bezczynnie odgłosom walk w mieście. Jeden pułk polski, wyszedłszy z 3 działami z południowego końca miasta, z okolicy Łazienek, dobiegł bez przeszkody aż do Krakowskiego Przedmieścia, mimo, że po drodze dwa razy spotkał nieprzyjacielskie oddziały.



Lud pod wodzą Kilińskiego walczy na ulicach Warszawy

Dopiero koło kadeckiej szkoły zastąpił mu drogę rosyjski generał z kilkuset piechoty i 5 działami. Wtedy pułkownik podzielił pułk na 3 części: jedna z działami została na miejscu, a dwie inne poszły w boczne ulice, aby wroga okrążyć. Wtem z kadeckiej szkoły wypada Korpus Kadetów i zaczyna zboku prażyć Moskali. Na to nadbiega Kiliński w kilkuset ludzi i razem z wojskiem uderza na wroga. „Gdyśmy się zbliżyli na wystrzał karabinowy — czytamy w pamiętnikach dzielnego szewca — Moskałe dali wystrzał do nas i zgubili nam kilku ludzi, ale my jak im raz i drugi odpowiedzieliśmy, jak krzyknęliśmy hura, nadstawiliśmy bagnety, tak zaraz Moskałe swoją broń na ziemię porzucili, a my Moskali za kark wzięliśmy do niewoli, także armaty i wiele amunicji (prochów i kul), która nam się bardzo zdała“.

Walka trwała przez cały czwartek, noc następną i Wielki Piątek do południa, t. j. do chwili, kiedy zdobyto zawzięcie bronioną rosyjską ambasadę.

Sława Kilińskiego. Już we czwartek przed południem zebrała się na Ratuszu utworzona przez spiskowców Tymczasowa Rada Narodowa, która objęła rządy w kraju, by je później oddać wybranej przez Kościuszkę Najwyższej Radzie Narodowej.

„Rozmyślałem udać się do domu, — opowiada Kiliński w pamiętnikach — chcąc się pożywić... Ale prezydent (rady) kazał mnie szukać i gdy mnie na drodze znaleźli, zaraz mnie na ręce porwali i na Ratusz zanieśli i straszne krzyczeli wiwaty, co mnie najbardziej gniewało, że ja biedny jeszcze nie jadł, a ci mnie wiwatem karmili“.

Zaniesiony na Ratusz szewc-bohater dowiedział się, że został wybrany członkiem Tymczasowej Rady, a po niewielu dniach otrzymał od Naczelnika powstania patent, t. j. dokument, mianujący go pułkownikiem wojsk polskich.

17. JAK KOŚCIUSZKO TWORZYŁ ZBROJNĄ SIŁĘ

Władza Naczelnika. Od wielu wieków nie było w Polsce nikogo, ktoby miał tak wielką władzę, jak Tadeusz Kościuszko, Naczelnik powstania narodu przeciw Moskalom. Oddano mu prawo urządzenia siły zbrojnej wedle własnego uznania i prawo utworzenia Najwyższej Rady Narodowej, która stała się rządem polskim na cały czas wojny z najeźdźcami. Do tego to rządu wybrał Naczelnik ludzi zdolnych i znanych z patriotyzmu, zwolenników a zwłaszcza twórców Konstytucji 3 Maja, którzy, jak dziś ministrowie, zarządzali państwem. Nawet król uznawał władzę Kościuszki nad krajem i w jego ręce chciał złożyć koronę, gdyby Naczelnik i naród nie życzyli sobie mieć go na tronie. Ale Kościuszko odpowiedział skromnie, że nie otrzymał prawa stanowienia o osobie króla, co się zaś tyczy narodu, to on, Naczelnik, nie wątpi, że sejm przyzna królowi władzę taką, jaką będzie uważał za „najdogodniejszą dla dobra Ojczyzny“.

W obozie. Skromność Kościuszki poświadczali wszyscy, którzy go znali. „Jest to człowiek prosty i jak najskromniejszy w rozmowach, manierach (zachowaniu), ubraniu — pisał jeden z panów, odwiedzwszy obóz niedługo po racławickiej bitwie. — Nosił on na swem ubraniu sukmanę chłopską, ponieważ zapowiedział, że będzie nosił z kolei mundur tego oddziału, który się najbardziej odznaczy.“

„Jego obóz jest wcale niepodobny do innych obozów polskich. Niema tu ani przechwałek z waleczności, ani zbytku; pa-

nuje cisza, wielki porządek, wielka subordynacja (posłuszeństwo) i karność. Zawarte w nim wojska osiągać mogły wtedy liczby 10 tysięcy ludzi, wcielonych do pułków z dawnego i nowego zaciągów.“

Wojsko. Ten nowy zaciąg był dziełem Naczelnika. Nakazał on, by z każdych 5 dymów czyli gospodarstw oddawano jednego rekruta do piechoty, a z 50 — jednego do konnicy. Kiedy więc jaką okolicę oczyszczono z Moskali, po niedługim czasie zjawiały się w powstańczych obozach w barwnych ludowych strojach tłumy chłopskiej młodzieży.



Mundury żołnierzy kościuszkowskich:
piechur, kawalerzysta, oficer

Przeznaczeni do konnicy, zwanej kawalerją narodową, która zastąpiła dawną jazdę husarską i pancerną, wdziewali na długie sukmany kurtki z szerokimi kolorowymi wyłogami na piersi. Bronią kawalerji była szabla i lanca; karabiny, o które w Polsce było bardzo trudno, były potrzebniejsze piechocie.

Ta nosiła mundury podobne do kawalerji, ale na kurtkę nakładał piechur na krzyż dwa na białą lub czarną lakierowane rzeźmienie, które razem z pasem podtrzymy-

wały patrontasz i krótką szablę, a na ramieniu dźwigał karabin. O piechotę troszczył się naczelnik najwięcej: zwiększał ją ciągle, tworząc nowe bataljony i zbroił je w odebrane konnicy karabiny. Ale mimo to nie starczyło ich dla wszystkich piechurów; trzecia część piechoty stawała do bitwy z kosami i pikami i podczas ognia czekała beczynn timer na rozkaz do

ataku. Zresztą i brak amunicji trapił Naczelnika przez cały czas powstania: zwykle po paru wystrzałach nakazywał atak na bagnety.

Nowy rodzaj pieszego wojska utworzyli ci, dla których nie było nietylko karabinów, ale i mundurów. Ci, w strojach ludowych, z pawiem piórem powiewajacem u czapki, uzbrojeni w kosy, zasilali osobne bataljony grenadierów, zwanych zwykle kosynierami, a walczyli pod chorągwią, na której widniały wyszyte skrzyżowane kosa z piką, snop i napis: „żywią i bronią.“

Uniwersał Połaniecki. Niemąło więc nabiedził się Naczelnik, stojąc ze swem nielicznem, niewyćwiczonym i źle uzbrojonym wojskiem naprzeciw przemożnego wroga. Stutysięczna armja, jak ją uchwalił Sejm 4-letni, wystarczałaby była do wywalczenia wolności, ale stworzyć taką armję w kraju, zajętym przeważnie przez wroga, było niepodobieństwem. „Postawić odrazu 100.000 wojska linjowego (regularnego) jest trudno — czytamy w jednym liście Kościuszki — lecz postawić masę 300.000 łatwo przyjdzie, byle szczerze chcieli ziemianie i księża, którym lud powodować się daje.“ Spodziewał się więc Kościuszko, że wciągnie do walki cały lud wiejski i w tym celu wydał w obozie pod Połanćm, wsią, położoną na lewym brzegu Wisły, niedaleko ujścia Wisłoki, sławny uniwersał, w którym ogłosił nowe a bardzo dla chłopów korzystne postanowienia. Jest ich w uniwersale kilkanaście, ale cztery z nich są najważniejsze, a mianowicie:

1) „że osoba wszelkiego włościanina jest wolna i że mu wolno przenieść się, gdzie chce“. Tak chłop przestał być poddanym dziedzica: mógł swobodnie zajmować się, czemby chciał i zamieszkać, gdzieby mu się podobało.

2) „że lud ma ulżenie w robociznach tak, że ten, który robi pańszczyzny dni 5 lub 6 w tygodniu, ma mieć odtąd 2 dni opuszczone; który robi dni 3 lub 4, ma mieć opuszczony dzień 1 w tygodniu; kto robi 2 dni, ma mieć opuszczony dzień 1; kto robi w tygodniu dzień 1, ma teraz robić w dwu tygodniach dzień 1“.

3) „od tych, którzy wezwani będą na pospolite ruszenie, póki tylko pozostawać będą pod bronią, pańszczyzna przez ten czas nie będzie wyciągana“, lecz dopiero rozpocznie się od po-

wrotu ich do domu, czyli, że kto pójdzie na wojnę, nie będzie za niego nikt w domu odrabiał nawet zmniejszonej przez Naczelnika pańszczyzny.

4) „zwierzchności miejscowe starać się będą, aby tych, którzy zostają w wojsku Rzeczypospolitej, gospodarstwo nie upadło i aby ziemia odłogi nie leżała, do czego równie dwory jako i gromady przykładać się powinny“.

Tak starał się Kościuszkę wynagrodzić chłopu odwieczną krzywdę, a zarazem stworzyć wielką zbrojną siłę, aby wywalczyć Ojczyźnie Wolność, Całość i Niepodległość.

18. O MACIEJOWICACH I TRZECIM ROZBIORZE POLSKI

Radości i smutki Naczelnika. Mijały miesiące, pełne walk i utarczek to pomyślnych, to nieszczęśliwych. Największym jednak czynem Kościuszki w tej wojnie była obrona Warszawy: przez dwa miesiące opierał się w niej wojskom rosyjskim i sprzymierzonym z nimi Prusakom, aż wkońcu doznał się odstąpienia wrogów od stolicy. Ale kraj zalewały coraz liczniejsze wojska nieprzyjacielskie, bo wreszcie i Austriacy sprzymierzili się z Rosją i Prusami, a tymczasem Kościuszkę stał na czele zaledwie połowy potrzebnej mu trzystutysięcznej siły, gdyż naród nie poparł dostatecznie swego Naczelnika.

Maciejowice. Jesień. Przeważne siły wrogów zalewają kraj. Już tylko na Mazowszu broni się Naczelnik, ale i po niem wszystkimi drogami włóczą się kozacy z armji generała F e r s e n a. A tymczasem od średniego Bugu następuje nowa rosyjska armja, aby połączyć się z Fersenem. Trzeba go czem prędzej rozbić. Spotkał go też Naczelnik pod Maciejowicami, wsią, leżącą na prawym brzegu Wisły, kilka mil poniżej ujścia Wieprza.

Naczelnik ze swoim adjutantem w tej wojnie, Niemcewiczem, i killkoma ułanami wysunął się naprzód, by ocenić siły nieprzyjaciela. Obóz Fersena rozciągał się nad brzegiem Wisły; przednie polskie czaty zaczęły z kozakami utarczkę. „Dzidy kozackie tuż widzieliśmy za sobą — pisze w pamiętnikach Niem-

cewicz — i nie pojmuję, jak nie byliśmy schwytani. O piątej uspokoiło się; całe wojsko nasze ściągnęło na miejsce. Wieś Maciejowice leży w nizinie, lecz dom murowany na wzgórzu naprzeciw Wisły“.

Ten dom nazywano zamkiem. Na pagórku obok zamku ustawił Naczelnik swoje wojsko, frontem ku południowi, poczem kazał Niemcewiczowi napisać rozkaz do generała Ponińskiego, znajdującego się daleko na wschód od Maciejowic, by natychmiast przybywał ze swoim oddziałem.

Bitwa. Świt. Moskale następują. Było ich dwa razy tyle, co Polaków. Zagrały armaty: 60 rosyjskich przeciw 20 polskim. „Moskal — pisze Niemcewicz — pierwszy kulami dosięgać nas zaczął. Nie mieliśmy jak 3 lub 4 większe działa. Skoro nieprzyjaciel na ich dosięgnięcie zbliżył się, wypuściliśmy z nich ogień. Sam Naczelnik celował z takim skutkiem, iż widać było chwiejące się szyki“. Trzy godziny trwała już walka. Jeden z generałów, przystąpiwszy do Naczelnika, rzekł:

— Zdaje się, że Moskaluszki zabierają się do odwrotu.

Ale Moskale podchodzili coraz bliżej. „Grad kul padał między hufce nasze — pisze dalej Niemcewicz. — Ze wszystkich stron śmierć latała koło nas. Za większym zbliżeniem się nieprzyjaciela zaczął się z obu stron gęsty ogień z ręcznej strzelby, pokrywała się ziemia trupami, przerażały jęki ranionych i konających“.

Kłeska. Rzedły szeregi polskich bohaterów. Mdlejącymi rękami nabijali broń i strzelali, a ich oczy z rozpaczą spoglądały ku wschodowi, skąd miał nadejść z pomocą Poniński. Ale Poniński nie mógł nadejść: był on za daleko od pola bitwy, by ówczesnemi bezdrożami zdołał przybyć na czas. Wtem jeden z pułkowników, nie mogąc utrzymać stojących pod ogniem już przez 6 godzin żołnierzy, ruszył naprzód, by się przebić przez Moskali. Ale armaty rosyjskie kładą ich pokotem, a w wyrwę,





Pojmanie rannego Kościuszki (rysunek J. Norblina)

która powstała przez wypad pułku, uderza galopem rosyjska konnica.

Rośnie zamęt. Moskale otaczają Polaków zewsząd i prą ich ku zamkowi. Walka przenosi się na dziedziniec, na ganek, w piwnice zamku. „Raniony, bez oręża — pisze Niemcewicz — stałem się jeńcem. Byłem zaprowadzony do domu (do zamku). Izba napelniona naszymi: lży nam się puściły, gdyśmy spojrzeli na siebie. Właśnie gdy pytam, co się stało z Kościuszką, widzę żołnierzy, dźwigających na noszach dużo (bardzo) skaleczonego człowieka: był to waleczny, lecz nieszczęśliwy nasz Naczelnik“.

Trzeci rozbiór Polski 1795 r. Na opłakanem maciejowickiem pobojuwisku, zroszonym krwią szlachetnego hetmana, zginęła nadzieja ocalenia Rzeczypospolitej.

Niedługo potem poddała się zwycięzcom Warszawa, przeżona okrutną rzezią, dokonaną przez moskiewskie żołnierstwo na mieszkańcach przedmieścia Pragi, a w kilka miesięcy później zaborcy podzielili między siebie resztę Polski: *Austria* zagarnęła *Kraków* i kraj między *Pilicą* i *Bugiem* — *Warszawa* i ziemie po lewym brzegu *Pilicy* i na północ od *Bugu* aż po średni *Niemen* przypadły *Prusakom* — a *Rosji* *Wilno* ze wszystkimi ziemiami, położonemi na wschód od średniego *Niemna* i *Bugu*.

Polska jako państwo przestała istnieć. „Ta, co od morza aż do morza władła, kawałka ziemi nie ma na mogile” — płakał nad grobem Ojczyzny jeden z ówczesnych poetów.

19. NAPOLEON BONAPARTE

Dom i szkoła. Za czasów konfederacji barskiej, w małym mieście Ajaccio (Ażazio), na należącej do Francji wyspie Korsyce, oblanej morzem Śródziemnym, urodził się w domu adwokata Bonapartego chłopiec, któremu dano imię Napoleon. Rodzina była dość zamożna, ale liczna; ojciec, nie mogąc wydoić ciężarowi kształcenia 8-ga dzieci, wyprosił przyjęcie dwu synów na koszt króla do szlacheckich szkół.

Jednym z nich był 10-letni Napoleon.

W szkole było mu źle. Bogaci koledzy wyśmiewali jego ubóstwo, jego skromne ubranie, jego język włosko-francuski, jego ukochaną wyspę. Mały, milczący, bladej skóry chłopiec zaszywa się tedy z książką w kącie ogrodu i czyta. Przedewszystkiem żywoty sławnych starożytnych mężów.

Cierpi w milczeniu i uczy się. Zwłaszcza matematyki, geografii i historii: nauk, najwięcej potrzebnych wojownikowi. Uderza weń bolesny cios: umiera mu ojciec. Biedny kadet ze swego szczupłego żołdu ciula oszczędności, aby pomóc ubóstwianej matce. Wreszcie, mając niecałe 16-cie lat, zostaje podporucznikiem, a wysłany do oddziału, stojącego w oddalonem od Paryża prawie o 1000 km mieście, połowę tej drogi odbywa pieszo, aby nie



Napoleon Bonaparte

płacić wiele za miejsce w pocztowym wozie, którym wówczas podróżowano, jak dziś koleją żelazną.

24-letni generał. Jak nieszczęściem Polski była słaba władza królewska, tak znów Francja cierpiała z powodu samowładztwa królów, którzy rządili tak źle, że w kraju wybuchła rewolucja. Padł królewski tron, na którego gruzach stworzono republikę, zginęli oboje królestwo i wielu z ich rodu, a także tysiące ich zwolenników. Ale ściągnęło to na Francję wojnę ze wszystkimi sąsiadami; z pomiędzy nich Anglicy oblegli swą flotą brzegi młodej republiki, a przy pomocy stronników królewskiej władzy wcisnęli się do śródziemnomorskiego portu, T u l o n u. Od strony lądu otoczyły miasto wojska francuskie, ale nie umiały wyrzucić z portu Anglików. Wtem przyjeżdża do Tulonu 24-letni kapitan artylerji, Napoleon Bonaparte. Jednym rzutem oka znajduje miejsce, skąd możnaby Anglikom zadać cios śmiertelny, a następnie, poustawiawszy tam ciężkie działa, łatwo wypłoszył ich z portu. Za ten czyn kapitan Bonaparte został mianowany generałem.

Zdobywca Włoch. Do granicy od strony Włoch dobijali się sprzymierzeni wrogowie francuskiej republiki, zwłaszcza potężni Austriacy, którzy we Włoszech posiadali żyzny nizinny kraj, zasłonięty od północy niebotycznymi Alpami, zwany L o m b a r d j ą. Parli przed sobą 30.000 zdziesiątkowanego przez klęski wojenne i zaraźliwe choroby, zmęczonego, obdartego i głodnego francuskiego żołnierza. Położenie tej armji nie mogło już być gorsze.

— Kto ją może ocalić? — kłopotał się rząd. Przypomniano sobie zapomnianego od dwu lat Bonapartego i młody generał ruszył na południe, aby objąć dowództwo na wojnie, którą uważano za przegraną.

— Żołnierze! — mówił w pierwszym rozkazie do armji. — Jesteście obdarci i głodni, a rząd nie ma pieniędzy i nie może zaspokoić waszych potrzeb. Ale ja zaprowadzę was na najżywniejszą nizinę świata; leży ona tuż przed wami, kraj kwitnący i bogaty. Czeka was tam sława, bogactwo, wszelkie rozkosze! Żołnierze armji włoskiej, czy zabraknie wam odwagi i wytrwałości?

W dwu tygodniach dotrzymał obietnicy. Doprowadziwszy armję do ładu, wybił sobie drogę zpośród zaśnieżonych skał

i wszedł na północno-włoską nizinę. Wiosna, słońce, dostatek wszystkiego. Żołnierz zdumiewa się: w tak szybkim czasie wódz spełnił przyrzeczenie! Odtąd wierzy w Bonapartego i idzie za nim z zapalem do coraz nowych, świetnych zwycięstw. Wtedy i Bonaparte uwierzył w siebie, w wyższość swych zdolności i siły swej woli nad innych ludzi.

Wiedział o wszystkim, co potrzebne wojownikowi. O kraju, w którym wojował, o jego klimacie, czasie żniw, cenach bydła, o urządzeniu państwa, pragnieniach ludności. Plan każdej bitwy był aż do drobiazgów opracowany, czas do minuty wymierzony. Kiedy wysłańcy sprzymierzonego z Austrią księcia przewlekali targi o warunki pokoju, Bonaparte wyjął zegarek i kazał uderzać na ich wojsko.

— Może się czasem zdarzyć — mówił do nich — że przegram bitwę, ale nigdy nie stracę jednej minuty na próżno.

Wojna skończyła się wyrzuceniem Austriaków z Lombardji. Do niej przyłączył 27-letni zwycięzca posiadłości niektórych włoskich książąt i z tych ziem utworzył nową, sprzymierzoną z Francją republikę, którą nazwał *Cyzałpińską* czyli *Przedalpejską*.

Cesarz Francuzów. A w kilka lat później, po wielu zdumiewających zwycięstwach, które dały Francji granice tak obszerne, jakich nigdy przedtem nie miała, zasiadł syn adwokata z Ajaccio na tronie jako „cesarz Francuzów“.

20. JESZCZE POLSKA NIE ZGINEŁA!

Dąbrowski. Kiedy Jan Henryk Dąbrowski skończył lat 10, ojciec, oficer w wojsku saskim, wywiózł go z Polski do Saksonji. W domu mówiono po niemiecku: matką była Niemka. Ten też język otaczał chłopca w szkole i w wojsku, do którego młody Dąbrowski, za przykładem ojca, wstąpił. W dodatku jak ojciec, tak i syn ożenił się z Niemką; zdawało się, że ten ród utonie na zawsze w morzu niemieczyny. A przecie, choć z trudem i źle mówił po polsku, rzucił oficer saskiej gwardji swoje świetne stanowisko, by pośpieszyć na obronę Ojczyzny, kiedy wojsko rosyjskie wkroczyło do Polski, by obalić Konstytucję 3 Maja. Otrzymawszy komendę brygady kawalerji, oddał się

Dąbrowski swej ulubionej zawodowej pracy, żądając od podwładnych takiej samej dokładności w spełnianiu obowiązków, jakiej się sam u Niemców nauczył.

Kiedy król przystąpił do Targowicy, Dąbrowski został w wojsku. Królewska rzecz — myślał — rozkazywać, a żołnierska słuchać. — Ale gdy wybuchło powstanie kościuszkowskie i Warszawa wymiotła Moskali, brygadjer zrozumiał, że niestety,



Jan Henryk Dąbrowski

nie zawsze można słuchać króla. Stał pod rozkazami Naczelnika Tadeusza Kościuszki. Bronił Warszawy podczas oblężenia jej przez Prusaków i Moskali, a wysłany do Wielkopolski, wywołał tam powstanie, po klęsce zaś maciejowickiej odrzucił ofiarowany mu przez króla pruskiego stopień generała i ruszył zagranicę szukać ratunku dla rozdartej Ojczyzny. Wkońcu odeśłał go rząd francuski do generała Bonapartego, urządzającego wtedy republikę Cyzalińską i Dąbrowski w dwa

lata po upadku powstania kościuszkowskiego podążył do Medjolanu, stolicy nowej republiki.

Dwaj wodzowie. Rosły, tęgą, o dużej, pełnej twarzy, przeszło 40-letni polski generał w mundurze, srebrem haftowanym, stanął razem z towarzyszącym mu przyjacielem wobec młodszego od siebie o kilkanaście lat, opiętego w złotym wyszywanym strój, generała Bonapartego.

„Takie to było małe i jakieś czarne, a żółte, a takie chude i biedne, a nóżki tak miał cieniutkie, jak cybuszek“ — opisywał młodego generała jeden z polskich oficerów.

Bonaparte wziął z rąk Polaków listy od paryskiego rządu.

— Wiem, o co chodzi — mówił jednostajnym, jakby zachrypłym głosem. — Chcecie się bić z Austrią. Jestem przekonany, że Polacy są dobrymi żołnierzami; można utworzyć polską kompanję, którą będziecie dowodzili. Jeżeli będzie się dobrze biła, powiększy się ją; jeżeli nie, rząd francuski mimo to zajmie się waszym losem.

Dąbrowski poczerwieniał.

— Generale — mówił, zająkując się ze wzburzenia — nie tylko z jedną kompanją, ale z kilku Polakami pójdę bić się z nieprzyjacielem mojej Ojczyzny. I nie za nagrodę. Nie po nią przychodzę, ani po zapewnienie losu. Nawet nieprzyjaciół chciał mi go zapewnić, czego ja jednak nie przyjąłem.

Bonaparte patrzył uważnie w szczerą twarz polskiego generała.

— To nie zwykli najemnicy — myślał po odejściu Polaków i wysłał za nimi zaproszenie na obiad.

Wieczorem poszli do pałacu naczelnego wodza, ale, choć Bonaparte uprzejmie rozmawiał z polskim generałem, to jednak minęło parę tygodni, zanim, dzięki poparciu rządu Cyzalspińskiej republiki, sprawa polskiego wojska została załatwiona.

Legjony. Mazurek Dąbrowskiego. Oto rząd republiki zawarł umowę z generałem Dąbrowskim, naczelnym wodzem „Legjonów polskich, posiłkujących Rzeczpospolitą Cyzalspińską“, jak nazwano to nowe polskie wojsko. Rząd przyznał im polskie mundury i odznaki stopni wojskowych, zobowiązał się utrzymywać legjony i wreszcie pozwalał im opuścić Włochy, „gdyby dobro ich Ojczyzny wymagało powrotu ich do Polski“.

Stało się to w r. 1797. Na wezwanie Dąbrowskiego rodacy zaczęli napływać do legjonów, w których to zabrzmiała poraz pierwszy pieśń, znana nam dziś, jako „Jeszcze Polska nie zginęła“. Ułożył ją na nutę skoczego mazurka Józef Wybicki, wierny towarzysz pracy generała Dąbrowskiego. Głosiła ona, że wbrew rozbiorom jeszcze Polska nie umarła!; sławiła i swego wodza, którego porównywała do Czarnieckiego, i Bonapartego, że nauczył Polaków, jak mają zwyciężać. Wskazywała legjonom drogę pochodu po pokonaniu Austrii: z Galicji przez Wisłę i Wartę aż

do zachodnich granic Polski — i przenosiła duszę tułaczy do kraju, między rodaków, którzy tam nadśluchują, czy nie nadchodzi ojczyste wojsko, czy nie grzmiały tarabany (bębny) legjonowych doboszów. A po każdej zwrotce unoszą się słowa: Marsz, marsz, Dąbrowski! i brzmią jak komenda, wzywająca do ataku.

Do Polski z ziemi włoskiej! — śpiewali polscy legjoniści z sercem już to ściśniętą tęsknotą, już to przepętnioną radosną nadzieją, że pod przewodem Dąbrowskiego złączą się z narodem!

21. O ŻOŁNIERZU TUŁACZU

Zapały i ofiary. W trzech tygodniach stanęły na ziemi włoskiej 2 polskie bataljony w sile ponad 1000 ludzi, a po dwu miesiącach było ich 5.000, rozdzielonych na dwa pułki piechoty, każdy z kompanją artylerji i oddziałem konnicy, z której niedługo utworzono osobny pułk kawalerji.

Plan Dąbrowskiego był: na czele legjonów przedrzeć się przez półwysep Bałkański na Wołoszczyznę, stamtąd wkroczyć do Galicji, tam wywołać przeciw Austrii powstanie i następnie uderzyć na zabór pruski i rosyjski.

Ale tymczasem mnożyły się kłopoty generała. Skarb republiki Cyzalspińskiej był pusty; wojsku brakowało broni, mundurów, wszystkiego. Dąbrowski, który ofiarował legjonom swe życie, oddał im też i majątek: w przebraniu przekradł się do Galicji, sprzedał tam swoją rodzinną wieś koło Bochni i powróciwszy z pieniędzmi, oddał je na wyposażenie legjonów. Ale kiedy sądził, że już jest bliski celu, t. j. wyprawy na Wołoszczyznę, ugodził weń nowy cios.

Zawody i nadzieje. Bonaparte skończył wojnę z Austrią, w traktacie (układzie) z nią ani słowem nie wspomniawszy o sprawie Polski! Po otrzymaniu tak bolesnej wiadomości, wódz legjonów udał się do francuskiego generała.

Oto, co czytamy w pamiętnikach Dąbrowskiego o tem spotkaniu z Bonapartem:

„Roześmiał się na mój widok. Cieszył się, że w tak krótkim czasie zdążyliśmy tak dobrze i mocno zorganizować się“ (t. j. urządzić legjony) „....Spytałem go o los Polski..... czyli mamy

nadzieję przez jego traktaty ujrzyć odrodzoną Ojczyznę naszą? Odrzekł mi:

— Zapewnij współrodaków swoich, iż nie powinni tracić męstwa i nadziei. Traktat.... długo nie pozostanie pokojem. Co się Legji tyczy, osobiście o was troskać się będę“.

I Dąbrowski, niewiele zresztą pocieszony mową Bonapartego, wrócił do swego wojska, by mu zanieść słowa pociechy.

Życie w legjonach.

„Idzie żołnierz borem, lasem, przymierając z głodu czasem“ — pod-

śpiewuje niektórzy z maszerującego polskiego oddziału. Nie wszyscy w płaszczach, choć zima, a co gorsza, niektórzy kroczą boso po twardych koleinach przymarzłej drogi.

Nie wystarczało odzieży dla wszystkich; często bowiem w tem wojsku bywało więcej ludzi, niż pozwalał na to „stan“ legjonów, t. j. ilość żołnierzy, utrzymywanych kosztem republiki Cyzalińskiej.

Ale na tułaczce, trwającej długie lata, żyli się oficerowie i żołnierze, jak bracia. Zdarzyło się raz, że kiedy jakiś żołnierz szemrał z powodu braku butów, oficer dał mu własne, a sam boso maszerował na czele swego oddziału. Tak, jak butami, dzielili się, bywało nieraz, oficerowie i żołnierze także swym żołdem, zwłaszcza ze świeżo przybywającymi, którym zwykle długo nie wypłacano żadnych pieniędzy, — dzielili się chlebem, radością i smutkiem. Dzień, w którym jeden z nich otrzymał wiadomość z Ojczyzny, był świętem dla wszystkich. Dowódcy oprócz zwykłych rozkazów wojskowych ogłaszali także wieści, które



Mundury legionistów

przedarli się z Polski na obczyznę. Czytano żołnierzom wydawaną w legjonach co 10 dni gazetę pod tytułem „*Dekada Legjonowa*“, a także utwory pisarzy polskich i tłumaczenia obcych; uczono się, wspierano i wzajem pocieszano. Legjony stały się jakby jedną wielką polską rodziną, rzuconą na tułactwo między obcych.

Zwątpienie. Wreszcie wybuchła nowa kilkoletnia wojna z Austrią. Legjony, które liczyły już wtedy 15.000 ludzi, podzielone na dwie grupy, były się we Włoszech i w Niemczech, i Dąbrowski czekał niecierpliwie chwili ruszenia do Polski, kiedy niespodzianie dla niego Bonaparte znów zawarł pokój, nie wspominając w układach ni słowem o Polsce. Ten zawód doprowadził żołnierzy polskich do rozpacz. Jedni z nich, nie chcąc być cudzymi najemnikami, wrócili do kraju, resztę zaś Bonaparte włączył do armji francuskiej, a część legjonów wysłał aż na daleką wyspę San Domingo w Ameryce Środkowej dla tłumienia powstania murzynów zbuntowanych przeciw swym nieludzkim panom. Tam, na końcu świata, w upałach gorącego kraju, wyginęli ci żołnierze-tułacze więcej od chorób, niż od murzyńskiej broni.

Na czele garści niedobitków niedawnych legjonów, miesiącami nie pobierających żołdu, żyjących w nędzy, wytrwał Dąbrowski, choć wszystko zdawało się zapowiadać niepowodzenie jego planów.

22. O KSIĘSTWIE WARSZAWSKIEM

Lawina. Napoleon był już „cesarzem Francuzów“. Zdruzgotane jego mieczem rozpadło się cesarstwo rzymsko-niemieckie: ostatni wybieralny cesarz, dziedziczny władca małej, górzystej Austrii, a także Czech, Węgier i Galicji, złożył koronę państwa rzymsko-niemieckiego i ogłosił się cesarzem Austrii. Napróżno usiłował on w przymierzu z Rosją położyć tamę rosnącej potędze Napoleona: znów pokonany opłacił swą klęskę nowemi stratami w ziemiach i pieniądzach.

Wtem niespodzianie porwał się na Francję król pruski. Wracający z Austrii Napoleon rzucił swą zwycięską armję na północ. W jednej bitwie, pod Jena, w r. 1806, rozgromione

Prusy legły u nóg zwycięzcy. Król pruski uszedł do Królewca, Napoleon wkroczył do Berlina.

Przypomniął sobie sprawę polską.

Dąbrowski w Berlinie. W dziesięć lat po pierwszej swej rozmowie z Napoleonem w Medjolanie znów stanął przed nim Dąbrowski. Na twarzy generała 10-letnie trudy, nadzieje i zwątpienia wyłobily liczne brózdki i głowę przysypały siwizną. Towarzyszył mu generał Józef Wybicki.

Przed nimi stał cesarz. Dawna chudość małego generała znikła; Napoleon zaczynał tyć. Stał w szarym surducie, pozbawionym wszelkich odznak, z rękami założonemi na plecach. Ucieszył się, zobaczywszy legjonowych wodzów i serdecznie z nimi rozmawiał. Wybicki zapewniał go gorąco, że mu Polacy wszystko oddadzą w ofierze, jeżeli cesarz wejdzie do kraju, jako wskrzesiciel ich Ojczyzny.

— Wiem, że posiadasz zaufanie u swoich współrodaków — odpowiedział Napoleon. — Napisz tu zaraz odezwę do nich, że wchodzę do Polski w 300.000 wojska. Gdy zobaczę, że Polacy godni są być narodem, będą nim.

Odezwa do narodu. „Polacy! — brzmiała odezwa podpisana przez Dąbrowskiego. — Napoleon wchodzi w 300.000 wojska do Polski! „Obaczę — powiedział — czy Polacy godni są być narodem“. Polacy! Od was więc zawisło mieć Ojczyznę! Wasz mściciel zjawił się; zabiegajcie mu drogę i przynóście wasze serca i odwagę, wrodzoną Polakom; powstańcie i przekonajcie go, że gotowi jesteście krew toczyć na odzyskanie Ojczyzny! Oręż z rąk jego otrzymacie! Stawajcie pod chorągwiami własnemi! Wkrótce Kościuszko, wezwany przez niezwyciężonego Napoleona, przemówi do was z jego woli!“

Dąbrowski w Poznaniu. Powstanie przeciw Prusakom. W parę dni po wydaniu odezwy Dąbrowski z Wybickim stanęli w Poznaniu. Wjechali do miasta w chmurną, listopadową noc; mimo to znaleźli się wśród tłumów publiczności, tak mieszczan, jak okolicznej szlachty, która zjechała, aby przywitać gościa. W rękach publiczności zapalone pochodnie, z tysiąca piersi grzmiały okrzyki: — Wiwat Napoleon! Wiwat Dąbrowski!

I tłum wyprzągnął z powozu konie i przewiózł generała do jednego z pałaców, przeznaczonego na kwatery dla uwielbianego wodza.

Na wieść o przybyciu Dąbrowskiego do kraju wybuchło przeciw Prusakom powstanie. Zaczął je Kalisz, gdzie dwaj generałowie kościuszkowscy rozbroili pruski garnizon i ustanowili polski zarząd, a za Kaliszem płomień powstania ogarnął cały kraj aż po Pilicę i Niemen.

Księstwo Warszawskie. Tak na ziemiach 2-go i 3-go zaboru pruskiego powstało w r. 1807 państewko, utworzone przez Napoleona i nazwane przezeń Księstwem Warszawskim. Władcą Księstwa został syn Augusta III, wyniesiony niedawno przez Napoleona do godności króla saskiego, Fryderyk August.

Urządzenie Księstwa. Nowemu księstwu nadał Napoleon

konstytucję. W Warszawie zaczął obradować sejm, ale w Izbie poselskiej prócz posłów ze szlachty zasiadali teraz także przedstawiciele miast i wsi. Poddaństwo chłopów zostało zniesione, tak samo pańszczyzna. Ale chłopu nie dano ziemi, został tedy wolnym dzierżawcą, który za uprawiany przez siebie grunt płacił dziedzicowi czynsz według umowy. W sądach wprowadzono zbiór praw czyli kodeks Napoleona. Powstał też wówczas



Fryderyk August

w Polsce nowy stan urzędników, zawisłych od rządu i przezeń płatnych, co przyczyniło się do wprowadzenia w kraju porządków na wzór innych krajów europejskich.

Ale największe zasługi położył rząd Księstwa koło urządzenia szkolnictwa, w czem wstępował w ślady Komisji Edukacji

Narodowej. Zaczęto tworzyć uniwersytet w Warszawie, poprawiano i zakładano nowe szkoły średnie, a już szczególnie wiele uczyniono dla podniesienia oświaty ludu. Założono tyle szkółek po wsiach i miasteczkach, że kiedy Prusacy zostawili ich po sobie zaledwie 150, to za Księstwa w kilku latach wzrosła ta liczba prawie dziesięciokrotnie.

Naród garnał się do pracy nad urządzeniem sobie życia na wydartej z rąk zaborcy części Ojczyzny i pełen radosnej nadziei oczekiwał niecierpliwie lepszej przyszłości.

23. JAK KSIĄŻĘ JÓZEF BIŁ AUSTRIJAKÓW

Nowy wódz. Kościuszko odmówił przyjęcia naczelnego dowództwa w wojsku Księstwa Warszawskiego. Należało się więc ono Dąbrowskiemu, „najwaleczniejszemu z walecznych“, jak go w Polsce nazwano, temu, który Ojczyźnie oddał całe swe mienie, a teraz długie miesiące leczył się z ran, otrzymanych w ostatniej wojnie.

Ale Napoleon zarządził inaczej. Chorego generała Dąbrowskiego hojnie wynagrodził dobrami w Poznańskim, a zwierzchność nad wojskiem oddał księciu Józefowi Poniatowskiemu. Z początku wojsko sarkąło przeciw wodzowi, który przez 10 lat tułaczki polskiego żołnierza żył beztrosko w Warszawie, w swoim pałacyku pod Zamkiem, ale nowy wódz okazał tyle zapału w pracy około urządzenia armji i tyle męstwa na wojnie, że wkrótce zjednał sobie niemniejszą od Dąbrowskiego sławę i wdzięczność narodu.

Nowa wojna. Napoleon toczył zacięte boje w Hiszpanji, której wbrew woli narodu narzucił na króla swego brata. Wyzyskała tę chwilę Austria i wydała nową wojnę Napoleonowi i sprzymierzonemu z nim Księstwu Warszawskiemu.

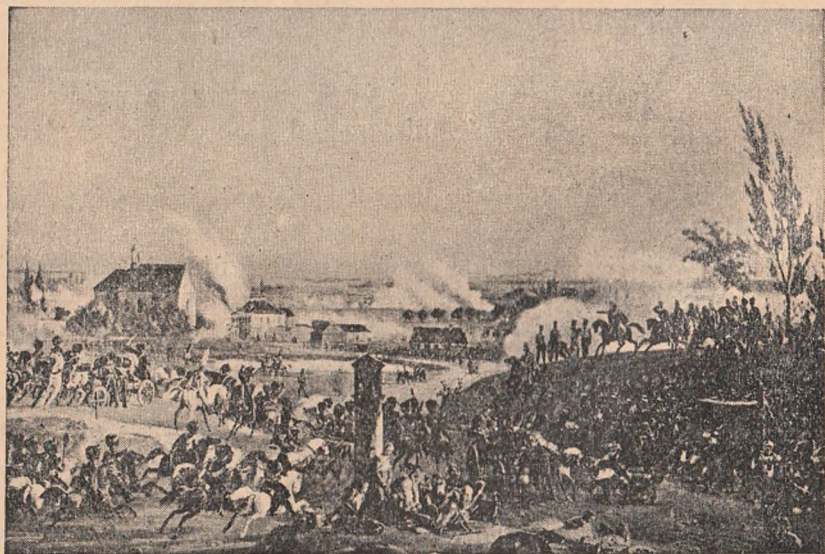
Wojsko polskie liczyło wtedy 30.000 ludzi, ale znaczna jego część już to biła się w Hiszpanji, już to stała garnizonami (załogami) po niemieckich miastach, tak, że tylko 14.000 żołnierzy rozporządzał ks. Józef, kiedy Warszawie, leżącej niedaleko ówczesnej austriackiej granicy, zagroziła 3 razy silniejsza armja austriacka.

Posel francuski radził bronić się w Warszawie i czekać, aż Napoleon pobije Austrię na jej zachodnich granicach.

— Bronić się? — rozmyślał ks. Józef. — I wyczekiwać obcego zwycięstwa? A po zwycięstwie łaski sprzymierzeńca? — Nie, nie zamknę się w Warszawie. Wkroczy do zaboru austriackiego, wywoła tam powstanie i bez obcej pomocy zdobędzie polskie ziemie aż do Karpat!

I ks. Józef Poniatowski ruszył na czele swych nielicznych wojsk z Warszawy, by o dwie mile od miasta stoczyć sławną bitwę pod Raszynem.

(Straż przednia. Droga, wiodąca z Warszawy na południowy zachód, przecina się w Raszynie pod prostym kątem z małym dopływem Bzury. To miejsce obsadził ks. Józef swojemi 30 działami; na prawo i lewo od drogi obstawił północny brzeg bagni-
stej rzeki piechotą, a nieliczną konnicę wraz z paru bataljonami pieszych wysłał naprzód jako straż przednią. Poszła ona groblą, usypaną między bagnami i moczarami w południowej stronie od Raszyna; tą groblą nadchodzili Austriacy. Koło południa książę usłyszał odgłos walki. Wskakuje na konia i pędzi groblą ku bitwie. Austriacy następują na olchowy lasek. Długo nie mogą go zdobyć; wreszcie nadeszły dwie świeże brygady wypierają Polaków ze stanowiska. Widząc to, książę zsiada z konia, chwyta za karabin i staje na czele jednego bataljonu. Spokojnie,



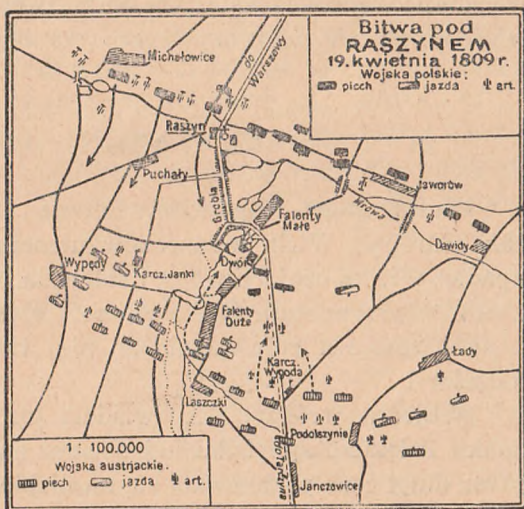
Bitwa pod Raszynem (obraz J. Suchodolskiego)

nie wypuszczając z ust fajeczki, prowadzi żołnierzy na lasek i bagnetem oczyszcza go z nieprzyjaciela.

[Raszyn. Ale oto nadchodzi kilka nowych bataljonów austriackich. Straż przednia cofa się, a za nią zbliżają się ku Raszynowi wrogie wojska. Odezwało się przeszło 80 dział austriackich, kierując ogień głównie w środek polskiego frontu, na przejście przez rzeczkę. Wódz austriacki nie próbował nawet okrążyć niewielkiego wojska ks. Józefa; uważał je za zbieranię, która za pierwszym wystrzałem rozsypie się w bezładnej ucieczce. Ale granatowe mundury polskiej piechoty stoją rzędem na straży brzegów moczarystej rzeczki i nie ustępują; spokojnie stawiają po strzale karabin do nogi, sięgają do ładownicy, znów nabijają, podnoszą broń do oka, mierzą i strzelają.

Pali się Raszyn i parę okolicznych wiosek. Grzmi przeszło 100 armat, głośniejsze stukanie karabinowego ognia, jęki rannych, warkot bębnow, krzyki komydy. Groblą na wieś sunie austriacka piechota. Jest jej więcej, niż liczy całe wojsko ks. Józefa, a ma przed sobą zaledwie 5 bataljonów piechoty i 20 armat.

— Na bagnety! — pada austriacka komenda. Przed granatowemi mundurami błysnął wąż stalowych żądał. Straszliwy krzyk tysięcy wrogów miesza się z jękiem raszyńskiej ludności, patrzącej z pagórków za wsią na mord i pożogę. Wali się wroga lawina na kilka polskich bataljonów i samą masą spycha je ku rzeczce. Wtem słychać głos trąbki: ks. Józef nakazuje cofać się za rzekę. O kilkaset kroków za wsią sprawia wojsko, ściąga całą swoją artylerję, staje przy działach i kieruje ogniem. Bronić przejścia przez rzekę! Morderczy ogień 30 dział kładzie poko-



tem wysuwające się z za dymów Raszyna wrogie oddziały. Przysuwająca się austriacka artylerja cichnie, szukając napróżno twardego gruntu do ustawienia dział. Z zamieszania korzysta ks. Józef: rzuca swój front do ataku i wieczorem odzyskuje Raszyn.

Zwycięska wojna. Była to pierwsza wojna od czasów Sobieskiego, którą wygrali sami Polacy bez obcej pomocy. W kilku miesiącach bowiem zdobył ks. Józef oba zabory austriackie i wszedł witany jako zbawca do Krakowa. Ale Napoleon w pokoju, zawartym z Austrią, zostawił jej pierwszy zabór prawie w całości; w granice Księstwa Warszawskiego wszedł tedy tylko zabór trzeci, z Krakowem, Sandomierzem i Lublinem.

24. O ROKU 1812

Szczyt potęgi Napoleona. Potęga Napoleona przygniatała całą Europę. Wielu monarchów utraciło trony, wiele państw upadło. Wielka część Europy hołdowała Napoleonowi, inna była z nim w przymierzu. Tylko morzem oblana Anglja prowadziła z nim wojnę, a gotował się do niej także rosyjski car, Aleksander I.

Wojenne wróżby. Zapowiadały ją, jak wierzano, różne znaki. Z lękiem spoglądał lud nocami na wielką kometę, która przez długi czas pokazywała się na niebie, potężnym warkoczem zamiatając ogromną część nieba. Potem zjawił się głód. Z powodu posuchy w niektórych okolicach Polski zabrakło na przednowku r. 1812 chleba i paszy. Wprawdzie pola zapowiadały niebywałe urodzaje, ale tymczasem ludzie marli z głodu. Warszawie zabrakło mięsa; chleb, sól, świece, któremi oświetlano wówczas mieszkania, i inne artykuły codziennego spożycia tak podrożały, że urząd ustanowił na nie „taksy“, t. j. ceny, których nie wolno było przekraczać.

Wielka armja. Mimo to nieopisany zapał ogarnął biedującą stolicę na wieść o wojnie z Rosją.

— Jest już Polska! — wołano w uniesieniu na ulicach Warszawy i całowano się z radości. Polacy byli bowiem pewni, że nadchodzi chwila zmartwychwstania przedrozbiorowej Rzeczypospolitej.

Bo też od wieków nie widziała Europa tak ogromnej armji, jak ta, na której czele szedł Napoleon na Moskwę. Przeszło 600.000 żołnierzy słuchało jego rozkazów. Słysząc tam było wszystkie języki środkowej i zachodniej Europy. Piątą część armji stanowili Polacy. Ale też tylko oni, oprócz Włochów, byli niezawodnymi sprzymierzeńcami cesarza; różne podległe mu wojska, zwłaszcza niemieckich władców, szły niechętnie na tę wojnę, a zmuszeni do dostarczenia posiłków Austriacy i Prusacy od początku obmyślali zdradę.

Pochód na Moskwę. Tylko jednak trzecią częścią wojsk polskich, nazwaną polskim korpusem, dowodził ks. Józef Poniatowski; reszta była rozdzielona między wojska innych napoleońskich wodzów. Szedł ten polski korpus na prawem skrzydle wielkiej armji, a potem przed nią, odbijając natarcia wojsk rosyjskich. Moskale przeważnie unikali otwartej bitwy i cofali się przed wielką armją, pustosząc po drodze kraj, aby zniszczyć nieprzyjaciela głodem. Jakoż wkrótce po przejściu Niemna armji zabrakło żywności. Zdzierają się też w długim marszu buty i niszczyły mundury. Na dobitkę w armji wybuchły zakaźne choroby, zwłaszcza czerwonka. Coraz więcej chorych zostawało po drodze, a i z pomiędzy zdrowych, ale głodnych, bosych i obdartych żołnierzy wielu przepadało, aby rabunkiem poprawić mizerny żywot; ci zwykle wpadali w rosyjską niewolę. Półtora miesiąca trwał ten marsz na Moskwę, a chociaż Napoleon kilka tylko stoczył bitew, opłacił pochód stratą pół miliona ludzi: niewiele więcej nad 100.000 żołnierzy wydało pewnego wrześniowego dnia radosny okrzyk na widok stolicy carów.

Leżała przed nimi, widoczna z ostatniego nad miastem pagórka. Świeciła się setkami złożonych cerkiewnych kopuł. W zieleni ogrodów tonęły wspaniałe pańskie pałace. Wznosiły się wśród miasta okazałe składy towarów całej Europy i Azji. Przeważnie drewniane domy lśniły białą gipsowej wyprawy, a nad wszystkim górował potężny Kreml, twierdza i odwieczna rezydencja władców Rosji.

Pożar Moskwy. Ale jak pusto na ulicach! Trochę żebraków, nieco służby w pałacach i sklepach, a po domach chyba chorzy i starzy, których wódz rosyjski nie zabrał, opuszczając miasto. Zostawił za to swego strasznego sprzymierzeńca: ogień! I kiedy



Odwrót armji Napoleona (przejście przez Wilno)

zwycięskie żołnierstwo upajało się rabunkiem pozostałego w mieście mienia, równocześnie w paruset miejscach wybuchły pożary. Płomienie ogarnęły domy, składy zboża, wódek, oliwy, wybuchwały podłożone przedtem umyślnie prochy. Różnobarwne słupy ognia wystrzeliwały ku niebu. Żar był taki, że nawet na Kremlu, do którego ogień nie doszedł, pękały od gorąca szyby. Nieliczni pozostali mieszkańcy, ludzie najbiedniejsi, biegali po mieście, wlokąc swe mienie w tobołach, by je ocalić przed pożarem. Jęk tych nieszczęśliwych mieszał się z okrzykami pijanych żołnierzy, rabujących wszystko, czego jeszcze nie zdołał zniszczyć ogień.

Głód, mróz. Napoleon długo zabiegał o pokój z Aleksandrem. Napróżno. Późno więc, gdy już nastały silne mrozy, nakazał odwrót. Kończyła się zaś ta wojna taką niesłychaną klęską Napoleona, jak niesłychane były jego dawniejsze zwycięstwa.

Korpus polski szedł na końcu pochodu, zasłaniając plecy cofającej się armji. Ks. Józef jechał na przedzie. Wszędzie widział nędzę i śmierć: wozy, przejeżdżające przez zamarzłe trupy, bezładne kupy żołnierzy w chłopskich kozuchach, którzy dźwi-

gali ciężkie łupy, by z głodu i zimna skonać przy swem bogactwie — koniec żołnierskiej karności, koniec wielkiej armji. Długo czekał na wolny przejazd przez zawalony wojskami most na B e r e z y n i e, dopływie górnego Dniepru. Był głodny; wystarano mu się o parę ziemniaków; jadł je ze łzami nad nędzą swoją i cudzą. Ale nie widział już straszliwej klęski, która tu spotkała resztki wielkiej armji: po jego przejeździe, wśród zaciętych walk z następującymi Moskalami, most pod ciężarem tysięcy ludzi i armat runął do wezbranej rzeki.

Wielka armja przestała istnieć. Za jej niedobitkami szedł w ślad mróz, głód i éma Moskali.

W sam dzień Bożego Narodzenia zjawilo się na ulicach Warszawy kilkuset polskich żołnierzy z uratowaną artylerją i sztandarami.

25. O BITWIE NARODÓW

Zmierzch Napoleona. Powróciwszy do Warszawy, ks. Józef zaczął natychmiast tworzyć nową polską armję. W przeciągu kilku tygodni zebrał kilkanaście tysięcy rekrutów i stanawszy z nimi w Krakowie, zorganizował z nich nowy polski korpus, poczem ruszył za granicę, by połączyć się z Napoleonem.

Tymczasem cesarz zebrał we Francji nową armję i poprowadził ją do Niemiec, by przeszkodzić połączeniu się wojsk sprzymierzonych przeciw niemu wrogów. Stał Napoleon w D r e ź n i e, skąd wypadał to na północ przeciw nadchodzącym Szwedom i Prusakom, to na wschód, skąd sunęli Moskale, to wreszcie na południe przeciw wojskom austriackiego cesarza. Ale sprzymierzeni unikali walk z samym Napoleonem, a gromili tylko jego wódzów, tak, że napierana z trzech stron francuska armja musiała cofnąć się ku zachodowi.

Ks. Józef marszałkiem Francji. Okrażony wielkiem półkolem wrogów Napoleon zatrzymał się pod L i p s k i e m, miastem w Saksonji. Na południe od miasta, na prawem skrzydle armji, znalazł się korpus polski, wystawiony przeciw nadchodzącym z tej strony Austriakom. W przeddzień wielkiej bitwy, która się tu miała rozegrać, cesarz zjawił się na stanowiskach polskich

i stąd ogłosił swym wojskom, że mianuje ks. Józefa Poniatowskiego marszałkiem Francji. Był to najwyższy stopień w armji Napoleona, toteż wojska wystąpiły w szeregach, aby wysłuchać cesarskiego rozkazu o tem wysokiem mianowaniu polskiego wodza, który, jak czytano potem w urzędowej gazecie, „we wszystkich bitwach okrył się chwałą“.

Ale ks. Józef obojętnie przyjął ten zaszczyt, choć marszałkowska buława była marzeniem każdego napoleońskiego generała. Nie przypiął nawet oznak swego nowego stopnia i przez te ostatnie parę dni, które mu do życia pozostały, podpisywał się na dokumentach nadal, jako generał, naczelny wódz polskiego korpusu.

Pierwszy dzień bitwy narodów. Tak nazwano tę trzydniową bitwę, którą w jesieni, w rok po opuszczeniu przez Napoleona Moskwy, stoczyły ze sobą pod Lipskiem wszystkie prawie narody Europy.

Od rana grzmiały polskie armaty i grzechotały karabiny piechoty, odpowiadając na ogień Austriaków, ustawionych za niewielkim dopływem rzeki Elstery. Kilka razy posuwał się wróg do ataku na bagnety i za każdym razem odtrącony cofał się za rzeczkę. Lecz tak nieprzyjacielski ogień, jak stal bagnetów wygryza coraz liczniejsze szcerby w polskich szeregach; pod wieczór słabnie ogień korpusu i Austriacy znów przevalają się przez potok. Ale wzmocniony posiłkami ks. Józef raz jeszcze odpędza wroga i bierze w niewolę dowodzącego nim generała, poczem rychła jesienna noc kładzie koniec krwawym zapasom. Znużone całodziennym bojem wojska roznieciły na stanowiskach ognie i ułożyły się do spoczynku, a ks. Józef, ranny karabinową kulą, pisał swój ostatni raport czyli sprawozdanie. Czytamy w nim, że „nieprzyjaciel nie zdobył ani pędzi terenu“, że „wojsko okazało zapał i wytrzymałość godne podziwu“, ale że polski korpus stracił trzecią część ludzi i wystrzelał wszystką amunicję.

Nurty Elstery. Cały następny dzień odpoczywały wojska po pierwszych krwawych zapasach tej wielkiej bitwy. Tymczasem sprzymierzonym wrogom przybyły posiłki: nadeszli Szwedzi, nowy korpus rosyjski i nieco Austriaków, a co gorsza, wiele z Napoleonem sprzymierzonych wojsk niemieckich przeszło na stronę nieprzyjaciół. Przeciw niespełna 200.000 Francuzów,

Włochów i Polaków stało już przeszło 300.000 Austriaków, Prusaków, innych Niemców, Moskali i Szwedów.

Wobec takiej potęgi Napoleon ściągnął w nocy swe siły bliżej ku miastu. Korpus polski znów stanął na prawem, południowym skrzydle. Ciężkie było jego zadanie: 40.000 Austriaków posunęło się rano ku jego stanowiskom. Mimo to ks. Józef utrzymał swe pozycje aż do nocy. Ale w innych miejscach front francuski powygiął się, a nadto przeszli na stronę wroga dotąd wierni jeszcze Niemcy: Sasi.

Nastał ostatni dzień „bitwy narodów“. Już w nocy nakazał Napoleon odwrót. Miał go od strony południowej zasłaniać polski korpus. Jakoż bił się po bohatersku od świtu do południa. Była chwila, gdy strzelcy austriaccy wdarli się już do miasta; ks. Józef, już trzeci raz raniony, w rękę, rzuca się na nich na czele 30 jeźdźców i zmusza Austriaków do ucieczki. Na swoją zgubę. Bo kiedy wytrwale broni miasta od południa, tymczasem od wschodu wchodzi do Lipska Prusacy, a od północy Moskale. Czas cofać się za armją. Odeszła ona jedynym wyjściem z miasta na zachód: mostem na Elsterze. Ale mostu już nie ma: wysadzili go w powietrze Francuzi, widząc zbliżających się Moskali.



Śmierć ks. Józefa Poniatowskiego (fragment obrazu J. Suchodolskiego)

Księżę cofa się z garścią towarzyszy ku rzece. Zastępują mu drogę gromady wrogów; przebija się przez nie ostrzem szabli, przyczem otrzymuje czwartą ranę: kulę w bok. Osłabiony, rozgorączkowany, chwiejąc się na koniu, gniewa się, gdy go generałowie zaklinają, by się poddał. „Trzeba mężnie umrzeć!” — odpowiada na ich naleganie, wspomniawszy o Polsce i honorze. Wtem nadbiega nowy tłum nieprzyjaciół. Księżę ostatkiem sił zdziera konia i rzuca się z wysokiego brzegu w rzekę. W tej chwili dosięga go jeszcze jedna kula i nawskróś przebija mu piersi.

Księżę Józef zsuwa się z konia i znika w nurtach Elstery.

Niedługo potem pokonany Napoleon został wywieziony na wyspę św. Heleny na południowym oceanie Atlantyckim i tam w kilka lat później umarł.

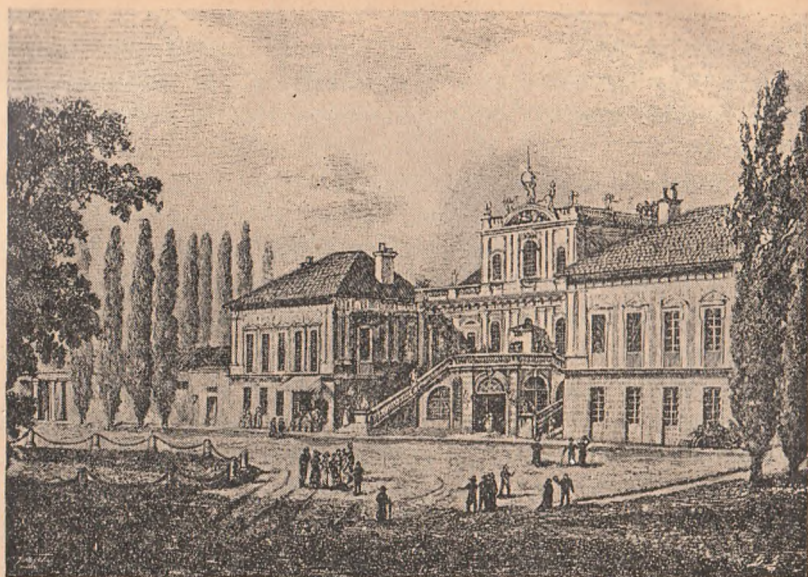
26. O PUŁAWACH

Czcigodna rezydencja.

„O, wy, wieczne pomniki narodowej sławy,
Świetne z siebie, świetniejsze z mieszkańców Puław!”

śpiewał ówczesny poeta na cześć tej rezydencji Czartoryskich, która była szkołą miłości ojczyzny, gościnnem schroniskiem polskiej nauki i poezji i wzorem towarzyskiej oglądy i obyczajności. To też między tłumami dworzan i przyjaciół rodu Czartoryskich często można było w puławskim pałacu spotkać Kościuszkę — nierzadko, nawet całemi latami przebywali tam poeci, jak Niemcewicz i inni — nieraz zjawiał się na dłuższy pobyt ks. Piramowicz i niektórzy jego koledzy z dawnej Komisji Edukacji Narodowej.

Pałac. Niżej Kazimierza nad Wisłą, obok miasteczka Puław, wzniesiony pałac przypominał siedzibę Jana Sobieskiego w Wilanowie. Podobna długość frontu, to samo regularne rozmieszczenie i ilość okien i attyka nad frontem środkowej części budynku, trzechokienne nad nią piąterko i jeszcze jedna attyka nad piąterkiem i posągi na niej i skrzydła po obu bokach pałacowego trzonu. Tylko pałac puławski jest wyższy o piętro od wilanowskiego, a druga różnica między nimi, to schody, które w Puławach wybudowano na dworze, przed frontem,



Pałac w Puławach (rycina współczesna)

tak, że zasłaniają parter czyli przyziemie budynku i prowadzą z obszernego placu przed pałacem odrazu na pierwsze piętro.

Książęta Czartoryscy. Królestwo Kongresowe. W jednej ze sal pałacu ma się odbyć teatralne przedstawienie. Aktorami są krewni i przyjaciele gospodarzy. Widzowie, to dworzanie i goście; rozmawiają o sztuce, którą mają ujrzyć, o książkach, obrazach, podróżach i wynalazkach. Osobno rozmawiają obaj gospodarze: stary książę, dawny komendant stanisławowskiej kadeckiej szkoły i przeszło 40-letni syn jego, A d a m. Przyjaciół cara Aleksandra, przyjął od niego przed laty urząd zastępcy rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, a choć po utworzeniu Księstwa Warszawskiego złożył ten urząd, mimo to zwycięski car, jadąc na kongres do Wiednia, wstąpił do Puław i zabrał ze sobą ks. Adama jako swego doradcę w sprawach polskich. Na tym kongresie, zwołanym po upadku Napoleona, urządzono na nowo Europę, niszcząc państwa, utworzone przez wielkiego cesarza. Księstwu Warszawskiemu odjęto piątą część obszaru, mianowicie Poznańskie, i oddano je Prusom, z reszty zaś Księstwa utworzono Królestwo Polskie, zwane zwykle K o n g r e s o w e m, którego królem został car

Aleksander I. Małe to państwo otrzymało wprawdzie własne wojsko i konstytucję, ale nie zadowalało księcia Adama: car bowiem często mu obiecywał, że odbuduje pod swem berłem przedzoborową Rzeczpospolitą — a obietnicy nie wypełniał.

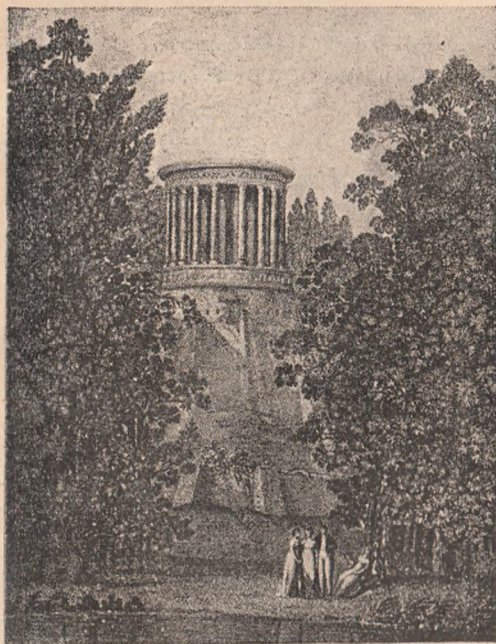
Nie dziwiło to starego księcia. Był on nieprzejednanym wrogiem Rosji i nie wierzył, by car coś zrobił dla Polski, a zresztą Aleksander był znany z tego, że zawsze inaczej mówił, niż czynił.

Praca dla ludu. Ale nietylko polityką i sztukami pięknymi zajmowali się gospodarze puławskiego pałacu. Stary książę był jeszcze za czasów stanisławowskich jednym z tych kilku dziedziców, którzy zajęli się sprawą zamiany w swoich dobrach pańszczyzny na czynsze, a w niektórych swoich wsiach pozakładał pożyczkowe kasy dla chłopów, aby nie potrzebowali zadłużać się u lichwiarzy. Jeszcze więcej trudu poświęcała ludowi księżna Izabella. Razem z córką odbywała wędrowki po swoich wsiach, aby poznać chłopskie potrzeby; zakładała wiejskie szpitale i szkoły, nakłaniała chłopów do pielęgnowania

drzew owocowych, poza tem zaś prostym językiem pisała książeczki, między niemi pierwszą dla ludu przeznaczoną historję Polski, pod tytułem: „Pielgrzym z Dobromila“.

Świątynia Sybilli.

Najwięcej zasług położyła ks. Izabella Czartoryska około krzewienia w kraju patryotyzmu. Po upadku Rzeczypospolitej stworzyła ona piękną rzecz, owego czasu w Polsce nieznaną: narodowe muzeum czyli zbiór pamiątek polskiej przeszłości. W tym celu kazała w ogrodzie wybu-



Świątynia Sybilli (rycina współczesna)

dować walcowaty, podobny do okrągłej baszty piętrowy budynek, nazwany świątynią Sybilli (starożytnej rzymskiej prorokini). Otaczały go ozdobne kolumny. Parter zajmowała sala, obwieszona tarczami z nazwiskami sławnych polskich wodzów od Jana Zamojskiego aż do ks. Józefa Poniatowskiego. Na piętrze druga sala bez okien; światło wpadało do niej zgóry, przez wielką, wypukłą szklaną tafłę, która zastępowała dach. Tu mieściło się właściwe muzeum. Pokazywano w niem miecz Jagiełły, szablę Batorego, broń Jana Sobieskiego, a kunsztownie ozdobione szafy mieściły najrozmaitsze zabytki, jak szkatułki, puchary, między niemi wazon z hebanu i kości słoniowej, utoczony ręką Kościuszki w czasach niewoli, do której dostał się po maciejowickiej klęsce.

Dziś te zbiory mieszczą się w Krakowie, w Muzeum im. Czartoryskich.

27. O TADEUSZU CZACKIM I KRZEMIENIECKIM LICEUM

Wileńskie kuratorjum. Ks. Adam Czartoryski był też kuratorem czyli opiekunem i zwierzchnikiem szkolnictwa na wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej, rozciągających się na wschód od Bugu i średniego Niemna. Zwierzchności jego podlegał również uniwersytet wileński i książę zajął się natychmiast jego poprawą: powołał nowych profesorów z pomiędzy najslawniejszych uczonych Polaków i cudzoziemców i niedługo podniósł wysoko stan nauki w założonej przez Batorego akademji.

Młodość Czackiego. Tadeusz Czacki urodził się na Wołyniu w znacznej i bogatej szlacheckiej rodzinie. Do szkół nie chodził; wychowywał go ojciec, troskliwie dobierający synowi najlepszych nauczycieli. Chłopiec pochłaniał naukę i już w dzieciennym wieku okazywał niezwykłą dbałość o wykształcenie ludu: niewiele przekroczywszy 10-y rok życia, założył szkołkę dla dzieci służby i ubogich mieszkańców rodzinnego miasteczka i sam ją utrzymywał, opłacając nauczyciela z własnej pensji, którą mu ojciec wyznaczył na dzierżinnne wydatki i przyjemności. Dorósłszy, oddał się gorliwie nauce prawa, potem studjował przyrodę, a kiedy 4-letni sejm wybrał go członkiem komisji skarbowej, jakby dzisiejszego Ministerstwa Skarbu, dwudziesto-

paroletni wówczas Czacki rzucił się tak gorliwie do badania polskiego przemysłu i handlu, że niebawem zdumiał komisję, przedstawiając jej owoc swej pracy: ogromną mapę polskich rzek, których na karcie można się było doliczyć prawie 5000, a wszystkie miały oznaczone wysokości spadków, zakręty, zawady, słowem wszystko, co żegludze rzecznej pomaga lub ją utrudnia.

Uczony i wizytator. Po upadku Rzeczypospolitej Czacki zajął się pracą nad prawami Polski i Litwy i napisał o nich książkę, która go wślawiła jako uczonego, gdy wtem ks. Czartoryski,



Popiersie Tadeusza Czackiego

kurator wileński, powołał go na wizytatora szkół południowo-wschodnich ziem dawnej Rzeczypospolitej. Nie mało natrudził się gorliwy wizytator, zwiedzając szkoły na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie. Wszędzie spotykał ruinę, wszystko bowiem, co stworzyła Komisja Edukacji Narodowej, zostało przez Targowicę zburzone i wiele musiał napracować się Czacki, zanim poprawił zło w szkolnictwie swojego okręgu.

Ale nie było w tym rozległym kraju żadnej szkoły wyższej: najbliższy polski

uniwersytet był w Wilnie, oddalonym o 100 mil od niektórych okolic Podola i Kijowszczyzny. Aby temu brakowi zaradzić, postanowił Czacki w swym okręgu stworzyć zakład, któryby nie był akademją, a był wyższy, niż ówczesne szkoły średnie.

Projekt liceum krzemienieckiego. Projekt takiej szkoły ułożył autor Konstytucji 3 Maja, główny pomocnik Kościuszki w zarządzie krajem podczas powstania, ks. Hugo Kołłątaj. Do przedmiotów, które niegdyś dla średnich szkół Rzeczypospolitej uchwaliła Komisja Edukacji Narodowej, Kołłątaj dodał nowej szkole, nazwanej liceum, takie przedmioty, jak rolnictwo, ogrodnictwo, weterynarja, t. j. leczenie zwierząt,

a nawet chirurgia, t. j. leczenie i składanie złamanych kości; ziemianin bowiem, dla którego głównie była ta szkoła przeznaczona, powinien umieć zaradzić wszystkiemu, co na wsi, daleko od lekarzy, zdarzyć się może. Szczególnie pięknie i mądrze pisał ks. Kołłątaj w projekcie nowego liceum o nauce ojczystego języka:

„Mowę naszą — czytamy — uważać powinniśmy jak skarb najdroższy, jak własność najmilszą, przez którą wszystkie umiejętności stają się przystępnymi dla umysłów tych nawet obywateli, których pamięć nie jest zdolna obciążać się znajomością mów obcych. Nie samo więc przywiązanie do ojczystej mowy skłaniać nas powinno, abyśmy około jej wydoskonalenia z największą pracowali gorliwością, ale także widoczna potrzeba publicznego oświecenia.“

Otwarcie nowej szkoły. Liceum powstało w Krzemieńcu, a pieniędzy na nie dostarczyły dobrowolne składki. Hojnie posypały się ofiary panów, szlachty i duchowieństwa i już w dwa lata po objęciu urzędu wizytatora Czacki uroczystie otwierał nową szkołę wobec tłumnego zjazdu polskiego obywatelstwa i rosyjskich dostojników. Grzmot 100 armat i dźwięki wszystkich dzwonów w Krzemieńcu towarzyszyły nabożeństwu, którem zaczęto tę uroczystość. Po nabożeństwie Czacki powitał gości, tłumacząc wielkie znaczenie liceum dla dziejów ojczystego szkolnictwa, a następnie gorąco przemówił do nauczycieli i uczniów, wzywając ich do wytrwałej pracy, poczem wręczył dyrektorowi liceum dyplom ustanowienia szkoły. Po przemówieniu dyrektora i innych mowców uroczystość zakończyła się przyjęciem na cześć licznie zebranych gości.

28. O WIELKIM PRZEMYŚLE I ROBOTNICZYM STANIE

Jerzy Stephenson. W pewnej angielskiej kopalni węgla obsługiwał kilkunastoletni Jerzy Stephenson (Stifenson) niedawno przedtem wynalezioną pompę parową i biedził się nad zrozumieniem tajemnicy powierzonej mu maszyny. Dorzucając co pewien czas szuflę węgla do paleniska, rozmyślał chłopiec całemi dniami nad niepojętą dla niego pracą pary wodnej, aż



Pociąg z lokomotywą Stephensona

wreszcie poradzono mu, aby się nauczył czytać: w książkach znajdzie rozwiązanie trapiącej go zagadki.

Tak też uczynił: zapisał się do wieczornej szkoły, a skończywszy ją, zasiadał po 12 godzinach pracy uczyć się ulubionej fizyki.

Odtąd poświęcił się budowie parowych maszyn i stał się wynalazcą **l o k o m o t y w y**, t. j. parowozu. Po żelaznych szynach, po których przedtem konie noga za nogą ciągnęły wózki z węglem do oddalonego o 13 km. portu, puścił Stephenson przeszło 100 lat temu swój parowóz, ciągnący od razu 8 wozów o ciężarze dzisiejszych 3 wagonów kolejowych. Wkrótce dodano do pociągu osobny wóz dla ludzi i mimo sarkañ i narzekañ niechętnych postępowi, którzy przewidywali, że dym parowozu zabije w kraju wszelką roślinność i podusi ludzi, zaczęto tak w Anglii, jak i w reszcie Europy i w Ameryce budować coraz dłuższe linje kolejowe, a po zastosowaniu maszyny parowej do żeglugi, coraz więcej **p a r o s t a t k ó w**.

Tkalnia Jacquarda. Robimy przeplatankę z cienkich pasków białego i czerwonego papieru. W tym celu kładziemy paski, np. białe, równolegle obok siebie (co tkacze nazywają **o s n o w ą**) i przeplatamy je wpoprzek czerwonymi (te poprzeczki zwą się **w ą t k i e m**). Jeżeli to ma być zwykła kratka, to pierwszy pasek wątku kładzie się na wszystkie nieparzyste paski osnowy, a odsłania parzyste, drugi odwrotnie, przykrywa parzyste, a odsłania nieparzyste, trzeci biegnie, jak pierwszy, czwarty, jak drugi itd. Ta praca staje się trudniejszą, kiedy chcemy z białych i czerwonych pasków utkać jakiś wzór, np. krzyżyk, kwadrat lub kwiatek. Wtedy trzeba rachować paski osnowy, które z nich, choć parzyste, mają się razem z niepa-

rzystemi znaleźć pod paskiem wątku, a praca byłaby bardzo żmudna, kiedybyśmy zamiast z pasków papieru, musieli całymi dniami tkać wymyślne wzory z nici.

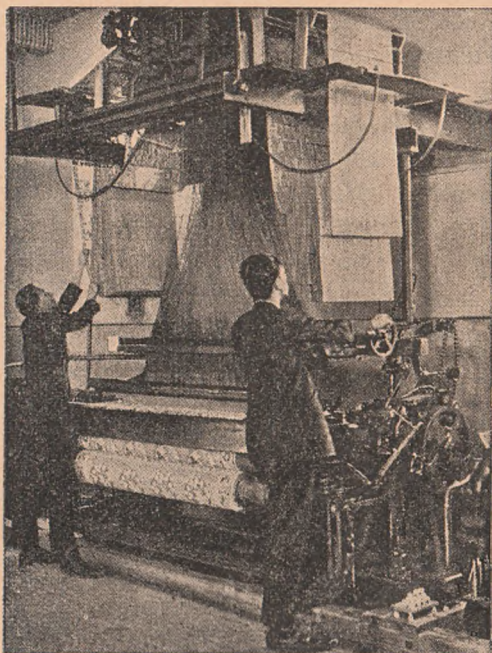
Tak przez długie lata siadywał przy krosnach swego ojca, tkacza we francuskim mieście Lyonie, młody Józef Marja Jacquard (żakard), biedząc się nad rachowaniem tych nici osnowy, które wątek musiał omijać, by z warsztatu wyszła tkanina ze wzorem odtworzonym z rysunku. Nagle pewnego dnia gruchnęła między tkaczami wiadomość, że Jacquard wymyślił jakieś nowe krosna.

Nie trzeba już ręcznie przetykać osnowy! Sama maszyna to robi! Wykluwa się wzór na kartonie i podsuwa się go pod osnowę, a jakieś druty wpadają w otwory kartonu i ściągają nici na dół!

— Więc każdy może być tkaczem? A cóż my będziemy robili?

— Jacquard odbiera nam chleb! Precz z Jacquardem! Śmierć Jacquardowi i jego krosnom!

I rozjuszony tłum wpadł do domu wynalazcy, chcąc go wrzucić do rzeki Rodanu, a kiedy Jacquard zdołał się wymknąć, tkacze zemścili się na jego maszynie i na sprzętach, łamiąc wszystko, co im wpadło pod rękę. Ale w kilkanaście lat później prześladowany przez towarzyszy Jacquard doczekał się sławy i uznania. Cesarz Napoleon ocenił użyteczność jego wynalazku i wyznaczył mu dożywotnią pensję, zaś po 10 latach pracowało już we Francji przeszło 10.000 jacquardowskich krosien.



Maszyna systemu Jacquarda

Przemysł fabryczny. Niedługo potem do pracy przy krosnach Jacquarda zaprzągnięto maszynę parową. Jeżeli zręczny robotnik mógł utkać dziennie kilkadziesiąt łokci tkaniny, to maszyna w tym samym czasie wyrabiała ich kilkaset. A wynagrodzenie robotnika fabrycznego nie było wyższe, niż warsztatowego; mógł więc właściciel fabryki sprzedawać swoje wyroby znacznie taniej, niż pracujący po dawnemu rzemieślnik. Wskutek tego fabrykanci zaczęli się nadmiernie bogacić, tworząc warstwę ludności: bogatych przemysłowców; a równocześnie wytwarzała się coraz liczniejsza klasa ludzi, która tamtym wynajmowała swą pracę: klasa robotnicza.

Niedola robotnika. Smutny był los robotnika fabrycznego. Nie było jeszcze praw, chroniących jego pracę, która też trwała po 14, 16 i więcej godzin na dobę. Nadto fabrykant czasem obniżał płacę, a wtedy robotnik wysyłał do pracy żonę i dzieci, nawet małe, aby w ten sposób zapewnić rodzinie nędzny kęs chleba. Czasem jednak fabrykę zamykano: za dużo towaru wytworzyła i nikt go nie chciał kupić. Wówczas zrozpaczeni robotnicy rzucali się na fabrykę i niszczyli ją, co kończyło się nadejściem policji i kilku karabinowemi salwami — albo też szli z rodzinami w świat, by znaleźć pracę w innej fabryce.

29. JAK POWSTAŁ ŻYRARDÓW

Książę Lubecki. Nielada to była praca, której podjął się książę Drucki-Lubecki, minister skarbu Królestwa Kongresowego. Po Księstwie Warszawskim objął kasy puste; w tem państwie, którego krótkie istnienie upłynęło na wojnach i na przygotowywaniu się do nich, niewiele dbano o skarb. Trzeba go więc było napęłnić. W jaki sposób? Rzecz prosta: należy z obywateli, spóźniających się z płaceniem nodałków, ściągać je przymusowo. To zarząd: [redacted] nie zjednało nowemu ministrowi skarbu przychylności wielu obywateli, a już krzyk podniósł się, kiedy ks. Lubecki nakazał podległym mu urzędowi ściągać także dawne należności, zalegające jeszcze od czasów Księstwa Warszawskiego. Wreszcie, kiedy w miarę, jak kraj dźwigał się z klęsk niedawnych wojen, minister zaczął dawne podatki podnosić, niechęć do niego przeszła prawie w nienawiść.

Nie przez wszystkich więc w kraju był lubiany książę Lubecki, choć był to jeden z najrzadniejszych gospodarzy, jakich Polska kiedykolwiek miała. Za jego staraniem powstawały nowe fabryki i podnosiły dobrobyt narodu. Dążył on do tego, aby Królestwo mogło wytwarzać wszystko, czego potrzebowało, i aby nie było w niczem zależne od sąsiadów. Coraz mniej więc pieniędzy odpływało zagranicę, a coraz więcej miał ich obywatel, a wskutek tego i skarb państwa miał zawsze więcej dochodów, niż wydatków, choć przeznaczano z niego wielkie sumy na różne pożyteczne cele.

Plótno. Kiedy ks. Lubecki obejmował urząd, nie było w Królestwie ani jednej fabryki płótna; tylko w okolicach Kalisza, w tamtejszych tkackich osadach, wyrabiano pośledniejsze gatunki płócien na sprzedaż.

Minister obliczał, jakie sumy odpływają corocznie z Królestwa Polskiego do Niemiec i Holandji za tamtejszą lnianną manufakturę: delikatne płótna, chusteczki, obrusy i t. d. — i postanowił przez założenie tkackiej fabryki zatrzymać choć część tych pieniędzy w kraju.

Zaczął więc nakłaniać bogatych ludzi, aby założyli spółkę i zbudowali fabrykę; gdyby im nie wystarczyło gotówki, założony przez ministra Bank Polski udzieli im taniego kredytu, t. j. pożyczki na niewygórowany procent.

Wprawdzie krajowcy len nie nadawał się do sporządzania delikatniejszych tkanin, ale nie mieli dobrego lnu także i Niemcy i Holendrzy,



Ksawery Drucki - Lubecki

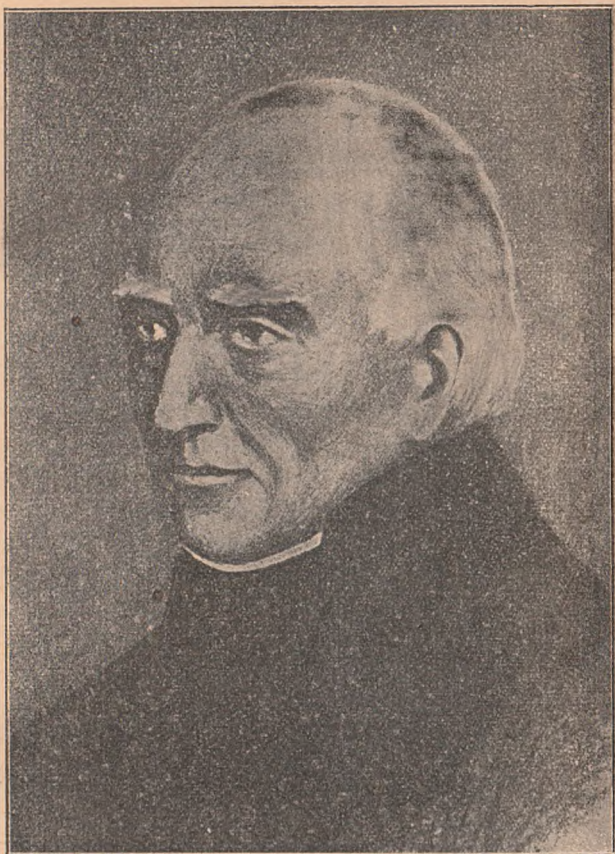
i sprowadzali go aż z Litwy. A z Litwy bliżej do Królestwa, niż do tamtych krajów, więc i transport (przewóz) lnu mniejby kosztował Polaków, niż Niemców i Holendrów. Nie było jednak w kraju wprawnych robotników; zanimby polski fabryczny tkacz nabył biegłości w pracy, fabryka mogłaby upaść, nie mogąc wytrzymać konkurencji (współzawodnictwa) ze starym przemysłem zagranicznym. Ale i nato była rada: nałożyć wysokie cło na towar zagraniczny, aby go nie można sprzedawać taniej od wyrobów krajowych.

Girard. Brakowało więc tylko inżyniera, któryby umiał urządzić fabrykę. Wskazał go książę Lubecki: najlepiej to uczyni Filip Girard (żirard), Francuz, wynalazca maszyny do przędzenia lnu. Nie miał on szczęścia Jacquarda: Napoleon nie poznał się na użyteczności jego wynalazku i odmówił mu poparcia, wskutek czego Girard, szukając chleba, wywędrował do Niemiec. Za sprawą ks. Lubeckiego sprowadzono go do Warszawy, a spółka, którą utworzyli: warszawski mieszczanin Scholtz (Szolc), dwaj Łubieńscy i nadto dwaj inni zasobni w pieniądze kapitaliści (bogacze), zawarła z Girardem układ: spółka otrzymała od niego prawo wykorzystywania jego wynalazku, a wynalazca miał urządzić fabrykę i zostać jej dyrektorem.

Mieli też co oglądać i czego słuchać spółnicy, kiedy im Girard przedstawił rysunki maszyn i zaczął je objaśniać. Jakoż godzinami podziwiali przędzalnię, która miała dziennie tysiące garści lnu przerabiać na nici i krosna Jacquarda, i magle do wygładzania płótna i nadawania mu połysku, a wreszcie blichy do wybielania tkaniny.

Scholtz i Ska (spółka, skrót). Ale łatwiej było wynalazcy wykonać rysunki, niż otrzymać zbudowane według rysunków maszyny. Jakoż minęło 6 lat od podpisania układu, zanim Girard zdołał uruchomić pierwszą mechaniczną tkalnię lnu w Polsce, którą zrazu umieszczono pod samą Warszawą, a później przeniesiono do nazwanego od nazwiska wynalazcy Żyrardowa. Zafurczały tedy wrzeczona w Żyrardowie: gotowe nici pobiegly ku krosnom, snując wątek i nawijały się już jako tkanina na potężne wały, skąd następnie szły do magli, a stamtąd, wygładzone, do blichu. Paruset robotników doglądało kilkunastu maszyn i odstawiało gotową manufakturę na wielkie bryki, które żyrardowskie wyroby rozwoziły po kraju.

30. O WIELKIM SYNU MAŁEGO MIASTECZKA



Ks. Stanisław Staszic

Ojciec polskiej demokracji. Urodzony w ostatnich latach panowania Augusta III, był Staszic synem burmistrza wielkopolskiego miasteczka Piły, dziś od Polski odciętego niemiecką granicą. Urodził się więc mieszczaninem, to znaczy, że przed chciwym nauki chłopcem, który nie chciał być rzemieślnikiem albo kupcem, wszystkie inne zawody były zamknięte z wyjątkiem duchownego.

Czuł zaś w sobie wielkie siły, które chciał oddać na ratunek upadającej Rzeczypospolitej. To też po powrocie z podróży po obcych krajach, osiadłszy w Warszawie jako nauczyciel dzieci

jednego z panów, napisał przed sejmem 4-letnim dwie książki, nawołując w nich do gruntownej reformy państwowych urzędów. Żądał tedy dziedzicznej i silnej królewskiej władzy. Ale ta nie wystarczy dla obrony kraju; trzeba mieć wielką armję. Armja znów wymaga bogatego skarbu, a skarb obfitych podatków. Skąd je wziąć? Niech płacą ci, co posiadają prawie wszystką ziemię w Rzeczypospolitej: szlachta i panowie. Pierwszy to raz usłyszały w Polsce stany wyższe żądanie podatków; dotychczas płacił je tylko chłop i mieszczanin. Ale i szlacheckie podatki — rozważał ks. Staszic — nie wystarczą na pokrycie potrzeb państwa; trzeba więc zwiększyć dobrobyt ludu, aby mógł płacić więcej, niż dotychczas. Jak to uczynić? Oto dać chłopom ziemię; na własnej będą pracowali lepiej, niż na pańskiej.

— Bunt! Prawo posiadania ziemi ma tylko nasz (szlachecki) naród! — krzyczy szlachta, ale natychmiast znajduje w książce śmiałego księdza wytłumaczenie, że szlachta, to nie naród, tylko część jego, że naród, to wszystkie stany, tak ze sobą spojone, że szczęście i nieszczęście jednego dotyka jednako wszystkie inne. Trzeba więc, aby szlachta przyznała swoje prawa wszystkim nieszlachcie.

Żąda tedy Staszic, pierwszy od wieków z pisarzy polskich, równych praw dla wszystkich stanów czyli urządzeń demokratycznych, jak je z grecka zowiemy, i dlatego też nazwano go ojcem polskiej demokracji.

Uczony i minister. Konstytucja 3 Maja, dopuszczająca mieszczan do urzędów, upadła razem z Rzeczpospolitą, ale dzięki prawom Księstwa Warszawskiego, a potem Królestwa Kongresowego, Staszic dostąpił godności radcy Stanu, a wreszcie ministra przemysłu i rękodzieła. Zająwszy to stanowisko, oddał krajowi wielkie usługi: ulepszał i zakładał kopalnie rud żelaznych, miedzianych i cynkowych, opiekował się hutami, wytapiającami z rud metale, tworzył fabryki i pomagał rzemiosłom. Wiele mu zawdzięczało szkolnictwo, wiele też dróg dobrych powstało w kraju dzięki jego staraniom.

Był bowiem przygotowany do swego urzędu, jak nikt inny w ówczesnej Polsce. W licznych podróżach po kraju badał jego budowę. Wdzierał się w głąb górskich pieczar, poszukując w nich kruszców i soli, badał rzeki i jeziora, poznawał rzemiosła w różnych częściach Polski, rysował mapy zbadanych przez siebie

okolic, a o Karpatach napisał pierwsze w Polsce dzieło, które go wślawiło w kraju i zagranicą jako uczonego geologa, t. j. zajmującego się nauką o budowie ziemi. Ale nie tylko uczoności dowiódł Staszic w swej książce o Karpatach; czytając ją, widzimy, że została napisana przez gorącego patriotę. Oto jak np. odzywa się do polskiej młodzieży: „Bądźcie ludźmi oświeconymi, pracowitymi i cnotliwymi! Uczcie się poznawać tę ziemię, która was zrodziła, oddajcie się naukom rolnictwa, przemysłowi, wynalazkom; coraz więcej przywiązujcie się do tej ziemi, kochajcie ją i wślawiajcie!“

„Paść może naród wielki, zniszczyć nie może, tylko nikczemny!“

Spółka Hrubieszowska. Najpiękniejsze jednak dzieła Staszica są bodaj te, które powstały z jego szczodrej ofiarności. Kupiwszy dobra hrubieszowskie nad Bugiem, urządził je tak, jak chciał, by była urządzona każda wieś w Polsce. Ponieważ chłop został wprawdzie za Księstwa uwolniony od poddaństwa i pańszczyzny, ale nie posiadał ziemi, tedy ks. Staszic, który już dawniej nawoływał dziedziców do obdzielenia chłopów ziemią czyli do uwłaszczenia ich, przedewszystkiem sam to uczynił w kupionych przez siebie dobrach. Oddał więc ziemię chłopom i wszystkich ich połączył w jedną spółkę. Część dochodów spółki przeznaczył jako zapas na wypadek potrzeby ratowania spółników w razie jakiejś klęski, np. pożaru albo nieurodzaju. Jeżeli który spółnik dopuścił się jakiegoś nieuczciwego postępku, spółka musiała go z pomiędzy siebie usunąć.

Na dokonanie tego dzieła poświęcił ks. Staszic cały swój majątek. Istnieje też ono do dziś pod nazwą „Spółka Rolnicza Hrubieszowska“.

„Skąpy“ ksiądz. Była to jego najhojniejsza ofiara. Ale nie jedyna. Zwłaszcza gdy szło o oświatę, oddawał ks. Staszic wszystko, co posiadał. Aby zaś móc narodowi ofiarować jak najwięcej, sam żył oszczędnie, jak skąpiec. Znany był w Warszawie ubogo wyglądający powóz ministra przemysłu i rękodzieł. Mieszkał też jego właściciel skromnie i chodził w wyszarżalym płaszczu. Bardzo lubił teatralne widowiska, ale, żałując sobie pieniędzy, chodził na p a r a d y z, jak nazywano galerję z najtańszemi w teatrze miejscami.

Wolał służyć narodowi, niż sobie.

31. CZEGO ŚWIADKIEM BYŁ PLAC SASKI ZA CZASÓW W. KSIĘCIA

Przeгляд wojska. Piękny to był widok, kiedy na placu Saskim odbywał się przeгляд wojska.

Jakby jakiś ogromny stwór zaległ cały plac i przy dźwiękach muzyki drgał na komendę, sypiąc iskry z lśniących karabinów, zrzucających z ramienia do prezentowania, do nogi, do oka, do ataku na bagnety. Wzdłuż długich szeregów bielily się

krzyże pasów na granatowych żołnierskich piersiach; dołem szlaku białych krzyży biegła wstęga żółtych lampasów; w słońcu lśniły się srebrzyste orły na wysokich czapkach, i guziki i epolety na ramionach oficerów i błyskawice obnażonych szabel w ich rękach.

Nagle drgający stwór rusza. Suną kompanje, bataljony, pułki, zwracają się w prawo, w lewo i tak, jak nagle ruszyły, stają jak wryte. Nikt na włos nie wystąpił z szeregu naprzód, nikt na włos nie został w tyle. To chyba nie są żywi ludzie. To maszyna. Na komendę chodzi, zawraca, rozsypuje się na mniejsze części, znów gęstnieje i wysuwa wstęgi szeregów, jak najpiękniejszy taneczny korowód.

Naczelny wódz. Naczelny wódz zadowolony. Wielki, barczysty, o krótkiej, grubej szyi, zduszonej ciasnym a wysokim kołnierzem, o wielkiej głowie, tłustej, czerwonej twarzy, prawie bez nosa, ale z nadmiernie wystającym, wypukłym czołem, z białozółtymi, krzaczastymi brwiami, małymi niespokojnymi oczyma — był W. Książę Konstanty zgoła nie-



Wielki książę Konstanty

podobny do swego brata, króla polskiego i zarazem cesarza rosyjskiego, dorodnego Aleksandra I.

Był zadowolony. Cieszył się polskiem wojskiem i kochał je: wpadał w szalony gniew, gdy usłyszał o niem coś uwłaczającego. Oszczędzał go: nie pozwolił go wysłać na wojnę z Turcją. Bronił go przed oskarżeniami: kiedy namiestnik Królestwa Polskiego, stary generał napoleoński, powiedział raz W. Księżu, że w wojsku szerzą się spiski, rozjątrzony wódz — jak zapisał świadek tej rozmowy — „nagadał namiestnikowi rzeczy dość nieprzyjemnych“ i zakończył temi słowy:

— Ja, choć cudzoziemiec, jestem przecie lepszym Polakiem od pana! I ja obronię Polaków przed cesarzem!

W. Książę był z przeglądu zadowolony. Wtem zauważył, że jednemu z żołnierzy brakuje guzika. Carski brat zmienił się w rozjuszona zwierzę. Nieprzytomny z gniewu skopał winowajcę i skazał go na karę 100 kijów. I znów ruszyły szeregi i wykonywały ćwiczenia ku zadowoleniu naczelnego wodza.

Potwór. Ten potwór „wszystko robi raptusami (gwałtownemi napadami). Nic podobnego nie było pod słońcem: rozumny i szalony, okrutny i ludzki“.

Tak mówił o carskim bracie stary już wówczas Niemcewicz, a major 4-go pułku piechoty, **Walerjan Łukasiński**, opowiada, jaki widok przywitał go, kiedy w czasie kongresu wiedeńskiego wrócił z niewoli austriackiej do służby w polskim wojsku.

„Przy przeglądaniu jednego oddziału, przybyłego z Francji, żołnierz pewien, jak było przyjęte (w armji napoleońskiej), wystąpiwszy naprzód i sprezentowawszy broń, chciał uczynić jakieś przedstawienie (zażalenie albo prośbę): sto kijów było nagrodą za taką śmiałość. Wtenczas poznano, czego można się spodziewać od podobnego wodza. Najmniejsze uchybienie karano, jak zbrodnię. Jeden młody podoficer oddalił się na moment od swojej warty i został zabity kijami, kiedy najsurowsza kara byłaby naznaczona utratą stopnia. Sto kijów to była najmniejsza kara; w przypadku (czasem) posuwał (W. Książę) liczbę tę do tysiąca. On nie lubił rozlewu krwi (bitwy); on tylko znajdował ukontentowanie w męczeniu ludzi. Kajdany, kule działowe z łańcuchami, ważącemi 18 funtów, noszone przez więźniów przy ciężkiej pracy, były zwyczajnie używane“.

Samobójstwa. Maszyna na placu Saskim skamieniała. Przez chwilę nie pada żadna komenda. W. Księżę szaleje. O drobno-stkę: o czyjś tam nierówny krok.

— Stój! — krzyczy i wpada z koniem na oficera. — Pod karabin i do szeregu!

Struchlały oficer bierze podany mu karabin i staje w szeregu jak prosty żołnierz, a naczelnny wódz, jakby z gniewu stracił przytomność, obrzuca prostackimi obelgami nieszczęsnego winowajcę, wszystkich oficerów polskich i wkońcu wszystkich Polaków, którymi się zwyczajnie chwalił i których dręczył taką swoją osobliwą, dziką miłością.

A nieszczęśliwy oficer, przywłókszy się po przeglądzie do domu, pisze pożegnalne listy do rodziny i wystrzałem z pistoletu odbiera sobie życie.

Przez kilka lat zabijało się po kilkunastu oficerów rocznie, nie mogąc znieść szaleńczych wybryków wodza. W. Księżę był przerażony; raz odwiedził odratowanego samobójcę i wyczałował go, prosząc o przebaczenie, ale mimo to nie wyzbył się swojej dzikiej popędliwości.

Na placu Saskim, podczas przeglądu wojska, z pod daszków wysokich czap ścigały W. Księcia coraz częściej spojrzenia śmiertelnej nienawiści.

32. O FILOMATACH

Miłośnicy nauki. W Wilnie, w mieszkaniu jednego ze studentów tamtejszego uniwersytetu, zebrało się kilkunastu młodzieńców. Zwołał ich tu prezes czyli przewodniczący tajnego towarzystwa Filomatów (miłośników nauki). Tak już bowiem było wówczas w Europie, po upadku Napoleona, w czasie niewoli wszystkich narodów, uciskanych przez samowładne rządy, że wszystko, co gorętsze, zakładało tajne towarzystwa, które też szerzyły się tak w wojsku, jak między cywilnymi, a zwłaszcza młodzieżą uniwersytecką, a nawet gimnazjalną.

Różne były cele tych towarzystw; niektóre przygotowywały rewolucje, inne miały za zadanie uprawianie dobroczynności, np. troskę o wojennych inwalidów i sieroty po żołnierzach, a Filomaci — pielęgnowanie nauki.



Uniwersytet wileński (na lewo)

Mowa Mickiewicza. Za stołem stanął prezes, syn adwokata z Nowogródka, niespełna dwudziestoletni Adam Mickiewicz. Gwar cichnie, a mowca zwraca się do stojącego przed stołem młodzieńca w następujących słowach:

— Szanowny towarzyszu i bracie nasz! Koledzy, poznawszy twoje zdolności, gorliwość, dobrą chęć, szlachetne serce i uczciwy charakter, wynoszą cię na stopień członka Towarzystwa Filomatycznego.

• Towarzystwo to zawiązało się w celu przyniesienia pożytku krajowi, rodakom i sobie samym, a obrało do tego drogę nauki. Aby uniknąć grożących nam wszędzie niebezpieczeństw, połączyliśmy drobne siły nasze i postanowiliśmy wspierać siebie nawzajem, oświecać i zachęcać. Znasz już trochę tę naszą pracę, oglądałeś ją zdaleka, teraz poznasz ją zbliska.

Obowiązkiem moim jest przypomnieć ci prawa, które rządzi naszym towarzystwem. Celem jego są ćwiczenia naukowe, a zasadą, na której byt Towarzystwa polega, są: skromność, otwartość, szczerą chęć przyniesienia pożytku i tajemnica wszystkich czynności. Każdy z nas musi co cztery tygodnie przedstawić pismo wierszem lub prozą, w rodzaju bądź poważnym i uczonym, bądź wesołym i do zabawy służącym. Członkowie, którzy takich opracowanych przez siebie pism oddać nie będą mogli, muszą przed oznaczonym terminem przedłożyć przychyne niedopełnienia obowiązku.

Dotąd mówiłem, jak naczelnik. Jeżeli w tem miejscu, poświęconem obradom nad ogólnem dobrem, mogę odezwać się do ciebie, jak przyjaciel do przyjaciela — odnowię pamiętkę niezachwianej przyjaźni, która od lat dziecinnych nas wiąże. Przyjacielu! Oto są moi przyjaciele! Spodziewam się, że pozyskasz ich zaufanie, będziesz takim, jakim każą ci być święte dla ludzi czułych prawa przyjaźni i święte dla członków prawa Towarzystwa!

Pieśń Filomatów. W ten sposób przyjął Mickiewicz do związku swego przyjaciela, *Jana Czeczotę*, a następnie podszedł ku niemu i serdecznie go uścisnął. Z radosnym gwarem zbliżyli się do nowego członka studenci i brali go w objęcia. Wreszcie odezwał się ulubiony przez młodzież, roztropny *Tomasz Zan*:

— Przyjaciele! Adam pięknie przemawiał, ale mówił prozą, a on przecie poeta i włada raczej wierszem. Zaśpiewajmy więc sobie jego piosenkę, dla nas napisaną! Lepiej ona określa nasze cele, niż wszystkie uczone przemowy!

Jakoż za chwilę zgodny chór zaczął śpiewać pieśń, która kończyła się słowami:

.....kto jest w naszym gronie,
Pomnij na przysięgę swoją
I w każdej chwili żywota

Czy przy plugu, czy w koronie,
Niechaj ci w umyśle stoją:
Ojczyzna, nauka, cnota!

Na zakończenie zebrania jeden z członków odczytał opracowane przez siebie sprawozdanie z najnowszych naukowych francuskich czasopism.

Męczeństwo młodzieży. W kilka lat potem, w dzień 3 Maja, zdarzyło się, że Michał Plater, uczeń klasy 5-ej wileńskiego gimnazjum, napisał na szkolnej tablicy słowa: „Wiwat Konstytucja 3 Maja! Jak słodkie wspomnienie dla nas, rodaków!“ — a później dopisał ktoś: „lecz niema, ktoby się o nią upomniał!“ Doniesiono o tem W. Księciu Konstantemu, który wysłał do Wilna naczelnika rosyjskich szpiegów w Królestwie Kongresowem. Ten kazał uwięzić wielu uczniów gimnazjalnych i studentów uniwersytetu tak ówczesnych, jak i dawniejszych, między nimi Zana, Czeczota i Mickiewicza, wtedy już nauczyciela gimnazjum w Kownie. Prawie cały rok trwało śledztwo; rosyjscy urzędnicy chcieli wykryć spisek, dążący do rewolucji, a choć takiego spisku nie było, mimo to Plater i niektórzy inni zostali skazani „w sałaty“, t. j. na służbę w rosyjskim wojsku, która trwała 25 lat, a Mickiewicz, Zan, Czeczot i wielu innych na wygnanie w głąb Rosji.

33. O WALERJANIE ŁUKASIŃSKIM

Przysięga. W dobie najdzikszej samowoli W. Ks. Konstantego, kiedy już w Polsce tracono resztki nadziei odbudowania Ojczyzny przy pomocy cara Aleksandra I, w majowy poranek, w gąszczu bielańskiego lasu pod Warszawą, stanęło wkoło 10 cywilnych i wojskowych. Otaczali jedenastego; obok niego tkwiła w ziemi szpada, na której rękojeści umieszczono z żelaza lany medaljon z popiersiem Kościuszki. Człowiek w kole wzniosł w górę rękę uzbrojoną w sztylet, a jeden z grona czytał z kartki następujące słowa: „Przysięgam w obliczu Boga i Ojczyzny i ręczę słowem honoru, iż użyję wszelkich sił do wskrzeszenia mojej nieszczęśliwej Matki, że poświęcę dla jej wolności i niepodległości mój majątek i życie....“

Tak zaczynała się rota przysięgi członków nowo utworzonego związku, zwanego Towarzystwem Patriotycz-

ne m. Założył je ów przewodniczący ze sztyletem w rękę, człowiek ogólnie znany w Warszawie z lekkomyślności. Jeden z obecnych, major Łukasieński, badał go uważnem spojrzeniem. Nie podobał mu się.

Szpiedzy. Kraj roił się od szpiegów. Łukasieński w swoich pamiętnikach naliczył 14 rodzajów różnej policji. Gdy więc na drugi dzień spiskowcy zebrali się w mieszkaniu pułkownika Prądzyńskiego, podał ktoś radę, by się nie schodzić w prywatnych domach.

Poszli tedy grupkami do pewnej gospody na Pragę i w ogródku czekali reszty wtajemniczonych. Nie uszło to jednak uwadze jakichś tajnych policjantów.

„Przyшло ich zaraz dwu patrzeć — opowiada Łukasieński — co my robić będziemy. Jeden z nich wszedł (do gospody), a drugi został na dziedzińcu, rozmawiając z szynkarką. Wypytywał się, co my tu robimy“.

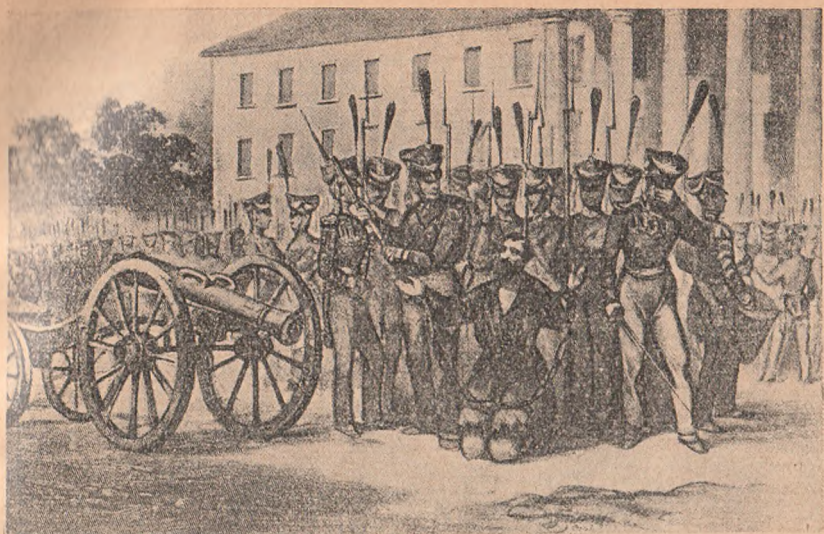
Ostrzeżeni spiskowcy opuścili gospodę. Udali się do hotelu, w którym mieszkał jeden z nich i tam dokończyli narady.

Założyciel Towarzystwa na nią się nie zjawił.

Towarzystwo Patrjotyczne. Łukasieński, syn biednego szlachcica z Płockiego, pracowity, poważny i małomowny, wszystko czynił z rozważą, ale gdy raz coś zamierzył, nie było siły, któraby go odwiodła od powziętego celu. Dzięki tym zaletom związkowcy, zamiast założyciela, wybrali prezesem Towarzystwa Łukasieńskiego, który też po namyśle objął przewodnictwo.

Towarzystwo Patrjotyczne nie było wprawdzie liczne, ale wkrótce objęło prócz Królestwa także Litwę i Ruś i zabory austriacki i pruski. Celem jego było przygotowanie połączenia i uwolnienia Polski w granicach przedrozbiorowych i zaprowadzenie w niej równości nie tylko wszystkich stanów, ale także wyznań i języków. Jakiemi drogami dążyło do celu Towarzystwo? Oto podzielono Polskę na prowincje (dzielnice), a te znów na gminy, których zwierzchnicy zjednywali dla związku coraz więcej zwolenników; członkowie nie znali się między sobą, wszyscy jednak mieli, gdy nadarzy się sposobność, stanąć do walki o cele Towarzystwa.

Męczeństwo. Po paru latach znaleźli się zdrajcy, którzy donieśli policji wszystko, co o Towarzystwie wiedzieli. Nie było tego wiele, bo znali tylko Łukasieńskiego i najbliższe jego oto-



Wywiezienie Walerjana Łukasińskiego

czenie, i tylko tych kilku dostało się do więzienia. Długo trwało śledztwo; dwu spiskowych odebrało sobie życie z obawy, by mimowoli nie zdradzić ojczystej sprawy, a gdy Łukasiński mimo udręki ustawicznych przesłuchiwań i podstępnych pytań nie wyjawiał żadnego nazwiska, i ocalił w ten sposób setki spiskowców, został za to najsrożej ukarany.

Na placu w obozie pod miastem stanęły w czworobok wojska polskie i rosyjskie. W środku postawiono Łukasińskiego i dwu jego towarzyszy. Oficer odczytał wyrok, a kat zerwał im oficerskie odznaki i połamał ich szpady. Pomocnicy kata zdarli z nich mundury i ubranym w więzienną odzież zgolili głowy, a kowale okuli im nogi w ciężkie kajdany. Następnie dano im w ręce ciężkie taczki i przy odgłosie bębnow popędzono wzdłuż frontu wojsk. Śmiertelna cisza zaległa wojska, a po twarzach żołnierzy i oficerów, nawet Moskali, ściekały łzy.

Następnie zawieziono ich na ciężkie roboty do zamojskiej twierdzy, a w kilka lat później, w noc wybuchu powstania, samego Łukasińskiego do więzienia pod Petersburgiem, gdzie w mrokach ciemnej celi przeżył kilkadziesiąt lat, t. j. do śmierci.

Hart jego duszy i przeszło 40-letnia męka stawiają go w rzędzie wielkich synów Polski.

34. JAK LISTOPADOWA NOC UWOLNIŁA KRÓLESTWO OD MOSKALI

Jesień r. 1830 w Warszawie. Kiedy jesienią roku 1830 ludzie pracy szli wczesnym rankiem do swych zajęć, nieraz spotykali policję, zdzierającą z rogów ulic jakieś kartki papieru.

— Co było na kartce? — pytano się wzajemnie.

— że Belweder od Nowego Roku do wynajęcia — śmiejąc się odpowiadał ktoś, co zdołał odczytać kartkę, zanim ją zdarto.



Piotr Wysocki

Pałac, zwany Belwederem, sąsiadujący z Łazienkami, był zamieszkały przez W. Ks. Konstantego.

— To nic — powiada ktoś inny. — Wczoraj rozlepili odezwę, aby zacząć rewolucję, jak Kiliński, który wymiotł Moskali z Warszawy.

— A żeby ich już wymiotło!

— Mówią, że w niedzielę wybuchnie rewolucja.

Policja traciła głowę. Śledziła wszystkich, nadzorowała nawet umieszczoną w Ła-

zienkach szkołę podchorążych, gdzie kształcili się podoficerowie, a mimo to nie wykryła, że tam właśnie, pod bokiem W. Ks. Konstantego, już od dwu lat żarzy się spisek, utworzony przez młodego nauczyciela tej szkoły, podporucznika Piotra Wysockiego; spisek, który, jak sam Wysocki powiadał, miał na celu „wyjarzmienie ziomków z pod ucisku, przeciwnego ustawie konstytucyjnej i swobodom, przez króla zaprzysiężonym“.

Królem był car Mikołaj I, brat i następca Aleksandra I.

Hasło wybuchu. Spiskowcy wyznaczyli czas wybuchu powstania na dzień 29 listopada, godzinę 6 wieczorem. Hasłem miał być pożar starego opuszczonego browaru na Solcu nad Wisłą, jednakowo oddalonego od Starego Miasta i od Łazienek. Ale już o pół do 6-ej zaczął tlić się słaby zresztą ogień. Nie było go widać w mieście, dostrzegli go jednak rozmieszczeni w koszarach obok Łazienek Moskale i ich dowódcy ustawili swoje oddziały w szeregi. Lecz po pewnym czasie ogień wygasł, a w koszarach zapanowała cisza.

Napad na Belweder. Wreszcie o godzinie 7 spiskowi postanowili działać.

— Śmierć tyranowi! — zagrzemiał nagle na belwederskim dziedzińcu okrzyk garści młodych ludzi, biegnących do głównych drzwi pałacu.

Przerażona służba, nie zamknawszy drzwi, rozbiegła się. Spiskowci przebiegają pokoje W. Księcia. Pustka. Gdzież był W. Książę? Oto, śpiącego po późnym obiedzie wyciągnął kamerdyner (starszy pokojowy) z łóżka i przez tajemne przejście przeprowadził do pokoiów księżny, gdzie przerażone dworskie panie poklekały wokoło nieprzytomnego ze strachu carskiego brata i głośno odmawiały pacierze.

— Ha, trudno. Ptaszek uleciał — mówią po daremnym szukaniu spiskowci, opuszczając Belweder.



Napad na Belweder

Zaledwie ci „belwederczycy“, jak ich odtąd zwano, przeszli do Łazienkowskiego parku, usłyszeli tętent rosyjskiej konnicy, która przybiegła galopem z niedalekich koszar i otoczyła Belweder.

Na koszary. Tymczasem Wysocki poprowadził napad na koszary. W szkole podchorążych odbywała się lekcja. Wbiegłszy do sali, zawołał na młodzież: „Polacy! Wybiła godzina zemsty! Dziś umrzeć lub zwyciężyć potrzeba!“ Młodzież porwała karabiny, nabiła je i pędem poskoczyła za dowódcą. Było ich stu kilkudziesięciu. Po paru wystrzałach na znak, że bój się rozpoczął, wtargnęli podchorążowie do rosyjskich koszar.

Moskale bronią się. Tymczasem z sąsiednich koszar nadchodzą inne rosyjskie pułki. Wysocki wycofuje się do Łazienek, a połączywszy się z belwederczykami, przebijają sobie drogę przez otaczającą go konnicę i rusza ku miastu, ostrzeliwując się ze stu kilkudziesięciu karabinów półtora tysiącowi wrogów.

Zamęt. W mieście zamieszanie. „Wszędy z trzaskiem zamykano sklepy, domy — opowiada naoczny świadek. — Latarnie pogasły. Jedna część mieszkańców kryła się przed rozruchem, druga patrzyła nań z okien. Tylko lud prosty, szewcy, krawcy, kowale, ślusarze zrozumieli, o co idzie“. Ci wyszli na ulicę, ruszyli na Długą ku arsenałowi, zajętemu przez spiskowców, i uzbroili się w karabiny.

Ale zamęt w mieście rósł. Niektóre polskie oddziały zabierali spiskowym starsi oficerowie i prowadzili je pod rozkazy W. Księcia. Kiedy Wysocki z podchorążymi doszedł do arsenału, położenie było takie, że gdyby W. Książę był uderzył na powstańców, byłby ich łatwo zwyciężył.

Oswobodzenie kraju. Lecz Konstanty zwlekał. A tymczasem widok uzbrojonego ludu przeciągał posłuszne jeszcze W. Księciu wojska polskie na stronę spiskowych. Dzięki temu około północy zaczęło się położenie powstańców znacznie poprawiać; rano siły polskie i W. Księcia były już jednakowe, poczem Konstanty, po nieudanych układach, opuścił z rosyjskim wojskiem Królestwo.

35. GROCHÓW

Przeciwnicy. W niezbyt mroźny lutowy poranek r. 1831 stał 4-ty pułk piechoty w polu pod wsią Grochowem, po lewej stronie drogi, dziś ulicy Grochowskiej na Pradze pod Warszawą.

Razem z trzema innemi pułkami tworzył on dwie brygady czyli dywizję; jej dowódcą był generał Skrzynecki. Na prawo od niej, za drogą, stała druga dywizja, na przedzie trzecia pod wodzą generała Żymirskiego, a z tyłu dywizja konnicy. Razem stało na Grochowskich polach około 36.000 wojska z przeszło 100 działami; armją tą dowodził jako naczelny polski wódz, generał Radziwiłł, a właściwie jego doradca, generał Józef Chłopicki. Dawno już wystąpił on z wojska; powstanie listopadowe powołało go znowu i postawiło na czele polskiej armji, ale i tę godność wkrótce złożył, nie wierząc w powodzenie wojny z Rosją.

Naprzeciw Polaków, pod lasami, na wschód od Grochowa, rozłożył się rosyjski generał Dybicz z wojskiem, liczącem 65.000 ludzi i przeszło 200 dział.



Józef Chłopicki

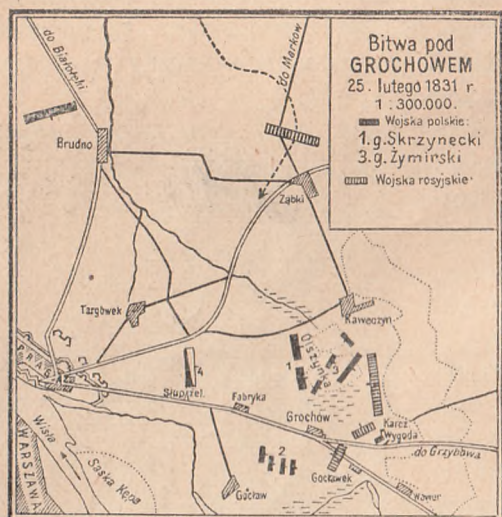
Czwartacy. Wkrótce pod lasem wzdłuż całego rosyjskiego frontu wykwitły obłoczki białawego dymu i rozległ się ryk armat. Gwar głośnych rozmów w pułku czwartaków nieco przycichł. Zamilkli ci ulubieńcy Warszawy, „warszawskie dzieci“, jak nazywano ten pułk, który rekrutował się w stolicy; stojąc u grochowskiej drogi, patrzyli

na niedaleki, o kilkaset kroków oddalony olszynowy las, sterzący gęstwą bezlistnych konarów z pośród przymarzłych mokradeł. Olszynka ta wybiegła pod sam rosyjski front; przed kilkoma dniami wytrzymali w niej czwartacy od rana do zmroku piekło ataków paru rosyjskich brygad, co ich niezmiernie wślawiło.

Pomiędzy laskiem a czwartakami, którymi dowodził dzielny pułkownik Bogusławski, stała jedna brygada dywizji Żymirskiego; druga broniła Olszyny.

Olszynka. Armaty wroga nieco przycichły. Z rosyjskiego frontu odrywa się kilka bataljonów i pędzi ku Olszynie. Rosyj-

skie bataljony w mundurach, podobnych do polskich, biegną, szczerbione ogniem polskich dział. Ale w szczerby, powstałe w czole biegnących szyków, wsuwają się z tylnych szeregów nowe granatowe postacie i zwartą ławą, chłop przy chłopie, nadbiegają pod Olszynkę. Nagle wał, chroniący Olszynkę, zionął ogniem karabinowej salwy, poczem rozległo się gęste stukanie strzałów rozsypanej po lasku piechoty. Napastnik miesza się, ale już nadbiega 10 świeżych bataljonów, porywa z sobą cofających się, uderza na wał, otacza go z boków i z bagnetem w rękę wdziera się do lasku.

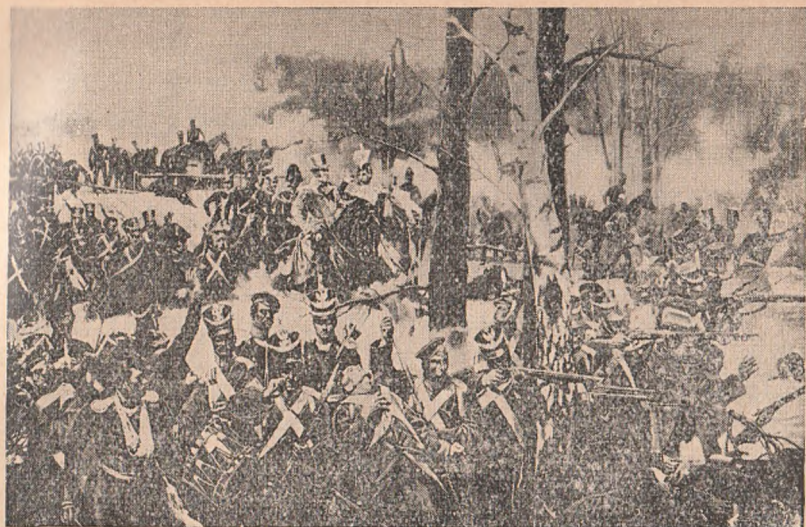


Grochów

— Na bagnety! Biją się na bagnety! — wykrzykują czwartacy. — Widać ich! Tam, z prawej strony lasku! Wyrzucają Mochów! Mochy uciekają! Wiwat Żymirski!

Chłopicki. Ale z pod lasów stacza się nowych 20 bataljonów. Ponuro spogląda Żymirski na groźną powódź. Czem ją zatrzyma? 36 rosyjskich bataljonów przeciw jego 9-ciu, a i tym brakuje prawie połowy ludzi, reszta zaś, wyczerpana parogodzinny bojem, ustępuje przed tłoczącym się do lasku wrogiem. Wtedy Chłopicki zabiera 10 bataljonów z dywizji Skrzyneckiego i jedzie ku Olszynie na gniadym koniu, w jasno popielatym płaszczu i lśniącem wysokim cylindrze na głowie. Przy dźwięku trąb i grzmocie bębnow, z nadstawionymi bagne-

W brygadzie, stojącej przed czwartakami, krótkie poruszenie. Pada komenda; jeden z pułków rusza szybkim krokiem i za chwilę niknie w Olszynie. Olszynka rozbrzmiewa nieregularnym trzaskiem karabinów, aż nagle wybucha krzykiem, mrozącym krew w żyłach.



Bitwa pod Olszynką Grochowską (obraz W. Kossaka)

tami, idzie pułk czwarty zgrabnym, tanecznym krokiem. Wchodzi w zasięg rosyjskiego działowego ognia; ktoś jęknie, ktoś pada bez jęku, a idący zasuwiają sobą próżne miejsca i wchodzi w Olszynkę.

„Hej, kto Polak, na bagnety! żyj swobodo! Polsko żyj!” — rozlega się w lesku powstała w tej wojnie pieśń — i 10 świeżych bataljonów wraz z resztkami dywizji Żymirskiego wpada jak burza na wroga. Straszliwe uderzenie osadziło go na miejscu. Broni się czas jakiś uparcie, aż wreszcie słabnie. Niewprawny w walce na bagnety zaczyna się chwiać, wkońcu miesza swoje szyki i ucieka. „Wszystko, co nie zdołało uciec z Olszynki, legło w niej” — opowiadał potem uczestnik tej krwawej bitwy, a Dybicz, widząc, co się dzieje, rzekł do swego otoczenia:

— Teraz każdy z nas musi zapłacić swoją osobą!

Utrata zwycięstwa. Aby dokończyć zwycięstwa, posłał Chłopicki rozkaz dwu generałom, stojącym ze swojemi oddziałami poza polem bitwy, aby natychmiast uderzyli na wroga. Lecz Chłopicki nie był wodzem i jego rozkaz nie znalazł posłuchu, zanim zaś Radziwiłł wydał potrzebne rozkazy, Dybicz opamiętał się i rzucił na Olszynkę całą swoją armję. Chłopicki pada, ciężko

ranny w obie nogi, a kiedy go odwieziono do miasta, dowódcy dywizyj wycofali się, już o zmroku, do Warszawy.

Stolica była ocalona, ale zapłaciła za to stratą kilku tysięcy ludzi, a między nimi Żymirskiego, który zginął w Olszynie, ranny armatnią kulą.

36. O PRĄDZYŃSKIM I ZWYCIĘSTWIE POD IGANIAM

Wódz i jego doradca. Nie było w polskim wojsku lat 1830—31 generała, któryby zdolnościami mógł się równać z Ignacym Prądzyńskim. Był on jednym z głównych doradców generała Skrzyneckiego, który po bitwie grochowskiej został naczelnym wodzem armji polskiej. Skrzynecki, nieustraszony żołnierz, ale najnieudolniejszy dowódca, dał się Prądzyńskiemu nakłonić do uderzenia na armję rosyjską, poroziąganą szeroko

na prawym brzegu Wiśły. Plan Prądzyńskiego okazał się znakomity; uderzenie przyniosło Skrzyneckiemu parę zwycięstw, które odpędziły wroga z pod stolicy i zagnały go pod Siedlcę i Łuków.

Niestety, naczelnny wódz, syt sławy, zaczął zwlekać i opóźniać poruszenia wojsk polskich. Z łada powodu przerywał działania wojenne na całe doby.

Iganie. Niedaleko Siedlec, nad rzeczką Muchawcem, rozsiadła się na wzgórzu wieś Iganie. Połączona była ze Siedlcami mo-



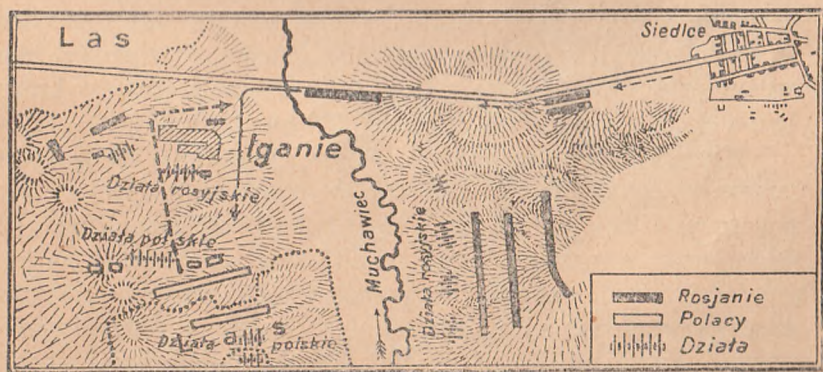
Ignacy Prądzyński

stem, przez który wówczas prowadziła szosa czyli bita droga z Siedlec do Warszawy. Pewnego wiosennego przedpołudnia napłynęło do wsi wiele rosyjskiego wojska. Był to generał R o s e n (Rozen), który wycofał się przed powolnym pościgiem Skrzyneckiego i stanął w Iganiach, aby bronić Siedlec przed tuż, tuż nadchodzącym, jak sądził, polskim wodzem. Ale Skrzynecki był oddalony o 30 km na zachód, gdy Rosen rozstawiał już swe wojska po obu brzegach Muchawca.

Wkrótce po Rosenie nadbiegł pod Iganie Prądyński i stanął pod laskiem, na południe od wsi. Przed nim pola, lekko opadające na prawo ku Muchawcowi; za polami, we wsi, rosyjska piechota, przed nią działa, a na lewo od niej konnica. Na prawo, ku Siedlcom, silna obsada mostu na Muchawcu, a za rzeczką pozycje artylerji. W dodatku wróg może go obejść od tyłu, przeprawiając się przez wygodne przejście w górze Muchawca; ma na tyle sił, bo liczy przynajmniej kilkanaście tysięcy ludzi i kilkadziesiąt dział, kiedy korpus Prądyńskiego składa się z połowy zaledwie tej liczby żołnierzy i kilkunastu armat.

Prądyńskiego czeka pierwsza bitwa, którą ma stoczyć samodzielnie. Rozstawia wojsko na skraju lasu i pyta starszych oficerów o radę.

Znany z waleczności generał Kicki, dowódca piechoty w tej bitwie, radził wycofać się, zaś młody dowódca artylerji, major B e m, sławny później generał w węgierskim powstaniu przeciw Austrii, był za wydaniem bitwy.



Plan bitwy pod Iganiami. —————> uderzenie Rosjan.
- - - - -> przeciwuderzenie Prądyńskiego.

Bitwa. Prądyński wahał się czas jakiś; kiedy jednak zagrzmiały rosyjskie armaty, przyjął bitwę i rozkazał 2 pułkom piechoty ruszać na Iganie. Trzeci, ostatni, został w lesie, w odwodzie.

Rozsypują się oddziały piechoty i podsuwają ku wsi, kryjąc się w nierównościach gruntu. Z przodu z pod Igań i z prawego boku z za rzeki praży ich ogień dział. Czeka ich 2 km takiej drogi. Mimowoli usuwają się w lewo, z wdzięcznością oglądając się na swoją artylerję, którą major Bem, nie przerywając ognia, wysuwa z pod lasku na bliższy wrogowi pagórek. Wtem 2 bataljony na prawem skrzydle zrywają się i z bagnetem w rękę wpadają do wschodniej połaci wsi, odcinając tem samem nieprzyjaciela od mostu. Widzi to Rosen i pędzi z za rzeki sześć świeżych bataljonów, które przebiegają most, spychają Polaków na pole i suną za nimi ku laskowi długą kolumną, jakby szli gościńcem, zostawiając po prawej swej stronie resztę polskiego korpusu.

Był to wielki błąd rosyjskiego wodza, wlot wyzyskany przez Prądyńskiego. Przedewszystkiem Moskale z za rzeki przestali strzelać, aby nie razić swoich, Prądyński zaś wysłał Kickiemu rozkaz, aby się dalej cofał i ciągnął za sobą długi ogon Moskali, a sam staje na czele piechoty i uderza na Iganie. Bez wystrzału, bagnetem tylko wyrzuca ze wsi wroga i pędzi go ku mostowi; tu staje i zwraca się przeciw powracającej wzdłuż rzeki rosyjskiej kolumnie. Następuje krótka walka na bagnety, kolby i pięści, a wreszcie większa część owych 6 bataljonów składa broń. Rozbita również została cała jazda Rosena; 3000 zabitych i rannych, 1500 jeńców, 2 działa i 1 chorągiew pułkowa — oto plon tej kilkugodzinnej bitwy, w której straty polskie nie przeniosły liczby 500 ludzi.

Niewyzyskane zwycięstwo. Prądyński chciał dalej ścigać Rosena i zdobyć Siedlce, ale wojsko jego było nieliczne i zbyt zmęczone bitwą, by móc się z niem pokusić o Siedlce. Prądyński był więc zmuszony czekać na nadejście całej armji polskiej pod dowództwem generała Skrzyneckiego. Zaś naczelny wódz polski, zjawiwszy się po bitwie w Iganiach, przyjęty przez Prądyńskiego okrzykiem — „Generale! Teraz na Siedlce!“ — nie wyzyskał zwycięstwa i nie uderzył na Siedlce, na przerażonego Rosena.

37. O EMILJI PLATER

Panna z dworu. Daleko na północnym krańcu ziem dawnej Rzeczypospolitej, we wsi, wtulonej w widły Dźwiny i małego jej dopływu, we dworze, siedziała w komnacie przy fortepianie szczupła panna o bujnych, jasnych włosach, niebieskich oczach, zamyślanej twarzy i grała smutną białoruską piosenkę. Skończywszy ją, zagrała inną i znów inną, a wreszcie fortepian zabrzmiał skocznym, choć smętnym tańcem, zwanym „lepietuszką“, tak zaś dobrze oddawał tony wiejskiej muzyki, że słyszało się wyraźnie piskliwe zawodzenia skrzypiec i pomrukiwania basetli, zwanej „basodudami“.

Panna Emilja kochała lud wiejski i jak pieśnią, tak ciekawiła się także jego zwyczajami i obrzędami, a nawet opisywała je, jakby była uczonym etnografem, t. j. badaczem ludowych zwyczajów.

Panna-rycerz. W lutym r. 1831 w pokoju Emilji siedzieli dwaj młodzi Platerowie, uczniowie dynaburskiej szkoły podchorążych.

Mówili o powstaniu. Już chłopci na żmudzi, nie czekając wkroczenia polskiego wojska, gromadzą się po lasach i biją Moskali. Niedługo na całej Litwie wybuchnie powstanie. Czy Platerowie mają być ostatnimi? Dwaj podchorążowie obmyślili plan opanowania Dynaburga. Wiedzą, gdzie się chowa na noc klucze od bram twierdzy. Emilję lud wiejski kocha i pójdzie za nią, kiedy go wezwie do powstania. Niech więc w oznaczony czas przyj-



Emilja Plater. (Rzeźba)

dzio ze stryjem i z chłopami, a łatwo opanuje się twierdzą i pokona załogę. I jak to pięknie będzie: czworo Platerów zdobędzie Dynaburg!

Drżąca, z wypiekami na twarzy, słucha Emilja słów krewniaków. Czy zgadza się na ich plan? I czy złoży na szablę, zdjętą ze ściany, przysięgę, że będzie słuchała powstańczej zwierzchności, że dotrzyma tajemnic, które jej będą powierzone i że nie będzie szczędziła swojej krwi dla wyzwolenia Ojczyzny?

Czy się zgadza! Jakby w jej pokoju nie wisiały na ścianie szable, któremi ona umie robić niegorzej od niejednego mężczyzny! Jakby na stole nie leżały pistolety, z których nauczyła się celnie strzelać! Jakby walka orężna z zaborcą nie była jej marzeniem od dziecka!

Zgadza się, zgadza i składa przysięgę — poczem starszy z podchorążych, jak to bywało przed wiekami, kiedy giermków pasowano na rycerzy, uderza ją lekko szablą w ramię i mówi:

— Emiljo Plater! Pasuję cię na rycerza!

Powstańcza tułaczka. W kwietniowy dzień r. 1831 wyruszyła Emilja ze stryjem na czele kilkuset ludzi na wojnę. Miała na sobie zgrabny, z szarego, domowej roboty, sukna uszyty mundur i granatową, na bakier założoną czapeczkę. Na piersi widniała biało-czerwona kokarda, a mały pałasz i dwa pistolety u pasa. Za nią ludzie uzbrojeni, jak kto mógł: trochę strzelb, zresztą kosy. Ale napad na Dynaburg nie powiódł się; po drodze spotkano 2 rosyjskie bataljony i 4 działa. O bitwie nie było mowy; zato oddział wpadł do najbliższego miasteczka i wyrzucił stamtąd Moskali. Znów zastępują mu drogę większe siły, znów trzeba się cofać i tak, to bijąc, to wymykając się, posuwał się oddział Platerów na zachód, ku Żmudzi. Wtem na Litwę przedarł się z Królestwa dzielny generał Chłapowski z kilkuset ludźmi i zaczął z powstańców tworzyć regularne wojsko. Weszła w nie i Emilja jako porucznik, dowodzący kompanją, do której w Wilkomierzu przyłączyła się panna Raszanowiczówna, wierna towarzyszką Emilji do końca powstania.

Pełna zapału, wymowna, mężna w boju, przytomna w niebezpieczeństwie, porucznik Emilja Plater stała się dobrym du-

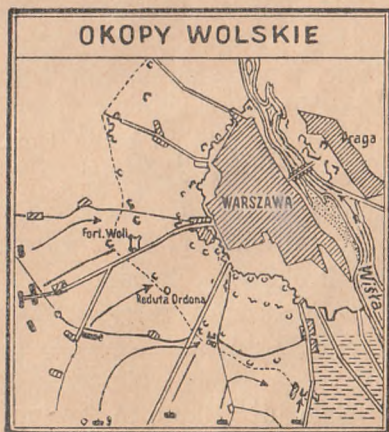
chem swego oddziału. Kiedy raz pułk wpadł w zasadzkę, dziewczyna wśród padających z za drzew strzałów, wśród tłoku żołnierzy, kwiku przerażonych koni, nie straciła głowy i bez cięższych strat wyprowadziła swoją kompanję z potrzasku. W bitwie pod Kownem, odpierając wroga, o mało nie dostała się do niewoli; ocalił ją jej dowódca bataljonu, co sam przeplacił wolnością.

Upadek powstania litewskiego. Chociaż powstanie litewskie odcięło chwilowo armję rosyjską w Królestwie od Rosji, to jednak wkrótce upadło. Ale Emilja ze stryjem i towarzyszką puściła się ku Królestwu, do polskiego wojska. Mijały im dnie na przekradaniu się o głodzie i nocnym chłodzie przez puszcze i bagna. Emilja ciężko zachorowała. Zaniesiono ją do pewnego dworu, gdzie powoli odzyskiwała zdrowie, kiedy niespodzianie dowiedziała się — co długo przed nią tajono — że Warszawa upadła i wojna skończyła się klęską.

Ta wiadomość dobiła bohaterską dziewczynę. Umarła przy końcu roku 1831.

38. O OBRONIE WOLI

General o kuli. Z boleścią patrzył generał Józef Sowiński na konanie powstania. Już od kilku miesięcy Warszawa była okrążona przez przeważne siły rosyjskie; potem pierścień wrogów zacieśnił się i w jesieni r. 1831 stolica, mająca na swą obronę 30 tysięcy wojska, została obleżona przez trzykrotną niemal przewagę Moskali. Stary, siwy generał, wychowanek stanisławowskiej Szkoły Rycerskiej i kościuszkowski powstaniec, który stracił nogę w wyprawie Napoleona na Moskwę, zgłosił się do dowództwa armji i prosił, by mu powierzono obronę najniebezpieczniejszego stanowiska, którem była Wola.



Fortyfikacje Warszawy w r. 1831

Wola. Na prawo i na lewo od Woli usypano szereg redut, t. j. niewielkich okopów, nie połączonych między sobą wałami ani rowami. Reduty te obiegały miasto pasem, długim na pół-trzeciej mili; wolskie okopy były w tym pasie umocnieniem największem i najważniejszym.

Zajmowały one kilka morgów powierzchni, okopanej w kwadrat rowem i wałem. Kąty, wydłużone w ostre rogi, t. zw. bastiony, przeznaczone były do czuwania nad przyległemi bokami i w tym celu obsadzone kilkunastu działami.

Walka artylerji. O świcie jesiennego dnia wszczął się na zachód od Woli ruch. Nadjeżdżają liczne rosyjskie baterje i stają naprzeciw Woli i dwu sąsiednich redut. Ileż tych bateryj! A każda z nich liczy 4 działa, a w okopach Woli wszystkiego 13 przeważnie starych armat, zdobytych przez Moskali na Turkach, i jeszcze przez Napoleona na Prusakach!

Nagle zagrzmiało 70 dział, dzieląc ogień między Wolę i dwie przyległe reduty. Generał Sowiński sam komenderuje swojemi 13 działami.

— Cel! 800 kroków! Wyżej! Niżej! Pal!

Stare armaty spadają po każdym strzale z lawet.

Ale cała wściekłość nieprzyjacielskiego ognia kieruje się na obie boczne reduty. Jedna z nich milczy. Wróg zrozumiał, że niema w niej nikogo. Tem więcej armatnich otworów kieruje się na drugą. Tam są tylko 3 działa i 200 pieszych pod wodzą porucznika Lenieckiego.

Aby pomóc Lenieckiemu, generał kieruje armaty ku jego reducie, odpędzając naciskających na nią z trzech stron Moskali.

Leniecki niedługo wytrzyma. Generał wysłał oficera do dowódcy dywizji po pomoc: na wolskie okopy idzie 70 armat i przeszło 20 bataljonów!

Ale tylko jeden bataljon przybiegł na pomoc Woli i tylko 12 dział przytoczył Bem, wówczas już generał, i ustawił je paręset kroków za okopami.

Tymczasem Leniecki zginął i jego reduta padła, a kiedy Bem ustąpił, Sowiński znalazł się z 13 armatami i 2000 ludzi pod krzyżowym ogniem, ziejącym nań z przodu i obu boków.

Szło już tylko o to, by jak najdrożej sprzedać życie.

— Cel! 300 kroków! Niżej! Pal! — brzmiała spokojna komenda, głuszona grzmotem kilkudziesięciu dział.

Lecz polski ogień był rzadki i coraz rzadszy. Obsługa armat ginęła, padała piechota, ukryta między drzewami wewnątrz okopów, a ogień nieprzyjacielski nie miał końca.

— Cel! 250 kroków! Pal! — komenderuje generał o kuli, zastępując padłych i ranionych artylerzystów piechurami i przygotowując się w duchu na śmierć.

— Cel! 200 kroków! Pal!

Karabiny. Ura-a! — zrywa się nagle krzyk 10 tysięcy Moskali, pędzących z bagnetem w rękę po 4 bataljony na każdy z boków wolskiego kwadratu. Ale przed wrogiem rowy i doły, a z wałów grzmi ogień piechoty, jeden zaś z bastjonów zdołał jeszcze z kilku armat gruchnąć roztrzaskującymi się karta-czami w mrowie nadbiegającego wroga.

Jak spryskane ukropem robactwo zamieszały się bataljony, następujące na jeden z boków wolskiego kwadratu, a nie śmiejąc powtarzać ataku na zawsze groźny bastjon, przyłączyły się do sąsiedniej kolumny. Tej udało się wtargnąć przez osypujący się rów na wały. Dwa razy Moskale zostali zepchnięci do rowu, więc rosyjski wódz pcha do boju świeżych 10 bataljonów. Pędzą



Śmierć generała J. Sowińskiego

z krzykiem po pewne zwycięstwo. Dziesięciu na jednego. Setki ich giną od celnych strzałów; na ich miejsce podbiegają inni. Wyścielają rowy swojemi trupami, po nich przechodzą następni. Karabiny umilkły; tłumy wrogów zalewają topniejącą garść obrońców Woli. Siwy generał o drewnianej nodze cofa się z garstką swoich ku kościołowi; wparci do wnętrza stoją przy ołtarzu.

— Poddaj się! — krzyczy rosyjski oficer do generała.

A Sowiński w odpowiedzi wypala do niego z pistoletu i pada, przeszyty kilku bagnetami.

Koniec powstania. Za parę dni poddała się Warszawa, a resztki wojska opuściły kraj, składając broń na granicach pruskiej i austriackiej i poszły na tułaczkę do obcych krajów.

39. O ADAMIE MICKIEWICZU

Przewódca narodu. Po upadku powstania prawie wszyscy, którzy w niem brali udział, wywędrowali z kraju na obczyznę. Najwięcej uchodźców czyli emigrantów znalazło się we Francji, gdzie też przebywał Adam Mickiewicz. Uczył on obcych o Polsce, zjednywując dla niej przyjaciół między cudzoziemcami, a rodakom wskazywał, że są wysłańcami, apostołami Polski,



Adam Mickiewicz

jakby Chrystusa narodów, umęczonej za wolność wszystkich ludów. Uczył tego Mickiewicz w „Księgach pielgrzymstwa polskiego“, dziele, sposobem pisania podobnem do biblij. Ta i inne jego książki, przywożone potajemnie do kraju, podsycały w nim nadzieję lepszej przyszłości i sprawiły, że dawny filomata wyrósł na duchowego przewodcę narodu.

Nowe dzieło. Cicho więc, by nie przeszkadzać pracującemu w sąsiednim

pokoju poecie, rozmawiali pewnego wieczoru w domu, na przedmieściu Paryża, czterej jego przyjaciele. Z dołu dochodzi głuchy tupot koni, bo mieszkanie znajduje się nad stajnią, z poza drzwi słychać skrzypienie gęsiego pióra, a goście czekają cierpliwie, kiedy gospodarz do nich wyjdzie i z mokrych jeszcze kartek odczyta, co napisał. Wiedzą oni dobrze, że przy nich powstaje dzieło znakomite, jakiemu równego nie posiada Polska, a może nawet cała Europa.

Jest ono pełne tęsknoty za Ojczyzną, jak o tem czytamy zaraz na początku książki:

„Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie“.

To też nowy poemat mówi tylko o Polsce, o jej niedoli, o tem, jak w niej w czasie wojen napoleońskich żyła, bawiła się i walczyła z Moskalami nasza szlachta.

Wtem do pokoju wszedł rozpromieniony Mickiewicz.

— Chwała Bogu! Oto w tej chwili podpisałem pod „P a n e m T a d e u s z e m“ słowo „k o n i e c.“

Więc rzucono się ku niemu, wznosząc na jego cześć okrzyki, witano bowiem dzieło, które bardziej Polskę wślawiło, niż niejedna wygrana bitwa.

Ludzie w Panu Tadeuszu. Pisząc „Pana Tadeusza“, poemat, który nazwał p o w i e ś c i ą s z l a c h e c k ą, miał Mickiewicz serce tak przepełnione miłością ku Ojczyźnie, że wszystko, co mu jego nadzwyczajna pamięć stawiała przed oczy, wydawało mu się dobrem i pięknem. Wprawdzie bohaterowie jego opowiadania, to ludzie zwyczajni, często może śmieszni, ale w każdym z nich jest coś dobrego i w chwili niebezpieczeństwa Ojczyzny budzi się w nich tyle dzielności, odwagi i poświęcenia, że trzeba ich kochać, zapominając o ich ułomnościach.

Przyroda. Ale najpiękniej wygląda w tym poemacie przyroda polska. Żyje ona życiem ludzi: w ogrodzie warzywnym kapusta „schyla sędziwe łysiny,“ bób „obraca tysiąc oczu“ na marchew, a „otyły harbuz wtoczył się, jak gość, między buraki czerwone,“ w lesie zaś drzewa stanowią rodzinę, składającą się

ze starców, dzieci i wnuków, a otoczoną krzewami, które „liśćmi wzięły się za ręce, jak do tańca stojące panny i młodzieńce.“ I tak wszystko w oczach poety nabiera życia i aż kąpie się w blaskach piękna, choćby to były tylko — żaby: poeta prawdziwe cuda opowiada o koncercie żabim, twierdząc, że „żadne żaby nie grają tak pięknie, jak polskie.“

Wielka „fraszka“. Czyż to więc dziwne, że dzieło, które wypłynęło z tak bardzo kochającego serca, trafiło wszędzie do serc ludzkich i że je wszędzie pokochano? I to nie tylko w Polsce uznano w „Panu Tadeuszu“ wielkie, znakomite dzieło, ale i zagranicą, przetłumaczono je bowiem na języki wszystkich prawie oświeconych narodów świata i wszystkie podziwiały i podziwiają jego piękno.

W ten sposób zrównał Mickiewicz poezję polską z poezją najpotężniejszych i największych narodów świata, choć sam później „Pana Tadeusza“ uważał za coś małowartościowego, za „fraszkę“ i postanowił, że „nigdy już pióra na fraszki nie użyje.“ Przyszedł bowiem do przekonania, że „to tylko dzieło czegoś warte, z którego człowiek może poprawić się i mądrości nauczyć.“

Wierność filomackim hasłom. Aż do śmierci pamiętał Mickiewicz filomackie hasła: „ojczyzna, nauka, cnota“ i im poświęcał całe swoje życie. Marzył o walce za niepodległość Polski — to też, kiedy wybuchła wojna, którą Francja i Anglja wypowiedziały Rosji w obronie Turcji, Mickiewicz porzucił Paryż, pojechał do Turcji i zaczął tam zbierać *legjon polski*, by wyruszyć z nim przeciw Moskalom. Ale wśród trudów obozowych niespodzianie zachorował i umarł. Ciało jego przewieziono najpierw do Paryża, później zaś, po latach, do Krakowa i pochowano je w grobach królewskich na Wawelu. Kiedy bowiem Polsce zabrakło królów i hetmanów, Mickiewicz zajął ich miejsce, dziełami swemi prowadząc naród ku wolności.

40. O FRYDERYKU SZOPENIE

Koncert na poczcie. W poczekalni pocztowego budynku pewnego małego niemieckiego miasteczka czekają dwaj Polacy.

Są niezadowoleni z przerwy w podróży: na poczcie niema narazie wypoczętych koni. Trzeba na nie parę godzin poczekać.

Młodszy z podróżnych, chłopiec szesnastoletni, rozgląda się po wielkiej poczekalni i dostrzega okryty pyłem fortepian. Podchodzi do niego i za chwilę z instrumentu płyną melodie to wesole, to rzewne, a wykonane tak doskonale, jakby grający był osiwiłym w swej sztuce mistrzem. Upływa godzina, druga, aż wreszcie pod oknami sali rozlega się turkot powozu i krzyk woźnicy. Młodzieniec zrywa się od fortepianu i staje zdumiony: sala pełna ludzi, którzy w ciszy przysłuchiwali się grze, a teraz błagają młodziutkiego artystę, aby im jeszcze coś zagrał.

Polacy wzbraniają się. Muszą jechać. Nie mają czasu: i tak już stracili parę godzin. Wtedy do rozmowy miesza się pocztmistrz i prosi, aby zostali, a on im zato da takie konie, że nadrobią stracony czas.

Nie było rady, trzeba było zostać i grać. A gdy po godzinie wśród dziekczynnych okrzyków podróżni wsiadali do powozu, obładowano „kochanego, serdecznego Polaka“ przysmakami i obsypano kwiatami.

Wielki artysta. Tym młodziutkim Polakiem, który grą swą oczarował muzykalnych Niemców, był Fryderyk Szopen, jeden z największych muzyków świata. Później, po kilku latach, gdy ustawiczne ćwiczenia doprowadziły grę jego do nieporównanego mistrzostwa, słuchanie jej stało się dla miłośników muzyki najwyższym szczęściem.

Szopen był jednak nie tylko wykonawcą obcych utworów, ale też, i to przede wszystkim, sam był twórcą. Stwarzane melodie zapisywał nutami, dzięki czemu można dziś i będzie można do końca świata odczytywać i wygrywać na fortepianie jego arcydzieła i rozkoszować się ich czarodziejskim pięknem.



Fryderyk Szopen (płaskorzeźba)

Ale Szopen stworzył coś więcej, niż piękne, artystyczne dzieła muzyczne: stworzył polską muzykę o odrębnym swojskim charakterze.

Polska muzyka. Nie było jej przed Szopenem. Ludzie wykształceni zajmowali się muzyką obcą, zwłaszcza najślawniejszą ze wszystkich, włoską, a „po swojemu“ tylko lud wiejski nucił sobie w chwilach radości czy smutku, tak, jak śpiewają ptaszki, prosto od serca. Rzewność tych naszych pieśni ludowych umiał podsłuchać Szopen i przejąć się niemi tak, że potrafił zaśpiewać podobnie, jak nasz lud. Nie naśladował jednak tego, co lud już stworzył, lecz stwarzał nowe melodje, podobne do tamtych jak rodzeństwo. Tylko, że on te dzieci swego ducha przystrajał we wszystkie klejnoty sztuki i przedstawiał je światu w szacie tak doskonałej, że równe były albo i przewyższały arcydzieła muzyków obcych. Było to tak, jakby kto na wzór chłopskiej siermięgi wymyślił przebogaty uroczysty strój i pokazawszy się w nim na królewskim dworze, wywołał podziw i zachwyt.

Mazurki. Polonezy. Szopen wychował się w Warszawie i jej okolicy wśród Mazurów, którzy mają swój własny, odrębny rodzaj tańca („mazur“) i odrębny, smętny ton piosenek. To też „mazurkami“ nazwał Szopen te swoje utwory muzyczne, w których, przebywając zdaleka od kraju, w Paryżu, wyrażał tęsknotę za ojczyzną na nutę tęsknych piosenek ludowych. Kto się w te mazurki sercem całem wsłucha, usłyszy gwary wsi polskiej, tupot tańca w karczmie i radosne pokrzykiwania, ale najwięcej znajdzie w nich tęsknych żalów i szlochania.

Istniał w Polsce oddawna taniec, zwany polonezem, co po francusku znaczy „polski taniec“. Odznaczał się on wielką powagą; właściwie bowiem jest to rodzaj uroczystego pochodu. Z poloneza uczynił Szopen drugi rodzaj utworu narodowego: w mazurkach wypowiadał swą tęsknotę, w polonezach swą dumę narodową. Razu jednego, kiedy w natchnieniu tworzył najwspanialszy i najślawniejszy swój polonez, wydało mu się, że drzwi się nagle otwały i do jego pokoju wszedł długi szereg zmarłych królów i hetmanów i w ruchu tanecznym stąpał wokoło niego, a wrażenie było tak silne, obraz tak wyraźny, że Szopen zerwał się i poprostu uciekł z pokoju. Podobne widzenia nasuwają i nam jego arcydzieła, opiewające potężnymi tonami wielkość i chwałę ojczystej historii.

Wielkość Szopena. Gdy sława Szopena rozeszła się po świecie, postanowił car Mikołaj I dać mu wielkie odznaczenie, aby przypomnieć światu, że sławny artysta jest jego poddanym. Ale Szopen odmówił przyjęcia zaszczytu, powołując się na to, że jest emigrantem.

Carski wysłaniec zauważył, że Szopen przecież nie walczył w powstaniu.

— Jakkolwiek nie brałem udziału w rewolucji 1831, gdyż byłem nato za młody, to jednak sercem byłem z tymi, którzy wówczas krew przelewali. Dlatego uważam się za emigranta — odpowiedział Szopen.

Największym dobrem ludzkości jest skarbnica, w którą każdy naród składa najwspanialsze dzieła nauki i sztuki. Mickiewicz do bogactwa rodu ludzkiego dodał polską poezję, Szopen zaś polską muzykę narodową.

41. O WIĘŹNIACH MOABICKICH

Poznań po powstaniu listopadowem. Po upadku powstania listopadowego więcej swobody, niż gdzie indziej na ziemiach polskich, było w zaborze pruskim. Tu też, w Poznaniu, gromadzili się patryjoci, chroniący się przed prześladowaniami rosyjskimi i austriackimi; tu pisano książki, wydawano gazety i tu stworzono tajne stowarzyszenie, obejmujące całą Polskę, które przygotowywało się do nowego powstania.

Wódz w więzieniu. Tymczasem, tuż przed wybuchem zamierzonego powstania, został w pewnym dworze pod Gnieznem zaaresztowany Ludwik Mierosławski, upatrzony na wodza porucznik z wojny r. 1830/1. Wywieziono go do Poznania i osadzono w więzieniu, poczem do więźnia przyszedł policyjny urzędnik, by go nakłonić do wyjawienia spisku.

Mówił, że władze wiedzą wszystko. Wiedzą np., że Mierosławski jest wodzem spisku. Wiedzą, że układał napad na Winiary, t. j. poznańską fortecę. Zato grozi mu kara śmierci. Ale jeżeli wyzna wszystko, co wie, będzie darowana wina tak jemu, jak i innym spiskowym.

Mierosławski był człowiekiem wielkich zdolności. Znako- mity mowca, umiał przekonać wielu, że może zdziałać dla sprawy wyzwolenia Ojczyzny więcej, niż każdy inny. Wprawdzie byli

tacy, którzy w to nie wierzyli, ale tych Mierosławski pokonywał zręcznością swojej wymowy i zjadliwością swego pióra.

Był więc wódz uważany przez wielu Polaków za człowieka wielkiego. Takie też mniemanie miał sam o sobie. Ale w więzieniu nie wystarczały jego zdolności; tam trzeba było być człowiekiem nieugiętym. A takim Mierosławski nie był. Toteż, przestraszony groźbą śmierci, wyjawił Prusakowi wszystkie tajemnice stowarzyszenia, wskutek czego policja uwięziła wiele setek ludzi, między nimi prezesa spisku, **A l e k s a n d r a G u t t r e g o**.

Prezes w śledztwie. Guttry, badany przez sędziego śledczego, odpowiadał niezmiennie, że nic nie wie o związku, nie słyszał o nim, a ludzi, o których pyta się sędzia, nie zna.

Czasem żartował sobie z Prusaka. Raz, kiedy sędzia powiedział, że wie wszystko, bo 13 oskarżonych zeznało, że Guttry był prezesem spisku, ten zapytał:

— Więc oskarżeni mają u pana wiarę?

— Najzupełniejszą, daję na to słowo!

— To niech pan pisze, że należę do związku, ale że mnie do niego przyjął pan sędzia...

Przez kilka miesięcy trwało śledztwo codziennie od rana do wieczora. „Nie wiem, nie słyszałem, nie znam“ — oto były odpowiedzi dzielnego prezesa. A po śledztwie, wracając znużony do celi, zaczynał rozmowę z więźniem na górze, wybijając na powale litery alfabetu.

Moabit. Wreszcie po roku śledztwa zwieziono spiskowców z różnych stron do Berlina i osadzono ich w więzieniu w dzielnicy, zwanej Moabit. Uczciwy zarządca więzienia daje Polakom wiele swobody, z czego korzystają, schodząc się każdej nocy na rozmowę. Z Mierosławskim nie chcą mówić; mało kto z nim rozmawia.

Jakże nieszczęsny wódz tłumaczył swoje zeznania, gotujące tyłu ludziom śmierć lub więzienie?

Naprzód twierdził dumnie, że godność narodowa wymaga od spiskowców, aby się otwarcie przyznali do swoich zamierzeń. A później, kiedy go zapytano, czy to godność narodowa nakazała mu zdradzić sprawę przed wrogiem i unieszczęśliwić setki rodzin, oświadczył, że chce rozgłosić sprawę polską przed światem. Na proces przyjadą korespondenci pism z całej Europy; czy oskarżeni mają kłamać, że nie dążą do odbudowania Polski?



Grupa więźniów z Moabitu

Czy ze strachu przed karą mają Polacy dowodzić, że niema w nich gotowości poświęcenia dla Ojczyzny życia? że poprostu niema już Polaków, niema Polski?

I Mierosławski w oczach niektórych ludzi znów stał się wielkim człowiekiem.

Proces. Długo ciągnął się proces. Do ogromnej sali rozpraw, napełnionej szczelnie publicznością i licznymi korespondentami zagranicznych pism, wprowadzały stráže szeregi oskarżonych. Wszyscy, nawet ci, co w śledztwie przyznali się do spisku, teraz odwoływali swoje zeznania. Także Mierosławski. Potwierdził wprowadzić swoje pierwsze zeznania, ale tylko co do organizacji i celów spisku, natomiast zaprzeczył, aby do związku należały osoby, które w śledztwie wymienił.

A później, kiedy dano mu głos, nie bronił ani siebie, ani towarzyszy. Bronił polskiej sprawy, a mówił tak, że ogromna sala, przepełniona ludźmi, zamarła w ciszy zasłuchania się. Kobiety zalewały się łzami, mężczyźni drżeli ze wzruszenia. I w śmiertelnej ciszy rozległy się wkońcu słowa wyroku:

Mierosławski z 7 towarzyszami skazani na śmierć, przeszło 200 innych na długoletnie więzienie, reszta, w niej Guttry, uwolnieni.

Na wolność. Ale wobec rozgłosu, którego nabrał polski proces, wyroki śmierci nie zostały wykonane, a niedługo potem, na wiosnę r. 1848, wybuch rewolucji w Berlinie uwolnił wszystkich więźniów Moabitu, Mierosławski zaś, na rękach przez lud wyniesiony, wygłosił na ulicy pełną zapału mowę do tysięcznych tłumów oklaskujących go berlińczyków.

42. O WIOŚNIE LUDÓW



Uwolnienie więźniów w Krakowie w r. 1848

Dnie marcowe w Krakowie. Kilka dni przed berlińską wybuchła w marcu 1848 rewolucja we Wiedniu i ogarnęła wszystkie kraje austriackiego cesarstwa. Należał do niego także Kraków, zagarnięty przez Austrię po nieudalnym powstaniu. Kiedy więc do Krakowa przysłała wieść, że Wiedeńczycy obalili samowładne rządy i wymusili na cesarzu obietnicę nadania państwu konstytucji, pod krakowskimi więzieniami skupiły się tłumy ludzi, żądając uwolnienia więzionych od 2 lat za udział w powstaniu spiskowców, a kilku znanych w mieście obywateli, między nimi *A d a m P o t o c k i*, udało się do przedstawiciela austriackiej władzy, t. j. starosty krakowskiego obwodu i wymogło na nim wypuszczenie więźniów. Tłumy ścisnęły i całowały uwolnionych, przyczem dziękowały Potockiemu i jego towarzyszom, a nawet żołnierzom, którzy w więzieniach pełnili

wartę, i wydawały okrzyki na cześć komenderującego w Krakowie generała.

Lud krakowski bratał się z Austriakami podobnie, jak upojeni zwycięstwem swojej rewolucji berlińczycy bratali się z uwolnionymi z Moabitu Polakami.

Gwardja narodowa. Zmuszony przez rewolucję rząd wiedeński zgodził się, by obywatele tworzyli gwardję narodową, t. j. zbrojne oddziały, złożone z ochotników, a mające stać na straży zdobytej wolności, gdyby ją rząd chciał ukrócić. Ponieważ nie było zaco kupić lepszej broni, krakowska gwardja zaczęła się zbroić w kosy i piki, wyrabiane w podmiejskiej kuźni Miler.

Nagle pewnego dnia rozeszły się po mieście wiadomości, że starosta zakazał wyrobu tej, jak mówił, „powstańczej broni“. Utrudniło to pracę Milerowi, ale jej nie przerwało; gwardziści chyłkiem wynosili kosy z kuźni, a w mieście rosła nieufność do starosty i do całego austriackiego rządu.

Komitet Obywatelski. Wtem nowa wiadomość. Kraków od dwu dni oczekuje przyjazdu z Francji partji (grupy ludzi) emigrantów, a tymczasem wojsko, rozstawione na pobliskiej granicy, nie wpuszcza nikogo, kto nie jest austriackim obywatelem. Na ulicy wzburzenie. Ludzie odgrają się staroście za emigrantów, za niedozwolenie gwardji broni.

— Niech Komitet Obywatelski idzie do starosty! Niech starosta cofnie swoje zarządzenia!

Komitet, który w Krakowskim kierował sprawą narodową, wybiera kilku z pomiędzy siebie i wysyła ich do starosty. Ten długo się opiera, ale wreszcie, gdy tłumy z ulicy wdarły się, wywalając drzwi, do jego kancelarji, godzi się na wszystko, by następnie władzę swą oddać w ręce komenderującego generała Castiglione (Kastiljone).

Barykady. Generał nie myślał o dotrzymaniu obietnic starosty. Jakoż nazajutrz rano oddziały wojska opasały kuźnię Miler, a policja zabrała kosy i piki. Do tłumu, który się zgromadził koło kuźni, wojsko dało salwę. Tłum pierzchnął, ale na wiadomość o rewizji i strzelaniu lud zaczął na ulicach śródmieścia budować barykady, jakby wały z dorożek, kamieni wyrwanych z bruku i domowych sprzętów.

Na rynku, koło odwachu czyli głównej wojskowej warty stoją szeregi gwardji narodowej. Wtem zbliża się oddział wojska

z karabinami gotowemi do strzału. Komendant gwardji, Adam Potocki, pyta się oficera, co znaczy ta wojenna gotowość? W odpowiedzi słyszy, że wojsko ma rozkaz zburzyć barykady i stłumić rozruchy. Potocki nakłania Austriaka, by się wstrzymał i obiecuje, że gwardziści usuną barykady i uspokoją ludność.

Ale barykady, rozebrane pod okiem oficerów gwardji, wyrażały natychmiast po ich odejściu. Z bocznej ulicy ku szeregom gwardji wyrzwały armaty austriackie. Ku gwardzistom podchodzi jakiś stary pan: stoją — mówi — pod lufami dział, niech się usuną pod Sukiennice, tam, gdzie oddział austriackiej konnicy.

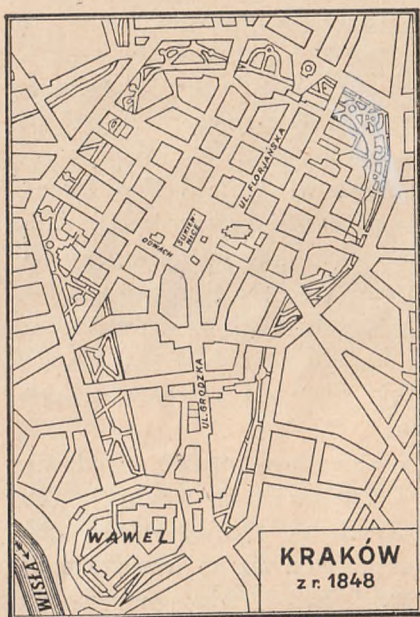
Był to stary generał Chłopicki, który wówczas odniósł ostatnie w swem życiu zwycięstwo. Albowiem konnica, biorąc ruch gwardji za napad, usunęła się ku piechocie, a ta zaczęła się cofać ku Wawelowi.

Tymczasem Castiglione, który przypuszczał szturm na barykadę w ulicy Florjańskiej, widząc za swojemi plecami cofający się oddział majora, zląkł się, że zostanie napadnięty z tyłu i także się wycofał, chroniąc się na Wawel.

Zemsta generała. Dopiero znalazłszy się za murami Wawelu, raniony podczas od-

wrotu w twarz generał Castiglione zemścił się, zasypując miasto ogniem dział. Ginęli ludzie, płonęły domy, wiele ucierpiały Sukiennice, aż wreszcie po długich zabiegach udało się Potockiemu nakłonić Austriaków do zaprzestania ognia.

Bombardowanie Lwowa. Kraków poddał się. Później poddał się również zbombardowany Wiedeń, a na wiadomość o tem komendant Lwowa, stolicy Galicji, postanowił odebrać lwowianom wszelką nadzieję wolności. Żołnierstwo zaczęło napadać i sieć lwowskich gwardzistów narodowych, kiedy zaś ludność



rzuciła się do budowania barykad, wojsko opasało śródmieście, strzelając do snujących się ulicami ludzi. Zginęło do dwustu osób, nie oszczędzano nawet ani kobiet ani dzieci, a ogień armat zniszczył wiele budynków, między nimi ratusz, teatr i uniwersytet.

Samowładztwo odżyło i utrzymało się w Austrii jeszcze przez kilkanaście lat po owej wiośnie ludów, jak zwano r. 1848.

43. KRWAWA MANIFESTACJA

Manifestacje. Gorętsi patryjoci coraz niechętniej znosili rosyjską niewolę. Zaczęli oni urządzać po miastach, a przede wszystkim w Warszawie, wielkie procesje, nabożeństwa i pogrzeby i zalewać ulice tłumami, śpiewającemi patryjotyczne pieśni. Pierwszem takim wystąpieniem czyli manifestacją był pogrzeb wdowy po generale Sowińskim, poległym bohaterską śmiercią na Woli w r. 1831. Po tej manifestacji nastąpiły inne, coraz częstsze i tłumniejsze. Zrazu Moskale nie zaczepiali spokojnie śpiewających procesyj, ale potem zaczęli się na nie oburzać, a wreszcie rozpędzać, aresztując, bijąc i kalecząc ich uczestników.

Lutowy ranek. Pewnego lutowego rana ulice Warszawy zaroily się tłumami, wychodzącemi z jednego z kościołów. Wielu wiedziało, na czyją intencję było odprawione nabożeństwo. Ale przed kilku dniami wojsko pobiło i aresztowało wielu uczestników procesji na Starem Mieście, a to było powodem, że między wychodzącą z kościoła publicznością padło wezwanie, aby pójść w stronę Zamku i upomnieć się o uwolnienie aresztowanych.

I ku Staremu Miastu skierowały się tłumy, rosnące „jak śnieg, toczący się z góry“, jak zapisał jeden z naocznych świadków. Na Starem Mieście przyłączyły się do nich mieszczanki, wychodząc z domów z obrazami Matki Boskiej i Świętych Pańskich, a na jednej ulicy posypał się z okien domów deszcz małych, powyjmowanych z książeczek do nabożeństwa, obrazków, które uczestnicy manifestacji chwyтали w powietrzu i niosąc je przed sobą, weszli na plac przed Zamkiem.

Pod kolumną Zygmunta. Wtem na placu pokazali się kozacy. W galopie wpadli na nadchodzące tłumy i bijąc kobiety

po głowach, rozpędzali procesję. Ale tłum, przestawszy śpiewać i pochowawszy obrazki, nie odchodził; owszem, rósł bezustannie i jużto stawał spokojnie pod kolumną Zygmunta, jużto przechadzał się tuż obok Krakowskiem Przedmieściem.

Z przyległego kościoła wyszli zakonni księża z krzyżem, a za nimi wyniesiono trumnę. Był to pogrzeb jakiegoś urzędnika, ale kozacy, zobaczywszy tworzący się pogrzebowy pochód, wzięli go za manifestację i rzucili się w jego stronę. Pochód zachwiał się i ruszył w drugą stronę, ale i stąd wypadają kozacy, rąbią krzyże i wywijają szablami nad głowami księży i ludu.

— A niedowiarki! A schizmatyki (odszczepieńcy)! — woła jakaś żebraczka, chwyta cegłę z nagromadzonych na budowę materiałów i rzuca ją na kozaków, a wślad za tym pierwszym pociskiem lecą inne, miotane pewniejszemi już rękoma kręcących się w tłumie uliczników.

Nagle na Krakowskiem Przedmieściu ukazała się piechota. Cegły przestały latać, kozacy stanęli spokojnie.

Przerwane posiedzenie. W jednym z niedalekich od placu Zamkowego pałaców odbywało się właśnie posiedzenie paruset szlachty, członków Towarzystwa Rolniczego, obradujących pod przewodnictwem prezesa hr. Andrzeja Zamojskiego. Ale obrady przerywane były co chwila wieściami o niepokojach w mieście. Wobec tego prezes zamknął posiedzenie, lecz zanim zgromadzeni rozeszli się, pokazała się na sali wysoka postać jednego ze szlachty, o bladej i zalanej krwią twarzy.

— Co się stało? — pytają ziemianie.

Kozacy zbili go pod Zamkiem. Szedł na posiedzenie i musiał przejść przez plac Zamkowy. Kozacy tratuja, biją i rąbią krzyże pochodu pogrzebowego. Tysięczne tłumy na ulicach. Właśnie nadchodzi piechota.

Szlachta słucha, oburza się i żąda od prezesa, aby się udał na Zamek i przedstawił namiestnikowi zbrodnicze wybryki wojska.

Prezes obiecał upomnieć się o sprawiedliwość i zgromadzeni rozeszli się.

Trupy na Krakowskiem Przedmieściu. Ale zanim ostatni wychodzący z posiedzenia opuścili pałac, już dwu z szlachty leżało martwych na chodniku. Tymczasem bowiem oddział pie-



Manifestacja na ulicach Warszawy r. 1861

choty, który dążył ku Zamkowi, dał trzykrotną salwę w tłum, zalegający Krakowskie Przedmieście, Plac Zamkowy i sąsiednie ulice. Oprócz dwu ziemian padł pewien rzemieślnik z fabrycznych warsztatów żelaznych, jakiś biedny wyrobnik i uczeń gimnazjalny. Nadto było wielu rannych. Od Zamku nadchodzą nowe oddziały rosyjskie. Lud cofa się przed nimi z jezdni na chodniki; wzdłuż chodników stają dwa łańcuchy wojska, a środkiem jezdni wśród grobowej ciszy warszawianie unoszą poległych i rannych, znacząc swój pochód krwawymi śladami na ulicznym bruku.

Cisza. Nikt nie przeklina ani nie grozi carskim siepaczom, a jednak ci są przerażeni, jakby ponieśli klęskę.

Pogrzeb 5 poległych. Moskale nie śmieli zabronić uroczystego pogrzebu poległych ofiar. Pozwolili na manifestację, jakiej Warszawa nigdy w owym czasie nie widziała. 100.000 ludzi wszystkich wyznań, z duchowieństwem katolickim, protestanckim i żydowskim na czele, ruszyło za 5 trumnami na cmentarz; tak w dniu tego pamiętnego pogrzebu zjednoczył się cały warszawski lud pod chorągwią zwolenników walki o wolność Ojczyzny.

44. O NOCY STYCZNIOWEJ

Biali i Czerwoni. Bronisław Deskur, zamożny ziemianin z okolic Radzyna na Podlasiu, był ogólnie znany i szanowany, jako człowiek prawy i gorący patriota. Choć więc nigdy w wojsku nie służył, to jednak przy organizowaniu powstania zamianowano go majorem i naczelnikiem sił powstańczych w powiecie radzyńskim.

Pewnego styczniowego dnia r. 1863 major otrzymał rozkaz Tymczasowego Rządu Narodowego, aby w nocy

z 22 na 23 stycznia uderzył na Radzyn i zdobył go; tę noc bowiem przeznaczono na wybuch powstania w całym Królestwie. Zaledwie kilka dni zostawało na przygotowanie się do wybuchu, to też major kazał w kuźni na gwałt osadzać kosy „naprost” oraz rozesłał wszystkim wtajemniczonym stosowne rozkazy.



Bronisław Deskur

Po dworach w radzyńskim wszczął się

ruch. Jedni gotowali się na wyprawę, drudzy się wstrzymywali, a wszyscy gorąco rozprawiali o zarządzeniu Rządu. Bogata szlachta i starsi nie wierzyli w powodzenie powstania i odradzali je. Byli to zwolennicy stronnictwa Białych; sądzili oni, że Królestwo może odzyskać wolność chyba przy pomocy obcej, mianowicie Francji, a zresztą spodziewali się, że rząd rosyjski sam zwróci Królestwu zniesioną po r. 1831 konstytucję.

Przeciwnikami Białych byli Czerwoni. Ci nie liczyli na pomoc obcą, a rządowi carskiemu nie wierzyli. W swoich szeregach liczyli około 20.000 młodzieży szlacheckiej i mieszczańskiej; wierzyli, że skoro Rząd Narodowy ogłosi równość wszystkich stanów, a chłopom da ziemię, cały lud wiejski stanie po

stronie powstania. Silni tą wiarą, opatrywali swą broń i czekali niecierpliwie dnia wybuchu.

Pod Radzyniem. Wieczorem dnia 22 stycznia r. 1863 stanął major Deskur pod Radzyniem i czekał na powoli gromadzących się powstańców. Zamiast jednak spodziewanych licznych setek przyszło niespełna 200 ludzi; zamiast 200 strzelb przyniesiono 40; nawet kos nie wystarczyło dla wszystkich, bo było ich zaledwie 100 i niektórzy powstańcy otrzymali jako broń wyłamane w lesie koły.

O północy zjawiała się garść radzyńskich mieszczan. Przynieśli dobre nowiny: Moskale nie spodziewają się niczego, ich oficerowie zebrali się w jednym domu na karty i pijatykę, a żołnierze śpią.

Major wydał rozkazy. Mieszczanie pod wodzą jednego ze swoich, *Pyrkosza*, wezmą do niewoli oficerów, część strzelców i kosynierów schwyta dowodzącego generała, a reszta pod wodzą samego majora uderzy na koszary artylerji i zdobędzie armaty. O piechocie, której paręset stało w Radzynie, zapomniano. Zacznie *Pyrkosz*, który, dając hasło do ogólnego napadu, podpali stertę słomy, przygotowaną dla artylerji na rynku.

I Deskur z 40 myśliwskimi strzelbami i 100 kosami ruszył na uśpione miasto.

Śmierć *Pyrkosza*. Na rynku buchnął ogień, a *Pyrkosz* otoczył dom z oficerami i sam jeden wszedł do środka. Oficerów ogarnęło zdumienie. Co to za pożar? Czego chce ten mieszczanin?

Pyrkosz nie miał talentów mowcy, a wzruszenie płatało mu myśli, kiedy wygłaszał ostatnią w swem życiu przemowę. Mówił o tem, że ogień na rynku jest hasłem wybuchu powstania w całym Królestwie Polskiem, o tem, że oficerowie są jego więźniami, ale że są braćmi, więc nic im nie grozi, że owszem, Polacy chcą wywalczyć wolność nie tylko sobie, ale i Rosji, uciskanej przez samowładztwo cara.

Słuchając tej przydługiej mowy, jeden ze starszych oficerów posłał ukradkiem służącego po piechotę, a sam podszedł ku *Pyrkoszowi*, zagadując go uprzejmie. Naturalnie, *Pyrkosz* ma słuszość — poświadczał. — Ludzie powinni sobie być braćmi, a nie wrogami. A możeby *Pyrkosz* napił się czego? Na zgodę? Na braterstwo?

I tak go zagadywał i zabawiał, aż hurma żołnierzy wpadła do mieszkania i biedny, ufający wrogowi mieszczanin upadł, przeszyty kilku bagnetami.

Pod koszarami. Tymczasem Deskur uderzył na warty przy działach i w jednej chwili je rozpędził. Armaty stały się łupem zwycięzcy. Ale trzeba je stąd usunąć, bo już z okien koszar wysuwają się lufy karabinów i kierują się ku powstańcom, widocznym w świetle gorejącej w pobliżu sterty. Gdzie konie? Tuż obok, w stajniach! Wyważyć wrota! I jedni parają się koło wrót, a inni ostrzeliwują okna koszar, gdy w którym błysnie lufa karabinu. Wtem nadbiega oddział, wysłany na schwytanie generała; już się z nim uporał, ciężko ранego zostawił pod dozorem i już zieje ogniem swych strzelb na koszary i spędza z ich okien mniej wprawnych w strzelaniu żołnierzy. Stajenne wrota trzeszczą i uginają się.

Ale cóż to za strzały z boku, skąd ma nadejść Pyrkosz?

Ogień karabinów piechoty, którą po śmierci Pyrkosza poprowadzili oficerowie, oraz sprawność żołnierska odniosły zwycięstwo nad cywilnym tłumem powstańców. Wyparci w boczne uliczki, nie słysząc komendy wodza, ustępują coraz dalej i wreszcie rozpraszają się za miastem w bezładnej ucieczce.

Oddział majora Deskura przestał istnieć.

45. MANIFEST TYMCZASOWEGO RZĄDU NARODOWEGO

Po styczniowej nocy. Chociaż pamiętna styczniowa noc nigdzie nie przyniosła powstańcom korzyści większej, niż w Radzynie, jednak z końcem stycznia wszczął się w kraju żywy zbrojny ruch. Oto małe załogi rosyjskie zostały pościągane do większych miast, a wtedy w opuszczonych przez wojsko okolicach ukazały się powstańcze oddziały. Do miasteczek wpadały grupki jeźdźców w konfederatkach, obszytych barankiem, albo gromadki kosynierów, które zabierały broń, proch, ołów, zrywały rosyjskie orły z urzędów, i odchodziły, zwiększone ochotnikami z pośród mieszczan. A po wsiach już to pleban, już to dziedzic, czasem leśniczy, ekonom lub dworski pisarz czytał ludzom i objaśniał manifest (odezwę), wydany dnia 22 stycznia

r. 1863 przez powstańczy Komitet Centralny jako tymczasowy Rząd Narodowy.

Do broni! „Nikczemny rząd najeźdźczy, rozwścieklony oporem męczzonej przezeń ofiary, postanowił porwać kilkadziesiąt tysięcy najdzielniejszych jej obrońców, oblec w nienawistny mundur moskiewski i pognać tysiące mil na wieczną nędzę i zatrącenie.“



Pieczęć
Rządu Narodowego

Tak brzmiało pierwsze zdanie manifestu.

Któż był tą ofiarą?

To Polska, cały polski naród, któremu rozkazywał Moskal, ściągając z niego podatki, wydawał je według własnej woli i opłacał niemi swoich urzędników.

A kto to obrońcy ofiary?

To ci, co zmówili się, aby Moskale wypędzić z kraju i Polsce wywalczyć wolność. Cóż ich za to czekało? Oto policja wywęszyła ich, a że ich było za dużo i niepodobna ich wszystkich zamknąć do więzienia, tedy Moskale postanowili ich wszystkich porwać do wojska i wysłać z kraju na drugi koniec świata. Cóż więc czyni ta przeznaczona na zgubę młodzież?

Odpowiada na to manifest:

„Zastępy młodzieży walecznej, ożywione gorącą miłością Ojczyzny i wiarą w sprawiedliwość i pomoc Boga, poprzysięgli zrzucić przekłętą jarzmo lub zginąć. Za nią więc, Narodzie Polski, za nią! Po straszałiwiej hańbie niewoli, po niepojętych męczarniach ucisku, Centralny Narodowy Komitet, obecnie jedyny legalny (prawy) Rząd Twój Narodowy, wzywa Cię na pole walki już ostatniej, na pole chwały i zwycięstwa!“

Równe prawa dla wszystkich. „Wzamian Komitet Centralny Narodowy przyrzeka Ci — brzmiały dalsze słowa manifestu — że siły dzielności Twojej nie zmarnieją, poświęcenia nie będą stracone. W pierwszym zaraz dniu rozpoczęcia świętej walki Komitet Centralny Narodowy ogłasza wszystkich synów Polski, bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnymi i równymi obywatelami kraju.“

Co to znaczyło?

Oto manifest obiecywał, że nie będzie innych praw dla ludu wiejskiego, innych dla Żydów, innych znów dla mieszczan, innych dla szlachty. Np. Żyd był wolny od służby wojskowej, szlachcic służył tylko, jeżeli sam chciał, a chłopą porywano gwałtem od rodziny, żony, dzieci i na długie lata wysyłano w obce kraje. Odtąd wszyscy, czy Żyd, czy szlachcic, czy chłop, mieli służyć w wojsku, ale już swoim, polskim i nie w obcym kraju, ale w Polsce.

Ziemia dla chłopów. „Ziemia, którą lud rolniczy posiadał dotąd na prawach czynszu lub pańszczyzny — czytał dalej stronnik Czerwonych — staje się od tej chwili jego własnością, dziedzictwem wieczystem. Właściciele poszkodowani wynagrodzeni będą z funduszków Państwa, wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy, wstępujący w szeregi obrońców kraju — lub w razie zaszczytnej śmierci na polu chwały — rodziny ich otrzymają z dóbr Narodowych dział obronionej od wrogów ziemi.“

Rząd Narodowy znosił więc czynsze i pańszczyznę i dawał chłopom ziemię na własność.

Ale skąd pańszczyzna w Królestwie Polskiem, na tych ziemiach, na których ją zniesiono jeszcze za czasów Księstwa Warszawskiego?

Oto po upadku Napoleona niektórzy dziedzice zaczęli ją na powrót wprowadzać w swych dobrach, a że Moskalom to się podobало, tedy doszło do tego, że więcej było chłopów, którzy ją odrabiali, niż tych, którzy płacili czynsze. Rząd Narodowy znosił i jedno i drugie, a nadto obdarzył chłopą ziemią, którą ten dotychczas dla siebie uprawiał. Ale i komornicy, którzy oprócz chałupy nic nie mieli, i wyrobnicy, którzy i tej byli pozbawieni, jeżeliby poszli do powstania, mieli otrzymać grunt w państwowych dobrach.

Słowo do Moskali. Kończył się manifest odezwą do narodu rosyjskiego. Imieniem Polski przebaczał mu Komitet Centralny Narodowy zbrodnie rozbiórów, gwałty na ulicach Warszawy i męczeństwo więźniów w lochach Cytadeli (warszawskiej twierdzy). Ale jeżeli w walce z Polską naród rosyjski, sam uciemiężony, stanie po stronie cara — to Polska wyzwie kiedyś Rosję na straszny bój, który skończy się zagładą niewolniczego moskiewskiego barbarzyństwa.

46. BITWA W LESIE

Wzrost powstania. Uplewały tygodnię, miesiące. Kraj roił się od licznych a drobnych oddziałów powstańczych, czasem łączących się po kilka ze sobą, częściej działających każdy na własną rękę. Między nimi przechodziły rosyjskie kolumny. Słabsze bito, mocniejszym się wymykano. Powstanie wzbierało; wybuchło na Litwie, obiecywało się na Rusi, a w Królestwie zasililo się przyływem świeżych oddziałów z Galicji, ochotników z Węgier, Włoch, Francji, a przedewszystkiem zjawieniem się lepszej broni. Tymczasem w Europie narody zaczęły natarczywie domagać się od swoich rządów poparcia dla bohaterskich Polaków. Pod naciskiem nalegań gazet, posłów parlamentarnych (sejmowych) i polityków zaczęły rządy niektórych państw naradzać się i układać plany, jakby Polsce pomóc. Zdawało się, że Rosja będzie w wojnie z całą Europą. Ożywieni takimi nadziejami Biali, zamożna szlachta i panowie, zasilili powstanie bronią, pieniędzmi i ochotnikami. Z końcem wiosny r. 1863 siły powstańcze wzrosły do 50.000 ludzi i żaden oddział rosyjski nie śmiał wychylać się z garnizonowego miasta bez paru przynajmniej armat.

Kłopoty pułkownika. Tej broni powstańcy prawie zupełnie nie mieli. Zresztą działa zużywają wiele prochu, a tego powstańcom zawsze brakowało. Srodze też biedził się brakiem amunicji pułkownik Kruk, jak się w powstaniu nazwał dawniejszy rosyjski oficer, Mikołaj Heidenreich (Hajdenrajch). Właśnie odniósł był w lubelskiem parę głośnych zwycięstw i zatrzymał się na postój w pewnym dworze niedaleko na wschód od Dębłina.

Gospodarz przyjął powstańczą „partję“ otwartemi ramionami. Ale niezbyt długo mógł ją gościć: ciągnie za nią



Mikołaj Heidenreich-Kruk

2000 Moskali z baterją artylerji. Partja nawet liczbą nie może się z nimi równać. A cóż dopiero uzbrojeniem? W dodatku w ostatniej bitwie wystrzelano resztki amunicji.

Gościnny szlachcic słucha, coś w myśli rozważa, a wreszcie, poszeptawszy z pułkownikiem, siada na bryczkę i jedzie do Lublina.

Zasadzka. W lesie pod Żyrzynem, niedaleko Dębina, stanęło do 800 strzelców, 600 kosynierów i 200 jazdy. Pościnali oni nieco drzew wzdłuż drogi, tworząc w ten sposób 2 zasieki, rozstawili czaty i nad lasem zapanowała cisza letniej nocy. Wtem, już po północy, donoszą czaty, że zbliża się jakaś bryczka. Był to wczorajszy gościnny gospodarz; przez całą noc skupował od lubelskich żydów naboje, płacąc, ile żądali i wrócił na czas, witany z radością przez pułkownika.

Godzina 5 rano. Kolumna, ścigająca powstańców, nocowała o kilka mil od Żyrzyna i pewnie już ruszyła w drogę. Zaczyna być niebezpiecznie. Powstańcy nalegają na wodza, by wydał rozkaz wycofania się. Pułkownik ich zatrzymuje. Nagle zdaleka, od strony Dębina, dolatuje głos strzału. Pułkownik pędzi i ogląda zbliżającego się wroga. Niema go więcej, niż 500 ludzi i 2 armaty. Kilkunastu kozaków jako straż przednia, potem oddział piechoty, działą, 2 pocztowe furgony (wozy towarowe) i zamykający pochód drugi pieszy oddział. Pułkownik galopem wraca do swoich i dzieli ich na 3 oddziały: jeden z nich stanie napoprzek drogi, a dwa inne uderzą z boków i zamkną odwrót do Dębina.

Bitwa. Godzina 5 i 1/2. Armaty i furgony wjeżdżają między zasieki. Pada komenda i z poza zasieków grzmi salwa kilkuset karabinów. Wszystkie konie artylerji i pocztowe padają. Poszczerbiona kolumna staje. Działą grzmia w lewy zasiek, skąd padają najgęstsze strzały. Tymczasem z poza zasieków wysuwają się łańcuchy piechoty na tył pochodu i dopełniają zamknięcia Moskali w potrzask. Oficer, dowodzący Moskalami, przypadkowo Polak, rozrzuca dwa plutony w tyraljerkę przeciw prawemu zasiekowi, jego pomocnik robi to samo z lewej strony. Reszta zostaje na obronę dział i poczty. Ale ci, przeważnie świeży żołnierz, kładą się ze strachu do przydrożnych rowów. Jeden z oficerów rąbie ich szablą, jeden z kozaków okłada ich nahajem (rodzaj bata) — napróżno. Żadna siła nie zmusi prze-

rażonych do boju. Także tyraljerzy tracą przytomność: niektórzy przy nabijaniu broni kładą do luf ładunki odwrotnie, kulami ku kolbie, tak, że ich karabiny przestają strzelać. Jeszcze działa kartaczami trzymają powstańców w oddaleniu od szosy, ale rosyjski oficer, dowodzący po lewej stronie, pada, a tyraljerzy doznają tylu strat, że dowódca eskorty porzuca działanie zaczepne i ściąga ich do obrony furgonów. Tu odpiera 8 ataków, a kiedy działa dały 140 strzałów i umilkły, wystrzelawszy wszystkie naboje, dowódca psuje ich zamki czyli zagwoźdża je, porywa setkę swoich i z bagnetem w rękę przebija się przez cienki pas zastępów niesprawnego przeciwnika.

Na placu boju garstka Moskali, czarna od dymu, stała ponuro z karabinami, skierowanemi w ziemię. „Była otoczona wysokim wałem ludzkich ciał, jedno na drugim leżących“ — opowiadał potem uczestnik tej walki. Do 200 zabitych, 150 jeńców, prawie tyluż rannych, kilkaset karabinów, nieco amunicji i przeszło 200.000 rubli — obliczał wyniki tej bitwy pułkownik Kruk i wysłał jednego ze swych oficerów, którym był major Deskur, ze zdobytymi pieniędzmi do Lwowa, aby je złożył w kasie tamtejszego powstańczego Komitetu.

47. TAJNY DYKTATOR

Ku upadkowi. Było to w jesieni r. 1863. Powstanie mimo nadludzkich wysiłków i kilku zwycięskich bitew upadało. Straciwszy nadzieję obcej pomocy, Biali opuścili je. Z pomiędzy tych, co powstanie zaczynali, wielu zginęło. Zabrakło ludzi doświadczonych; na ich miejsce do Rządu Narodowego weszli młodzi. Ucierpiały na tem urzędy powstańcze. Często nie było komu wybrać w powiecie podatku, często wysłannik Rządu Narodowego, przyjechawszy do jakiegoś miasta, nie miał komu wręczyć rozporządzenia powstańczej władzy. Brakowało ludzi, broni i pieniędzy.

Traugutt. Wtedy zjawił się w Warszawie Romuald Traugutt. Był dawniej wyższym oficerem w armji rosyjskiej, wystąpił jednak z wojska i ożeniwszy się ze stryjeczną wnuczką Tadeusza Kościuszki, osiadł na Polesiu. Po wybuchu powstania dowodził oddziałem w okolicy Pińska, a potem, zamianowany przez Rząd Narodowy generałem, wyjechał zagranicę, by zwieździć tamtejsze komitety, dostarczające powstaniu broni i pie-



Romuald Traugutt

niędzy, a także, by wyrozumieć, czy rządy europejskie przyjdą walczącej Polsce z pomocą. W Paryżu usłyszał zapewnienie, że choć rząd francuski nie zdołał jeszcze innych państw nakłonić do wojny z Rosją, to jednak nie przestanie zabiegać, póki do niej nie doprowadzi.

Tak Trauguttowi obiecywał bratanek ówczesnego władcy Francji.

Zamach stanu. Kiedy Traugutt wracał do Warszawy, przywitała go łuna pożaru ratusza.

Któż był sprawcą pożaru?

Nikt inny, jak sam naczelnik powstańczej policji, zwany Czarnym Jankiem. Chciał w ten

sposób zniszczyć spisy obywateli obowiązanych do płacenia podatków, według których to spisów władze rosyjskie miały ściągać kontrybucję czyli pieniężną karę, nałożoną na miasto. Nic to, że łatwo potem sporządzono nowe spisy i kontrybucję ściągnięto; gorzej było, że spłonął ratusz, a z nim wiele cennych papierów, starych dokumentów i królewskich przywilejów.

Że zaś ówczesny Rząd Narodowy popełnił więcej takich nierozważnych uczynków, tedy stało się, iż stracił zaufanie narodu, a Traugutt, aby ratować powstanie, porozumiał się z niektórymi patriotami i postanowił objąć najwyższą władzę.

Uczynił to w kilka dni po powrocie z zagranicy; z paru swoimi zwolennikami poszedł do pewnego prywatnego domu na posiedzenie Rządu, składającego się z kilku młodych ludzi — tam wyliczył im wszystkie błędy, które popełnili przez parę tygodni piastowania najwyższej powstańczej władzy — i za-

kończył oświadczeniem, że od tej chwili przestają być Rządem Narodowym i że on obejmuje jego ster.

Lekkomyślni młodzieńcy, znudzeni władzą, której nie umieli piastować, w mileczeniu wysłuchali o sobie gorzkiej prawdy i odeszli, a Traugutt posiadał władzę nieograniczonego rozkazodawcy czyli dyktatora, którego to tytułu zresztą nigdy nie używał.

Kupiec ze Lwowa. W cichym, niepozornym domu przy ulicy Smolnej w Warszawie zamieszkała pani Kirkorowa ze starszą matką, kilkuletnim synkiem i lokatorem, który się kazał nazywać Michałem Czarneckim, kupcem ze Lwowa.

Dziwnych to zwyczajów kupiec. Przez cały dzień nie wychodzi z domu, spędzając czas na pracy przy biurku i na modlitwie, wieczorem wyjeżdża gdzieś dorożką na parę godzin, a potem znów zasiada do biurka i długo w noc coś pisze.

A pisze coś dziwnego: poprostu ustanawia sądy na dzieciów, zmuszających chłopów do odrabiania pańszczyzny: tacy dziedzice — nakazuje — mają być karani śmiercią.

To znowu urządza wojsko: luźne partje powstańców każe łączyć w korpusy, podzielone na dywizje, brygady, pułki, ba-



Powstańcy w bitwie

taljony, kompanje i plutony — mianuje oficerów, a generałów, m. i. Kruka i wsławionego bojami w sandomierskiem B o s a k a — dowódcami korpusów.

Praca i męczeństwo. Tak przez pół roku pracował Traugutt, ożywiając upadające powstanie i kierując niem z ukrycia w kraju, zalanym przez wrogie wojska i tysiące szpiegów.

Nadeszła zima. Dyktator przeżywał straszne chwile, kiedy zamiast ciepłego ubrania i broni nie mógł walczącym przesłać niczego, prócz słów otuchy i rady, by sobie potrzebne rzeczy zdobywali na Moskalach. Wskazywał im, jak na Litwie chłop Ł u k a s z u n a s ze 100 ludźmi zaopatruje się na zimę: „przed niedawnym czasem zdobył na nieprzyjacielu 100 kozuchów i już jest bezpieczny“.

Tak też czasem czynili i inni dowódcy. Niebawem jednak zabrakło nie tylko pieniędzy, ale i ludzi. Srożyła się zima. Powstanie konało. Niesłychanym wysiłkiem i umiejętnością podtrzymywał je Traugutt i przetrwał zimę. Z wiosną nadeszła z Francji wiadomość, że tamtejszy rząd nie da Polsce pomocy. I wtedy jeszcze lokator pani Kirkorowej nie opuścił rąk. Modlił się, pracował i wierzył. Wierzył w cud: w powstanie całego narodu. Aż raz w nocy weszli do jego pokoju Moskale.

— To już? — rzekł, wiedząc o tem, że razem z nim kończy się powstanie i w kilka miesięcy później zginął, powieszony na stokach cytadeli razem z czterema wiernymi pomocnikami.

Pani Kirkorowa, chociaż nie wiedziała, kto jest jej lokatorem, została wysłana na Sybir.

48. O NAFCIE

W aptece. Do pewnej lwowskiej apteki wszedł raz brodaty człowiek w jarmulce na głowie, wydobyl z kieszeni długiego czarnego chałata flaszeczkę, napelnioną żółtym płynem i podał ją prowizorowi, t. j. kierownikowi apteki, I g n a c e m u Ł u k a s i e w i c z o w i.

Gość jest karczmarzem na wsi pod B o r y s ł a w i e m. Opowiada, że w jego okolicy płynie z ziemi dużo skalnego oleju; chłopci gotują go w wielkich garnkach, aby dostać maź do smarowania wozów, a przy gotowaniu osiada na pokrywie naczynia ta ciecz, którą przyniósł we flaszeczce. Czyby nie można z tego zrobić wódki?

Młody aptekarz roześmiał się.

Wódki? Nie. Ale — sądził — da się zrobić coś pożyteczniejszego.

Umówili się tedy, że karczmarz przywiezie beczkę oleju, a prowizor zacznie z nim czynić próby.

Lampa naftowa. Przy pomocy jednego z kolegów wziął się Łukasiewicz do pracy. Pierwsza jej część, oczyszczenie ropy naftowej, była łatwa. Wystarczało ją ogrzać, aby parowała, a para, oziębiwszy się, osiadała na talerzu, umieszczonym nad powierzchnią ogrzanej ropy, jako przeźroczysty, żółtawy płyn, t. j. nafta. Był on łatwo zapalny, a płonął nadzwyczajnie jasnym płomieniem, to też Łukasiewicz postanowił użyć go zamiast świec (łojowych i woskowych), oliwy i innych tłuszczów roślinnych, które wtedy służyły do oświetlania.

Szło tylko o to, aby wymyśleć lampę dla łatwo zapalnej nafty.

Poszedł tedy do znajomego blacharza i zamówił u niego małą lampkę, podobną do tych, w których wówczas świecono oliwą, tylko polecił mistrzowi użyć grubszej blachy.

Blacharz zaciekawiał się robotą i odtąd brał udział we wszystkich próbach doskonalenia wynalazku młodego prowizora. Nie obeszło się przytem bez poparzeń i małych pożarów, aż wreszcie pewnego dnia, w 10 lat przed powstaniem styczniowem, w mieszkaniu skromnego prowizora we Lwowie za-



Ignacy Łukasiewicz

plonąła spokojnem, jasnem, równem światłem pierwsza lampa naftowa na świecie.

Pierwsza destylarnia nafty. Oświetlenie naftą było znacznie wydatniejsze i tańsze, niż poprzednie, jakoż Łukasiewicz, zarobiwszy na swym wynalazku nieco pieniędzy, przeniósł się ze Lwowa w zagłębie naftowe na zachodniem Podkarpaciu, gdzie w okolicy Jasła wybudował do spółki z dwoma sąsiednimi właścicielami dóbr pierwszą destylarnię (oczyszczalnię) nafty. Nie była to wielka fabryka; mieściła się w małym, niepokąźnym budynku o dwu przedziałach. W jednym wymurował Łukasiewicz palenisko, które ogrzewało potężny kocioł, umieszczony w drugim przedziale. Para z ogrzewanej w kotle ropy wchodziła w żelazne rury, które skrętami tonęły w wielkich kadziach, wypełnionych zimną wodą, skąd wychodząc, wylewały skroploną przez oziębienie naftę do obszernych blaszanych naczyń.

Niebawem jednak spotkał spółkę dotkliwy cios: destylarnia spłonęła. Wytrwały Łukasiewicz wziął się jednak na nowo do pracy i już niedługo potem w pobliżu licznych ropnych źródeł stanęła nowa, ulepszona destylarnia, z której oczyszczoną już naftę odstawiano wozami do oddalonego o 50 km Tarnowa, kędy przechodziła niedawno przedtem wybudowana kolej żelazna, łącząca Lwów z Krakowem i Wiedniem.

Pierwsze kopalnie nafty. Za przykładem Łukasiewicza i jego spółników zaczęli i inni przedsiębiorcy budować w naftowych okolicach Podkarpacia, zwłaszcza w Jasielskiem, a zczasem i koło Borysławia, liczne destylarnie, które szybko wyczerpywały wypływającą na powierzchnię ziemi ropę.

Wreszcie jej zabrakło. Czy destylarnie przestaną pracować? Bynajmniej. Trzeba kopać studnie i wyciągać naftę z głębi ziemi.

— Więć kopmy u mnie — mówi jeden ze spółników, właściciel Polanki pod Krosnem.

I w Polance powstała pierwsza kopalnia ropy, a za nią dalsze. Były to zwyczajne ocembrowane deskami studnie, z których ropę wydobywano konwiami, a z głębszych pompami, aż wreszcie, tuż przed wybuchem powstania styczniowego, wprowadził Łukasiewicz amerykański sposób wiercenia studzien, zwanych szymbami.



Widok Borysławia z wieżami wiertniczymi

Sposób ten polega na tem, że kopacz, zwany wiertaczem, nie schodzi z powierzchni ziemi: stoi w zbudowanej z desek wieżyczce i tylko kieruje świdrem, potężnem stalowem dłutem, które, poruszane siłą parowej maszyny, wgłębia się w ziemię, krusząc powoli najtwardsze skały.

Wkrótce na Podkarpaciu powstawały setki szybów, sięgających 150 do 250 m, potem coraz głębszych, a dziś przechodzących głębokość 2000 metrów.

Przemysł naftowy. Jaki cel przyświecał Łukasiewiczowi w jego wytrwałej pracy nad stworzeniem i rozwojem przemysłu naftowego?

Oto chciał wydobyć bogactwa, które bezużytecznie leżały pod ziemią i dać ludowi pracę i dobrobyt. — Nie mamy na Podkarpaciu węgla, jak Anglicy — głosił — ale możemy je zrobić bogatą Anglią, mając naftę!

I ściągął do kraju miliony za naftę i inne przetwory ropy: benzynę, parafinę, stearynę i smary. Kiedy zaczynał zawód naftowego przedsiębiorcy, Galicja przerabiała niespełna 1/3 tony nafty rocznie (tona = 1000 kg); w 10 lat później sto razy wię-

cej, a po 20 latach prawie tysiąc razy. Z ubogiego prowizora stał się Łukasiewicz miljonerem, ale kiedy umierał, niewielki został majątek; wydał go bowiem na szkoły, kościoły, szpitale, a nawet drogi, które budował w naftowym Zagłębiu, i inne fundacje. Miljony, które wydobył z pod ziemi, oddał narodowi.

49. CZARNE DIAMENTY

Piachy wśród lasów. W południowo-zachodnim zakątku Królestwa Polskiego, na samej granicy śląskiej, na piachach pod Czeladzią, rosły wielkie sosnowe lasy. Wśród nich, na podmokłej kotlinie, zjawiała się pewnego razu, w kilka lat po styczniowym powstaniu, gromadka ludzi z różnymi przyrządami i zaczęła kopać studnię. Byli to sztygarzy czyli górnicy; sprowadzili ich ze Śląska Niemcy, którzy zakupili kotlinę i urządzili na niej pierwszą w Czeladzi kopalnię węgla kamiennego, zwyczajną studnię, poprostu jamę, ocembrowaną sosnowymi belkami, z której zapomocą kołowrotu wyciągano nieliczne wiadra węgla.

Kopalnia obudziła wielkie nadzieje we właścicielu pobliskiego folwarku. Kiedy spojrzy na zachód, widzi o parę tylko kilometrów od Czeladzi oddalone szloty (wysokie kominy) Katowic, Królewskiej Huty i innych górniczych i fabrycznych górnos Śląskich osad; kiedy znów zwróci się ku wschodowi, dostrzega dymy, unoszące się nad Dąbrową, gdzie już kilkadziesiąt lat temu odkryto grube pokłady węgla. Stoi poprostu na węglu, tak poszukiwanym przez warszawskowiedeńską kolej żelazną, której linja od kilku lat przechodzi przez okolicę; pod jego nogami leżą pokłady tych „czarnych diamentów“, a jemu brakuje paru tysięcy, aby stać się ich panem!

Ale ma las; ścina go więc i sprzedaje, poczem zaczyna kopać w piachu.

Początki „Saturna“. Niedługo jednak przekonał się, że pieniądze otrzymane za las nie wystarczą do urządzenia kopalni; sprzedał tedy swoją posiadłość i wyjechał z Czeladzi.

Kupił ją niemiecki magnat i zaczął urządzać kopalnię, którą nazwał „Saturnem“. Ale ludzie, którym powierzył prowadzenie robót, byli dziwnie nieudolni.

Naprzód długo wiercili, zanim świder natrafił na węgiel. Następnie jeszcze dłużej budowali szyb, aż wreszcie, po latach, doszli do węglowego pokładu. Jest więc węgiel. Teraz trzeba go odlupywać wielkimi bryłami i windą wyciągać na świat. A kiedy górnicy wydłubią długi chodnik, wtedy spuści się do kopalni konie, które będą dowoziły węgiel pod windę.

— Konie? — śmieją się górnicy. — Tam nie koń, ale człowiek nie będzie mógł pracować, chyba leżąc. Za cienki pokład.



Dobywanie węgla

Rozgniewany Prusak wypędził inżynierów, a sprowadził innych. Ci długo oglądali kopalnię, mierzyli pokład, kiwali głowami, a wreszcie oświadczyli, że z Saturna nigdy nic nie będzie, bo dobywanie takiego cienkiego pokładu się nie opłaci.

Polska kopalnia. W Łodzi, mieście przemysłu bawełnianego, rozmawiają dwaj spółnicy, rzadcy między tamtejszymi Niemcami fabrykantami Polacy.

Mówią o Saturnie. że wszędzie tam jest węgiel. że tuż obok Saturna jest kopalnia, która przed 20 laty dawała ówczesnym właścicielom, Niemcom, po kilkadziesiąt ton rocznie, a dziś francuska spółka dobywa ich przeszło ćwierć miliona. że więc należałoby Saturna kupić, ale narazie na zysk nie liczyć. Jest to

poprostu ruina: idzie o to, aby pracą i nakładem kapitału stworzyć z niego wielką kopalnię, któraby w całości była dziełem i własnością Polaków.

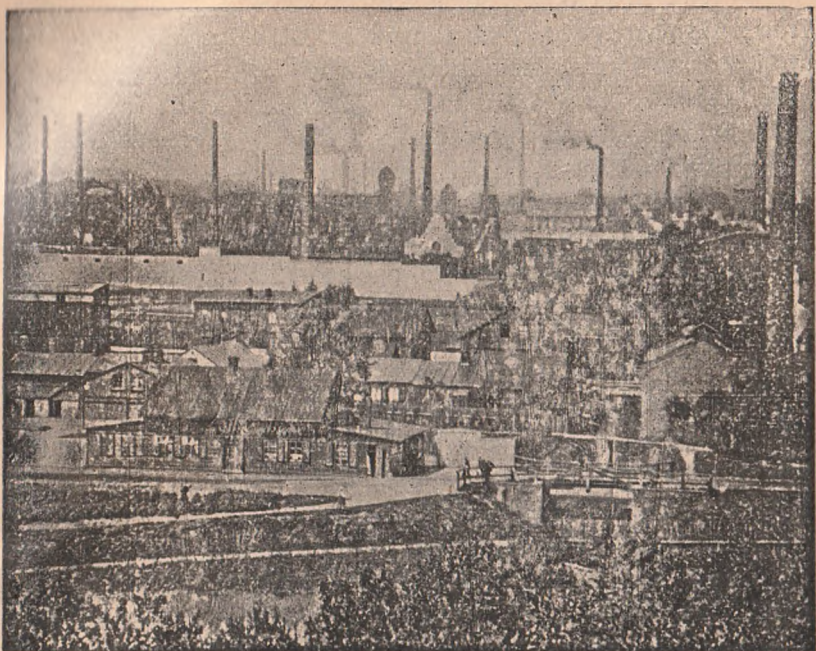
I fabrykanci postanowili zaryzykować (spróbować, narażając się na stratę). Saturn przeszedł w ręce polskiej spółki jako nowego właściciela.

Rozkwit Saturna. Od tego czasu zaczął się rozkwit kopalni. Czego nie zdołali dokonać Niemcy, uczynili teraz polscy inżynierowie i sztygarzy. Dokonali oni przedewszystkiem wielu wierceń i przekonali się, że pod Saturnem znajdują się liczne, ukośnie do powierzchni ziemi ułożone pokłady węgla, poprzegradzane warstwami piaskowców i wapienia. Miąższość czyli grubość węglowych żył nie przechodziła jednak 8 metrów; nie były to więc grube na kilkanaście metrów pokłady śląskie albo dąbrowskie i wiele napracował się naczelny kierownik kopalni wraz ze swymi pomocnikami, aby wyzyskać cienkie, nawet jednometrowe pokłady.

Po kilku latach gorączkowej pracy został Saturn urządzony na wzór najlepszych kopalń śląskich. Z dna pionowych szybów rozbiegły się poziome, wygodne chodniki, które poprzecinały ukośne pokłady węgla. Górnicy zapomocą dynamitu (materiału wybuchowego) a nawet maszynami kruszą węgiel i ładują go na wózki pojemności około $\frac{1}{2}$ tony. Elektryczność pędzi wózki po szynach aż do dna szybu, a tam już czeka potężna stalowa lina, która je wyciąga na powierzchnię ziemi. Wszędzie pracuje elektryczność; ona wydobywa wózki pełne węgla i spuszcza je próżne z powrotem, ona rano zwozi górników na dno szybów i wieczór ich wyciąga, ona wreszcie pompuje wodę, która z pobliskiej rzeki, dopływu *P r z e m s z y*, przedostaje się szczelinami do kopalni, grożąc jej zalaniem. A nielada to maszyna, taka pompa: kiedy niedawno przedtem na Saturnie robotnik mógł zapomocą ręcznej pompy wypompować w 1 minucie z głębokości 10 metrów 15 litrów wody, dziś pompa elektryczna dobywa jej w tym samym czasie z głębokości 300 metrów 50.000 litrów.

Saturn stał się dumą polskiego górnictwa: po kilku latach pracy zrównał się wydobyciem węgla z sąsiednią francuską kopalnią, a po kilkunastu znacznie ją przewyższył, osiągając milion ton rocznie.

50. ŁÓDŹ



Widok Łodzi

Miasto. Ciszę wczesnego ranka przerywa przeraźliwy jęk fabrycznej syreny (gwizdawki). Za nią odzywa się druga, trzecia i dalsze z różnych stron, gdzie tylko ponad dachy domów, sterczą ku niebu wysokie, czarne od dymu kominy. Na ulicach uśpionego miasta wszczyna się ruch. Z przedmieść ciągną ku długiej a prostej, głównej łódzkiej ulicy, Piotrkowskiej, gromady robotników, pobrzękujących blaszankami, napelnionymi strawą na cały dzień i kołaczących drewnianymi trepami po tonących w czarnym błocie uliczkach.

— Chciałbyś chodzić takim białym piachem, jak u nas? — mówił stary robotnik do bratanka, przybyłego niedawno z pod Piotrkowa. — Czekaj, jak to błoto wyschnie, oddychać nie będzie czem, taki proch. A ja tu już 35 lat żyję; tyle, com się w powstaniu przez pół roku po lasach nabiegał.

Początki wielkiego przemysłu. Stary zamilkł, przypominając sobie niedawne powstanie styczniowe, a młody zapytał po chwili:

— To tu zawsze było tak czarno?

— Tu? Broń Boże! Tu, jak teraz idziemy, było pastwisko. Krowy się pasły. Łódź była tam dalej. Ot, miejscina: parę chałup i ratusz między niemi, a ludzi nie było nawet dziesiątej części tego, co tu teraz narodu. Ale i tam czarno nie było, bo nie było fabryk, tylko ręczne warsztaty. Dopiero stary Geyer (Gajer) sprowadził z Anglii pierwszą parową maszynę. Pędziła mu wielką przędzalnię bawełny. Ale Geyer węgiel do maszyny sprowadzał końmi. A węgiel daleko, aż koło Dąbrowy, więc mu się niebardzo opłacało. Aż tu jakoś niedawno przed powstaniem wybudowano kolej warszawsko-wiedeńską: stracili na tem chłopci, co końmi zarabiali, ale zyskali fabrykanci. Teraz co rok nowe fabryki stawiają.

Fabryka. Ogromny, wielopiętrowy budynek, liczne okna, wysoki dymiący szlot. Fabryka drga od wstrząśnień pracujących maszyn. Wszędzie wirują koła, pędzą z sykiem potężne skórzane pasy, wszędzie huk, świsty, zapach farb i węglowego dymu.

Młody robotnik pracuje przy drukarce, t. j. maszynie, wybijającej na perkalu desenie. Przy każdej osobna parowa maszyna. Wśród huku i świstu kół człowiek, jakby wykonywał ćwiczenia gimnastyczne, zgina się co chwila, wkładając tkaninę między dwa obracające się miedziane walce, które wyciskają na niej wzór. Tkanina przybywa z dołu, z tkalni, która znów otrzymuje z niższej jeszcze przędzalni same tylko nici; kiedy zaś drukarka zaopatrzy perkal w deseń, pobiegnie on jeszcze wyżej, do suszarni, skąd można czasem przez wielkie okna wyjrzeć na podmiejskie pola i lasy.

Ale przy drukarce nawet myśleć o tem nie wolno: chwila nieuwagi, a żarłoczne walce, polykające dziennie 15.000 m, t. j. 2 całe mile perkalu, mogą uchwycić dłoń, podającą im żer i zmiażdżyć rękę do łokcia.

Bawełna. Wieczorem robotnicy wychodzą na ulice, jasne od niedawno przedtem zaprowadzonego gazowego oświetlenia. Na Piotrkowskiej gwar. Turkoczą powozy fabrykantów, snują się tłumy publiczności. Często słyhać mowę niemiecką; prawie wszyscy bowiem fabrykanci i ich pomocnicy, a nawet wielu robotników — to Niemcy.

— Widzisz tego cudaka? — mówił stary robotnik do bratanka, wskazując człowieka, ubranego w długi chałat i w ba-

rankową wysoką czapę. — To jakiś kupiec gdzieś z dalekiej Moskwy, a może i z dalszego jakiego kraju.

— A ten tu czego chce?

— Pewnie przyjechał po towar. Nasza manufaktura idzie daleko do Rosji, na Sybir, a nawet do Chin i innych krajów. Nie podoba się to moskiewskim fabrykantom; boją się nas, bo nasz towar lepszy i tańszy, niż ich. Chcą podobno, żeby rząd obłożył wysokiem cłem przywóz bawełny do Królestwa. Rachują sobie, że wtedy nasz towar będzie wiele droższy, niż ich manufaktura.

— A powiedzcie mi, stryjkku, co to za stworzenie ta bawełna? Skąd ona? Już tydzień z nią robię, a nic o niej nie wiem.

— Skąd ona? Z ciepłych krajów. Widziałeś, jak szczygły w zimie siadają na osty? Czego tam szukają?

— Wiadomo, nasienia.

— A każde nasionko ma żółtawy włos, prawda? Żeby je wiatr łatwiej roznosił, żeby się roślina rozpleniała. Ot i bawełna jest rośliną i jej dojrzałe nasionka są także wąsate. Tylko że włókna ostu są krótkie i kruche, a bawełny długie i silne.

Rozwój Łodzi. I rzeczywiście rosyjscy przemysłowcy, nie mogąc wytrzymać konkurencji z Łodzią, wystarali się o to, że rząd nałożył dość wysokie cło na surową bawełnę, przywożoną do Królestwa Polskiego. Mimo to jednak przemysł łódzki rozwijał się niezwykle pomyślnie: wkrótce Łódź zasłynęła nie tylko wszelkimi rodzajami wyrobów bawełnianych, ale także wełnianych. Szły więc w świat łódzkie nici, przędza, włóczki, perkale, baje, barchany i różnego rodzaju sukna; miasto wzrastało tak szybko, że liczba 50.000 mieszkańców, których tam liczono wkrótce po styczniowym powstaniu, w 30 dalszych latach powiększyła się przeszło 6 razy, a dziś Łódź liczy ich 12 razy tyle. Jeszcze więcej zaś wzrosła wartość wytwarzanych w Łodzi włókienniczych towarów: kiedy 50.000-czne miasto wytwarzało ich rocznie niespełna za 30 milionów złotych, to dziś wartość łódzkich wyrobów wynosi nie 12, ale prawie 20 razy tyle.

51. O ŚLĄSKIM LUDZIE I O KAROLU MIARCE

Zalew niemieczyzny. Niedługo przed powstaniem styczniowym mawiał na Górnym Śląsku do ludu kazania pewien słynny kaznodzieja ze Lwowa. Kiedy raz nazwał słuchaczy polskim lu-

dem, wielu z nich spuściło oczy ze wstydu, a obecni na kazaniu księży, przeważnie rodowici śląscy Polacy, przyszli po nabożeństwie do kaznodziei i prosili go, aby śląskiego ludu nie nazywał pogardliwym imieniem Polaków.

— Alboż to nie Polacy? — zapytał zdumiony ksiądz.

— Nie. Poloki mieszkają w Polsce, pod Rusem, albo w Galicji, pod Austryjokiem, a oni są Prusy, pruskie Ślązoki.

Takim językiem mówili wówczas na Śląsku wykształceni synowie polskiego ludu. Uważali się oni za Niemców i między sobą nawet rozmawiali po niemiecku. Od wieków bowiem zalewały Śląsk fale niemieczyny: osadzano tu niemieckich kolonistów, napływało niemieckie rycerstwo, kupcy, rzemieślnicy, później urzędnicy, nauczyciele, księży, przemysłowcy, inżynierowie i robotnicy. Niemcy posiadli władzę, dobra ziemskie, fabryki, kopalnie, pieniądze; wszędzie lud śląski słyszał język niemiecki i spotykał pogardę, okazywaną polszczyźnie. Choć nie zapomniał dźwięków ojczystej mowy, to jednak zapomniał już

o swej polskości; słowo „Polak“ stawało się obelgą i kiedy raz pewien wieśniak zaskarżył sąsiada za nazwanie go Polakiem, sąd skazał oskarżonego na pieniężną karę.

Wiejski rektor. Że reszta ludu polskiego na Śląsku nie zatoneła w morzu niemieczyny, to zasługa garstki synów tego ludu, księży i nauczycieli, a między nimi przedewszystkiem Karola Miarki, rektora czyli kierownika szkoły we wsi pod Pszczyną. Długo czuł się on Niemcem, długo nie znał



Karol Miarka

Polski, uważając ją, jak go uczono, za kraj dziki, pozbawiony oświaty. Jakież więc było jego zdumienie, kiedy raz wizytator po zwiedzeniu szkoły zaczął z nim rozmowę, jakby po śląsku, a przecież inaczej: jakoś kunsztowniej, głódziej, piękniej. A mówił on, choć Niemiec, poprawnym polskim językiem, którego nauczył się w Poznańskim, gdzie spędził wiele lat swego życia.

O czem mówił? O tem, że przyczyną ciemnoty i nędzy ludu śląskiego są szkoły. Dlaczego? Bo choć dzieci uczą się czytać, to jednak nikt im nie rozjaśnia tego, co czytają. Jakaż na to rada? Rzecz prosta: nauczyciel musi dokładnie znać język ojczysty dzieci i uczyć je tak, aby czytana treść rozumiały.

Zdjęcie bielma. Wizytator był pierwszym człowiekiem, z którego ust usłyszał Miarka czysty dźwięk polskiej mowy. Zaczekała go. Rzucił się do nauki polskiej gramatyki, a nawet spróbował napisać po polsku powieść. Ale za Polaka jeszcze się nie uważał. Aż raz wybrał się do Cieszyna, do redaktora tamtejszej polskiej gazety, **Pawła Stalmacha**.

Zdumiony stanął przed biblioteką redaktora. Tyle książek w polskim języku! Więc są polscy pisarze historii! A Niemcy o nich nawet nie wspomną!

Dzieje Polski, do których nauki rzucił się Miarka, zdjęły z jego oczu bielmo: zrozumiał, że jest Polakiem.

— Począłem — pisał potem — po raz pierwszy dopiero wtedy myśleć po polsku, bo dotąd myślałem po niemiecku.

„**Katolik**“. W kilka lat po styczniowym powstaniu odbywały się na Śląsku wybory do pruskiego sejmu. Aż do owego czasu lud śląski wybierał na swych posłów Niemców, właścicieli kopalń i majątków ziemskich. Miarka, który porzucił był zajęcie nauczyciela i wydawał w Królewskiej Hucie **Katolika**, pierwszą prawdziwie polską gazetę na pruskim Śląsku, postanowił wprowadzić do sejmu Polaków.

— Jeżeli chcecie wydobyć się z nędzy, do której was doprowadzono — wołał do rodaków — to wiedźcie, że nikt wam w tem nie pomoże, jeżeli sami o siebie nie będziecie dbali. Komu powierzacie troskę o swą dolę? Niemcom. Czy oni upominają się kiedy o prawa polskiego ludu? Nigdy!

Tak nawoływał Miarka lud do wybierania polskich posłów i dokazał tyle, że pierwszy raz w sejmie pruskim zasiadło 8 Polaków ze Śląska, a lud śląski stwierdził tem swoją polskość.

Walka. Mimo, że Miarka, porzuciwszy nauczycielstwo, żył z dziewięciorgiem dzieci w wielkiej biedzie, to jednak nie przyjął ogromnej sumy 100.000 talarów, którą Niemcy chcieli go przekupić, aby przestał zajmować się polityką. Owszem, wkrótce potem „Katolik“ wydrukował odezwę pod tytułem: „J e z u s, M a r j a, J ó z e f!“ Nawoływał w niej Miarka lud śląski do wytrwałości w walce o swe prawa, a przemawiał w niej tak ze serca i tak gorąco, że wielu czytelników „Katolika“ nauczyło się jej prawie napamięć. Ale czytali ją także Niemcy, a w sejmie pruskim przeczytał ją nawet przepotężny B i s m a r k, kanclerz niemiecki, zacięty wróg Polaków i twórca licznych ustaw przeciw nim wymierzonych.

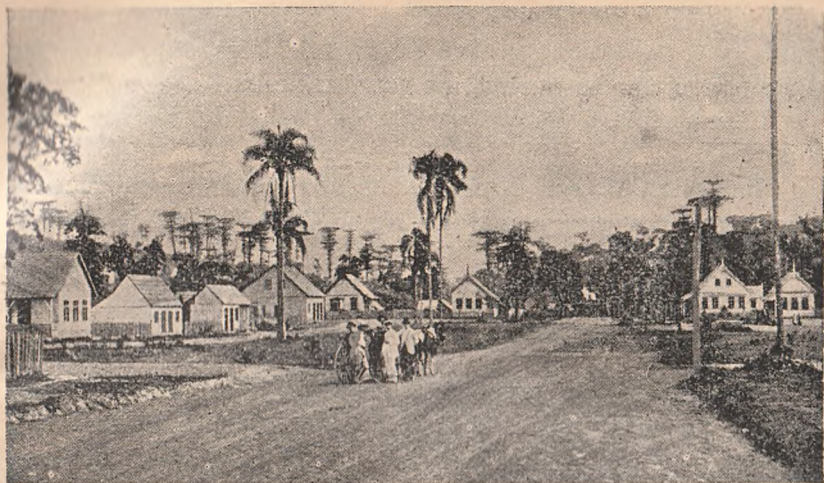
— Oto, co się dzieje na Śląsku — mówił kanclerz. — Oto, jak tam polscy podżegacze podniecają lud do nieposłuszeństwa władzom!

Jakoż niedługo Miarka został powołany przed sąd, potem drugi raz, trzeci, i tak w paru tygodniach otrzymał 28 pozwów (wezwań do sądu). Za odezwę „Jezus, Marja, Józef“ skazano go na 6 miesięcy więzienia, za mowę w pewnem polskiem stowarzyszeniu na 4 miesiące — i odtąd do końca życia odbywał wędrówki z redakcji do więzienia i zpowrotem. Ale każda taka wędrówka okrywała go coraz większą chwałą.

Praca do śmierci. Aby lud śląski miał co czytać, Miarka pisał dla niego powiastki; ponieważ na Śląsku nie widziano nigdy polskiego teatru, pisał teatralne sztuki, a gdy nie było ich komu odgrywać na scenie, czynił to sam wraz ze swą rodziną. Zakładał też stowarzyszenia patryjotyczne, zwane k ó ł k a m i; założył dla ludu kasę pożyczkową, kiedy zaś na Górnym Śląsku wybuchł straszliwy głód, przeszło 70-letni Miarka stał się żywicielem swego ludu, zbierając nań składki po całej Polsce i urządzając dla głodujących bezpłatne kuchnie.

52. GDZIE CHŁOP POLSKI SZUKAŁ ZIEMI

Brazylja. Piękny to kraj, ta B r a z y l j a. Rozłożył się wzdłuż równika na południowo-amerykańskim lądzie i jak rok długi wygrzewa się w blaskach gorącego słońca. Raduje się ciepłem roślinność nigdy nie tracąca liści — zielenieją nie znające snu zimowego lasy, pyszną się barwami kwiaty, trzepocą wo-



Osiedle polskie w Paranie

koło nich pstre, o przecudnych kolorach motyle, fruwały małeńkie, jak chrabąszcze, kolibry, podobne z upierzenia do migotliwych drogich kamieni.

Piękny to kraj i prześliczna wysepka, ta Wyspa Kwiatów, tonąca w porcie Rio Janeiro (Żaneiro), stołecznego miasta Brazylii. Dziwowały się też nasze Maćki i Wasyle, kiedy ich czarni przewoźnicy dostawili z wielkiego okrętu na Wyspę Kwiatów, gdzie emigranci mieli zamieszkać w barakach, zanim się puszcza w dalszą drogę.

Ale wszystkie baraki przepełnione; przybysze rozkładają się pod gołym niebem.

Kawa. Wybrali się tam, gdzie rząd brazylijski daje za darmo ziemię, do wyżynnej Parany, południowej części Brazylii, o klimacie mniej gorącym, niż reszta kraju. Ale mijały dnie, na Wyspę Kwiatów przywoziły łodzie nowych emigrantów, a Brazylijanie, zamiast mówić o podróży do Parany, zaczęli chłopów namawiać do pracy na plantacjach kawy.

Praca na plantacjach kawy? Niektórzy z emigrantów słyszeli coś o tem. Niech Pan Bóg chroni każdego przed taką pracą. Wprawdzie płacą tam dobrze, ale uprawa kawy wymaga klimatu gorącego, a parnego: mieszkaniem Europy zapada tam łatwo na żółtą febrę. A kiedy zachoruje, prawie zawsze czeka go śmierć.

Chce odejść z niezdrowej okolicy? Wtedy pokazują mu kontrakt. A w kontrakcie zgodził się na rok. Poprostu na rok się w niewolę zaprzedał i niema dla niego ratunku.

I na Wyspie Kwiatów rozległo się hasło: nie najmować się do kawy!

Śmierć na Wyspie Kwiatów. Mijały tygodnie, emigrantów nie ruszano z wyspy, a faktorzy (pośrednicy) ciągle ich namawiają na plantacje.

— Na żadne plantacje myśmy tu nie jechali. Jedziemy do Parany, gdzie nam obiecali dać po 50 morgów gruntu — odpowiadali chłopci.

Tymczasem zaczęła się pora deszczów. Do baraków, budowanych dla 2.000 ludzi, napchało się ich 5.000. Zabrakło wody do picia, a ze złej wody i zaduchu zaczęły chorować i umierać dzieci. Potem wybuchł tyfus plamisty. Codziennie wywożono kilkanaście trupów. Dopełniła miary nieszczęść żółta febra. Morzyła ludzi, jak muchy. Pomocy lekarskiej nie było. Rodzice tracili w jednym dniu wszystkie swoje dzieci — dzieci rodziców. Niektóre rodziny całe wymarły. Kobiety zawodziły, mężczyźni milczeli w ponurej zaciętości.

Dopiero kiedy o tem strasznem żniwie śmierci zaczęto pisać w dziennikach, udał się poseł austriacki, człowiek ludzki, do prezydenta Rzeczypospolitej Brazylijskiej i wymógł na nim uwolnienie emigrantów więzionych bezprawnie na wyspie Kwiatów.

Po 10 latach. W okolicy K u r y t y b y, znacznego miasta w Paranie, wzdłuż drogi, wśród jakichś dziwnych, podobnych do sosnowych, lasków, stoi gromadka domków, zbitych z tarcie, krytych gontem, czasem zaopatrzonych w ganeczki. Pod domem na grządce malwy i inne kwiaty, jak w Polsce przed chłopską chatą, a obok niewielka stajenka i ogród warzywny.

Jest to kolonia polskich wychodźców.

Cóż to za radość, kiedy ktoś z Polski przyjedzie do Parany, stanie przed domkiem kolonisty i po polsku, chwając Boga, powita gospodarza!

Wprowadzają gościa do czystej, dostatniej izby; oprócz niej zresztą dom mieści jeszcze kuchnię, sypialnię i komorę z gospodarskim sprzętem. Na stole zjawia się chleb, masło, kawa. Przychodzi cała rodzina gospodarza, ciekawa przybysza ze „starego kraju“.

Gość przybywa zwykle z Warszawy czy Krakowa, ze Lwowa czy Poznania. Pewnie dziennikarz, albo pisarz, który chce przedstawić Polsce życie jej synów na obczyźnie. A gospodarz skąd? Wszystko jedno, skąd; wszystko jedno, czy urodził się pod Sochaczewem czy Rzeszowem — pod Katowicami czy Kołomyją: cieszy się, bardzo się cieszy, że gości rodaka z dalekiej Ojczyzny.

Jakże mu się powodzi?

Dzięki Bogu, dobrze. Lepiej, niż z początku. O, wtedy trzeba było żyć, jak dziki człowiek, pod daszkiem z trawy, bez łóżka, stołu, krzesła. Trzeba było ciąć stary las, budować się i uprawiać wypaloną po lesie ziemię. Ciężka to była praca. To też wielu legło na wieki na cmentarzu, obok niedawno wybudowanego drewnianego kościółka. Ale kto wytrzymał, ten dziś pan na 50 morgach.

Gospodarz pokazuje młody lassek. To ugór, a za nim uprawne pole. Ugór leży już 5 lat, na drugi rok go zasieje żytem, zasadzi kukurudzą, soją (rośliną podobną do fasoli). A że wygląda jak las, to dlatego, że w Paranie tak wszystko prędko rośnie. Więc się go naprzód zetnie, a potem, jak przeschnie, spali się go i rola pod zasiew gotowa. Żyzna rola. Np. kukurydzy daje czasem 150 ziarn z jednego. Tylko kradną ją małpy i te zielone ptaszyska (papugi), co tam skaczą po drzewach.

Gość pyta się o bydło.

Bydło? W polu. Ktoby je w Paranie trzymał w stajni? Bydło w polu cały rok. Pasie się po tych gaistych ugorach. W stajni trzyma się tylko źrebięta, cieleta i nierogaciznę.

Na wieść o przybylszu ze „starego kraju“ schodzą się sąsiedzi i znów rozmowa kieruje się na Polskę, na zbiory, na gospodarstwo.

Czy nie chcieliby wrócić do kraju? — zapytuje gość.

Pewnie, że chcieliby. Ale do czego tam wracać? Tu mają na czem pracować — a tam? Co który miał trochę tego gruntu, to go sprzedał na daleką drogę i na zagospodarowanie się w Paranie. Więc chyba musieliby najmować się do dworu za kilkadziesiąt groszy dziennie? Nie, nie mogą wracać. Ale żal im dzieci. Starsi trzymają się polskiej mowy i zwyczaju, czytają polskie gazety, które otrzymują z Kurytyby. Ale dzieci? „Zbrazyljanieją“; jak nie one, to ich dzieci. A już ich wnuki, Bóg to wie, czy będą rozumiały po polsku? Ha, wola Boska! — mówią koloński, wzdychając.

A potem długo w noc świeci się w domu gospodarza, a gość ze „starego kraju“ opowiada zasłuchanym chłopom o Polsce i jej niedoli.

53. ZA CHLEBEM

Miasta grzyby. Jak grzyby po deszczu, tak wyrastały miasta w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej czyli, jak u nas zwykle krótko mówią, w Ameryce. W pustem polu, wzdłuż świeżo zbudowanej linii kolejowej stawała nagle, nie wiedzieć kiedy fabryka i w ciche przedtem ustronie wносиła ludzki zgiełk, jęki syren i czarne dymy szlotów. Uciekał dziki zwierz, cofał się las, kurczył się step przed wybiegającymi coraz dalej od fabryki ulicami. Były one proste, długie i coraz dłuższe, zabudowane sklepami z desek, o podwójnych ścianach, domkami.

Skąd przychodzili mieszkańcy tych coraz liczniejszych domków?

Z całego świata, przedewszystkiem z przeludnionej Europy. Wędrowały ich rzesze, poszukujące pracy i chleba i znajdowały je łatwo w świeżo powstałej fabryce. Osiadały więc pod nią i zabudowywały ulice miasta — grzyba. A że na obczyźnie ludzie chętnie przebywają ze swoimi rodakami, tedy na każdej z ulic skupiała się inna narodowość. Na jednej zamieszkali Niemcy, na drugiej Włosi, a ówdzie — Polacy.

Emigracja polska. Po powstaniu styczniowem bowiem zaczęły napływać coraz liczniejsze fale polskiej emigracji. Jednych wypędzał z kraju ucisk zaborczych rządów, inni szli za chlebem, którego w Ojczyźnie znaleźć nie mogli, dość, że w 30 lat po powstaniu liczono już w Stanach Zjednoczonych ponad milion Polaków, głównie robotników i chłopów. Do nich to należały prawie wszystkie domy przy polskiej ulicy nowo powstałego miasta. Obok świeżo wzniesionej fabryki zakupował robotnik za niewielką sumę parcelę i kosztem paruset dolarów stawał się właścicielem domku. Tak wyrosły liczne polskie osiedla; w D e t r o i t rachowano 40.000 Polaków, w C h i c a g o (Czikago) kilka razy więcej. Niedługo powstawał też w osiedlu kościół i parafjalna szkoła, w której oprócz języka angielskiego uczono także czytania i pisania po polsku.

W domu na polskiej ulicy. Wieczór. Po całodzienniej pracy wraca robotnik z fabryki żelaza do domu. Jest to Ślązak. Długo tułał się po Ameryce, łatwo znajdując pracę, by ją wkrótce porzucać dla innej, zyskowniejszej, aż wreszcie na tej ulicy wybudował dom i osiadł na stałe. Jest głodny. Rano, wychodząc z domu, wypił kawę, potem w dwu blaszanych naczyniach, jedno nad drugim, zabrał do fabryki drugą porcję kawy a nadto jakąś skromną potrawę i jarzynę, a teraz czeka go obfita mięsna kolacja, według amerykańskich zwyczajów najważniejszy posiłek w całym dniu.

Gospodarz myje się i przebiera po pracy, a około stołu krząta się „starka“, jak na Śląsku nazywają starsze gospodynie. Jest ubrana w śląski ludowy strój: w bufiastą spodnicę i śliczny koronkowy czepek na głowie. Opowiada mężowi, że ich znajomy nastreczył im „bordnika“ t. j. stołownika.

Co za jeden? Ot, rozwozi towary z „groserni“ (sklepu z żywnością). Nawet wzięła od niego chleba, słoniny i jarzyn. Wygląda uczciwie. To chłop, gdzieś z niedaleka od ich rodzinnych stron, z poza ruskiej granicy, z pod Częstochowy. Ma tam grunt, ale musi spłacić braci i wywianować siostrę. Przyjechał na zarobek i wraca, jak odłoży z 1000 dolarów.

Gospodarz kiwa głową z politowaniem. 1000 dolarów? A pracuje w groserni? Ileż on tam dziennie może zarobić? Dwa, trzy dolary? Bo nie więcej. Cóż to za „byznes“ (interes)? Samo życie kosztuje go połowę zarobku. Cóż więc odłoży? Ale na stół wziąć go można. Jest wolny „bedrum“ (sypialny pokój na pięterku). A jak będzie człek godny (uczciwy), to i we fabryce znajdzie się dla niego praca. To się lepiej opłaca, niż rozwozić kapustę.

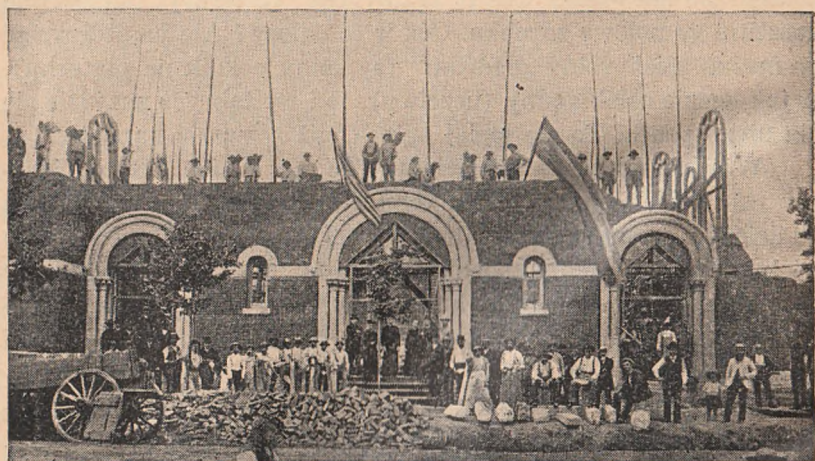
Wracają od pracy synowie. Ojciec jest z nich dumny. Starszy jest „klerkiem“ (pomocnikiem) w wielkim sklepie. Zarabia 10 dolarów dziennie. A jest dopiero „20 lat stary“! Ojciec w jego wieku pracował jako pomocnik „majnera“ (górnika): ziemia się obrywała, waliły się szyby, ludzie kaleczeli — i co im za to płacili? 6—8 dolarów. Ale synowi będzie lepiej. Po angielsku mówi i pisze, jak rodowity Amerykanin.

Młodszy znów jest „szublekerem“ (ulicznym czyścicielem butów). Ot, zarobi 8—10 dolarów w tygodniu. Jest go za co odziać. I on już mówi dobrze po angielsku. Chwała Bogu, nie będzie prostym robotnikiem, jak ojciec. Jak pójdzie do fabryki, to zostanie

nadzorcą. Ale najlepszy dla niego byłby „salon“ (wyszynk). Ma głowę do rachunków, a kto dziś więcej zarabia od szynkarzy?

Ks. Dąbrowski. Tak cieszył się ojciec zdolnościami swych dzieci, nie pomnąc, że synowie nietylko z cudzoziemcami mówili po angielsku, ale że nawet w rozmowach między sobą coraz częściej używali tego języka. To samo działo się na całej ulicy. Dzieci emigrantów szybko amerykanizowały się, t. j. zapominały polskiej mowy i polskiego pochodzenia: zdarzały się już rodziny, w których tylko rodzice mówili ze sobą po polsku, bo dzieci używały języka angielskiego.

Jak temu zapobiec i amerykańskich Polaków ratować przed wynarodowieniem, rozmyślał wiele ks. Józef Dąbrowski. Był to powstaniec z r. 1863. Po upadku powstania przyjął święcenia kapłańskie i udał się do Ameryki, aby poświęcić się pracy duszpasterskiej między emigrantami. Nie było tam prawie jeszcze księży polskich: Polak, którego zewsząd otaczała cudzoziemszczyzna, nie usłyszał swego języka nawet w kościele, podczas kazania, czy przy spowiedzi. Ks. Dąbrowski postanowił temu zaradzić. Długo kołatał do serc bogatych rodaków w kraju i na emigracji, długo kwestował i ciułał zbierane datki, aż wreszcie zgromadził tyle funduszków, że zabrał się do budowy pierwszego polskiego gimnazjum i polskiego duchownego seminarjum na ziemiach Stanów Zjednoczonych.



Budowa kościoła polskiego w Detroit

Niedługo też stanął w Detroit wspaniały gmach, dzieło wytrwałego kapłana - patryjoty, a z murów nowej szkoły zaczęły po kilku latach rozchodzić się po polskich kolonjach zastępy młodych polskich księży.

54. WÓZ DRZYMAŁY

Grunt bez domu. Michał Drzymała, człek zapobiegliwy i pracowity, kupił w Podgradowicach, w okolicy Wolsztyna w Księstwie Poznańskim, niewielki grunt i przyszedł do Spółki zarobkowej po pożyczkę na postawienie budynków.

— Pożyczkę dostaniecie — usłyszał odpowiedź. — Na to zakładamy Spółki, aby polskim rolnikom i rzemieślnikom pomagać w ulepszaniu gospodarstw i warsztatów. Ale cóż z tego, kiedy wam nie pozwolą postawić domu. Stajnię, stodołę — tak, ale domu, to nie.

— Co ci Niemcy tacy na nas zawzięci — dziwił się Drzymała. — Swoich to tu napychają i dworski grunt dają i domy im budują, a nam nie wolno?

— Taką ustawę uchwalili sejm pruski, że bez pozwolenia landrata (naczelnika powiatu) domu stawiać nie wolno. A pieniędzy na wykup polskiej ziemi mają dość, bo im rząd na to już kilkaset milionów marek wypłacił. Chcą nas zniszczyć, żeby ślad po Polakach w Poznańskim nie pozostał.

Pruskie prawo. Drzymała poszedł do miasta i opowiedział adwokatowi swoje strapienie.

— Napisać można — mówi adwokat. — Ale czy to co pomoże? Mówicie o prawie? Właśnie je tak Niemcy ułożyli, żeby nam wychodziło na szkodę. Swoim kolonistom dają grunta wielkie, na takich ustawa pozwala budować domy, a wasz grunt za mały. Ale, jak chcecie, napiszę.

Drzymała zamieszkał tymczasem w stajence. Nie było to wygodne mieszkanie. Nie było gdzie łyżki strawy zwarzyć. W stajni? Trzebaby ustawić piecyk, a to już mieszkanie; nie wolno. Na dworze? Także nie wolno. Żandarmi węszą, nawet sam ich komisarz, kiedy jedzie przez wieś, pilnie wypatruje, czy na obejściu Drzymały nie widać jakiego dymku. Niechby zobaczył! Zaraz przyjdzie żandarm: taki a taki zakaz palenia ognia między budynkami — i kara.

— W pole będę chodziła z garnkami? — gniewa się Michałowa, ukradkiem rozniecając ognisko pod plotem swego obejścia.

A tu wójt, niedawno we wsi osiadły Niemiec, woła Drzymalę, pokazuje jakieś pismo i z niemiecka po polsku tłumaczy chłopu, że mu landrat nie pozwolił budować domu.

— No, będę ja też teraz miał z babą — mruknął Drzymala, wychodząc z urzędu.

W stajence. Deszcz. Michałowa wchodzi do stajni z garnkiem krupniku, ugotowanego w sąsiednim domu.

— Michał — powiada doprowadzona do rozpaczey kobieta. — Dwa lata kryję się we własnem obejściu, jak złodziej, albo żebrzę łaski sąsiadów. Dwa lata śpiemy w stodole, a w zimie w stajni. Ani po ludzku nie zjemy, ani odpoczniemy. Czy to psie życie nigdy się nie skończy? Lepiej na służbę pójść, bo choć izbę dostaniemy, albo jechać za morze. Mówił wójt, że Niemcy dobrze za grunt zapłacą. Michał!

Chłop, siedząc na progu stajni, karmił ze skopca cielę.

— Widzisz ją, jak niemądrze gada — mówił, jakgdyby do cielęcia. Na służbęby szła, do Amerykiby jechała, gruntby sprzedawała. Tak ci tu źle? Nie jesteś to sobie swoją gospodynią? Kto ci tu ma co do rozkazu? No, nie becz. Przebiedujesz jeszcze z parę lat, to się oszczędzi tyle, że będzie za co kupić grunt z chałupą. Ale Niemcowi ziemi nie sprzedam. Wolę stracić na Polaku, jak zarobić na Niemcu. No, już nie płacz, bo nie masz czego. Widzisz, jak cielak kontentnie pije? A słyszałaś, co mówią, że komisarz zachorował na wątrobę? Pewnie ze złości na nas. Dajże mu, Panie Boże, lekką śmierć, byle prędko. Ja tam na niego niezawzięty.

Sława Drzymaly. Aż zaniemówiła z radości Michałowa, kiedy pewnego wieczora zobaczyła męża, wracającego z miasteczka. Szedł obok czwórki koni (trzy donajał), ciągnących ogromną budę, prawdziwy dom na kołach.

— Masz dom. Będzie kuchnia, pokój, komora. Czego ci trzeba więcej? — mówił Drzymala, zajeżdżając na obejście.

— Michał! Nie powiadaj!

— U Cyganów w miasteczku kupiłem. Widzę, mieszkają, to i my tak mieszkać możemy. 350 marek zapłaciłem. Ale nie żałuj wody i mydła, bo czysty to on tam po Cyganach nie jest.



Wóz Drzymały

Zbiegła się cała wieś, podziwiając chytrą Drzymałę.

— Patrzcie! Niby dom, a nie dom. Co teraz komisarz powie?

— A niech mówi, co chce. Jest wóz, czy nie jest? Jest. A wolno wóz postawić na swoim obejściu? Wolno. Co mi kto zrobi?

Wóz trochę zaciekał, a trochę przewiewał, ale Michałowa była szczęśliwa. Tymczasem jednak w Poznaniu dowiedziano się o wozie Drzymały. Do Podgradowic zajechali panowie z miasta i wywiedziawszy się o wadach wozu, obiecali Drzymale sprawić nowy.

— Ale żeby był trochę dłuższy. Tak na 8 metrów. I szerszy, choć 3—3½ metra.

— Będzie, będzie — mówili panowie. — Wewnątrz wyłoży się go korkami, to będzie cieplej. I piec będzie. A wóz wymalowany. Jak? Biało i zielono? Dobrze, będzie biały i zielony.

I w Poznaniu zawiązano Komitet, który ze składek, zebranych w mieście, kazał wybudować duży i ciepły wóz i ofiarował go Drzymale.

Ale niedługo się nim Drzymałowie cieszyli. Pisma polskie i zagraniczne podały o nim wiadomości, zaczęło żarto-

wać i drwić z Niemców, wyprowadzonych w pole przez prostego polskiego chłopą. Wkońcu zniecierpliwiony landrat, uważając mieszkanie Drzymały za „urągowisko powadze niemieckiego urzędu“, nakazał wóz opieczętować i odstawić go na podwórze urzędu gminnego. Stąd poznański Komitet odesłał go do Krakowa, gdzie go wystawiono na widok publiczny, a Drzymała, przemieszkawszy czas jakiś w stajence, sprzedał swój grunt Polakowi i zakupił w sąsiedniej wsi gospodarstwo wraz z prawdziwym, mieszkalnym domem.

55. WALKA O DUSZĘ NARODU

Tajna szkoła. W lesie pod Sosnowcem rozłożyła się gromadka chłopców, między którymi usiadł młody urzędnik sosnowieckiej stacji kolejowej.

Podoba im się taka szkoła? — spytał chłopców.

Jeszcze jak! Bardzo się podoba! Siedzą sobie na miękkim piasku, jak na kanapie, nie tak, jak to było w pewnej szkółce, w której jeden z chłopców dawniej się uczył: musieli siedzieć na prostych deskach, podpartych ceglami.

Inny znów uczył się na strychu: kiedy żandarmi zbliżali się do ich domu, wtedy uczniowie wydrapywali się przez otwór na dach, a potem zeskakiwali na podwórze i rozbiegali się na wszystkie strony.

Jeden z chłopców chwalił bezpieczeństwo innej szkoły. Była ona umieszczona w samotnym domu pod lasem. Przed domem czyste pole, za domem, niedaleko, las. Kiedy żandarmi nadchodzili, było ich już zdaleka widać; był więc czas spokojnie schronić się w lesie.

Dlaczego, kto chciał się uczyć, musiał się ukrywać?

Bo chłopcy chcieli się uczyć po polsku, a polskie szkoły rząd carski, stłumiwszy krwawo powstanie styczniowe, zamienił na rosyjskie. A tak, jak w szkole, wprowadził język rosyjski i do wszystkich urzędów; nawet wójt i sołtys na wsi musieli urzędować po rosyjsku.

Jakże miło spędzili chłopcy kilka godzin w lasku pod sosnami!

— Jeszcze, jeszcze niech nam pan coś opowie! — prosili nauczyciela, a on snuł opowieści o sławie polskiej przeszłości i o oj-

czystych bohaterach, kiedy zaś uczniowie wracali do domów, to z takim zapalem opowiadali o lekcji, że przerażeni rodzice zatykali im usta, aby ich słów nie usłyszał przechodzący może ulicą szpieg.

Unja kościelna. Na wschodnim krańcu Królestwa wrzała walka o unicką cerkiew. Jeszcze Zygmunt III doprowadził był do zjednoczenia obu kościołów na ziemiach Rzeczypospolitej: rzymsko-katolickiego z grecko-słowiańskim czyli prawosławną cerkwią ruską. Unja zostawiła cerkwi słowiański język w nabożeństwie, kalendarz i małżeństwo księży, cerkiew zaś, odtąd grecko-katolicka czyli unicka, poddała się zwierzchności rzymskiego papieża. Ale Rosja, uważająca unitów za odszczepieńców od cerkwi prawosławnej, zniosła po rozbiorach Rzeczypospolitej unję kościelną w krajach za Bugiem i Niemnem, zaś po powstaniu styczniowym zamierzała to samo uczynić w Królestwie, gdzie w Chełmszczyźnie i na Podlasiu dochowało się jeszcze wiele unickich parafij.

Pratulín. Smutek panuje w Pratulinie, wsi nad Bugiem w okolicy Białej Podlaskiej. Unicki pleban skazany na Sybir, a parafjanie nie wpuszczają do cerkwi przysłanego przez rząd batiuszki (prawosławnego księdza). Cerkiew pusta, mszy nikt nie odprawia, nieboszczyków grzebią sami. Czasem w sąsiednich lasach zjawia się katolicki kapłan, a wtedy matki milami niosą niemowlęta do chrztu i młode pary wędrują po ślub do swego księdza.

A tymczasem przychodzą coraz groźniejsze wieści.

— Cz u ł y (słyszeli) wy? Do T e r e s p o ł a przyjechał naczelnik powiatu z wojskiem i bili ludzi na śmierć. Ciało od kości odpadało.

Nietylko w Terespolu. Wszędzie biją, aresztują, na Sybir wysyłają, ziemię zabierają.

Przyjdą i do Pratulina. Tylko co ich nie widać.

Mord u wrót cerkwi. W zimowy dzień wszedł do wsi oddział wojska z pułkownikiem i naczelnikiem powiatu i podążył ku cerkwi.

Ale tam, pod jej wrotami, stoi już zgromadzona cała wieś: mężczyźni i kobiety, starzy i dzieci.

Naczelnik przywołuje z plebanji batjuskę i żąda od chłopów, by go wpuścili do cerkwi.



Obrona cerkwi (obraz Walerego Eljasza)

Nie wpuszczą — odpowiadają. — Cerkiew unicka, a nie prawosławna. Oni katolicy, chcą swego księdza.

Mówią wszyscy naraz. Naczelnik udaje, że nie rozumie. Niech lepiej wybiorą z pomiędzy siebie ludzi mądrych i ci niech powiedzą, czego sobie wieś życzy.

Ale chłopci wiedzą, co to znaczy: wybrańcy zostaną natychmiast uwięzieni. Chwila milczenia, a potem wybucha gwar.

Oni wszyscy mądrzy! Tak, tak! Wszyscy mogą rozmawiać.

Wpuszczą batiuszkę do cerkwi? — pyta się naczelnik.

Nie wpuszczą. Cerkiew unicka, nie prawosławna.

Pułkownik zakomenderował. Zawarczały bębny. Wojsko nadstawiło broń do ataku. Chłopi usuwają kobiety za siebie.

Wpuszczą batiuszkę? — pyta się jeszcze raz naczelnik.

Nie wpuszczą!

— Na sztyki (na bagnety)! — komenderuje pułkownik i wstęga bagnetów uderza w bezbronną gęstwę ludzkich ciał.

Zadrżała cerkiew od krzyku mordowanych i jęku kobiet, stłoczonych za plecami mężczyzn. 13 trupów leży pod bramą cerkwi, 30 rannych siania się nad nimi. Lecz już ktoś uniósł

jedne zwłoki w górę, jak chorągiew, i zaintonował pobożną pieśń, pochwyconą przez resztę parafjan. Pułkownik szaleje. Wyciąga z tłumy chłopca i pastwi się nad nim, bijąc go i kopiąc, potem drugiego, trzeciego... A tłum śpiewa. Aż pułkownik opadł z sił i bezradny zakomenderował odwrót.

A Pratulianie i inni chełmscy i podlascy unicy, straciwszy jeszcze wielu ludzi przez zsyłkę na Sybir, zostawili batiuszkom puste cerkwie, sami zaś przyjmowali Sakramenty święte w rzymsko-katolickich kościołach, a gdy, przerażeni pogroźkami rządu, księża wzbraniali się ich udzielać, przekradali się lasami po chrzty i śluby do dalekiej Galicji, a nawet do Krakowa.

56. O JANIE MATEJCE

Młodość. Gromadka chłopców szła śpiesznie ulicami Krakowa. Jeden z nich niósł gruby i ciężki drążek, długości laski, zwany „palestrą“, inny podrzucał i chwycił niewielką odlaną z gumy piłkę. Po drodze dopędzili małego wątłego chłopca.

Pójdzie z nimi na Błonia? Brakuje im jednego do gry w piłkę, aby była równa ilość po obu stronach.

Ale chłopiec obojętnie popatrzył na nich wielkimi czar-nemi oczyma, poczem wymówił się brakiem czasu i odszedł, opuszczając zawiedzionych towarzyszy.

Był to młodziutki Jan Matejko. Nie bawiło go nic z tego, co zwykle cieszy dzieci. Zatapiał się chciwie w licznych w Krakowie pamiątkach dawnych wieków. Przesiadywał tedy przed pomnikami w Katedrze wawelskiej lub w grobach królewskich, a gdy w czasie jakiej uroczystości zadzwonił Zygmunt, wtedy przed oczyma chłopca przesuwwały się obrazy z odległej przeszłości Polski, a widział je wyraźniej, niż żywych ludzi, którzy go otaczali.

Zaprzagnął zostać malarzem, to też ojciec odebrał go z gimnazjum i oddał na naukę do szkoły malarstwa w Krakowie, a po jej ukończeniu wybrał się młody Matejko na dalszą naukę do Niemiec.

Obrazy historyczne. Skoro wrócił do Krakowa, gdzie do końca życia mieszkał w rodzinnym domu przy ul. Florjańskiej, rzucił się do pracy. Ze zdumiewającą szybkością zaczęły się uka-

zywać ręką jego malowane obrazy z przeszłości Polski. Patrzyła na niego z podziwem i czcią najpierw Polska, potem cały świat. Mając lat 26, zdobył sobie na wystawie paryskiej najwyższe odznaczenie i powszechny podziw obrazem „Kazanie Skargi”. Odtąd co kilka lat opuszczał jego pracownię olbrzymich rozmiarów, bo wielkości np. ściany w sali szkolnej, obraz, którym pragnął utrwalić w pamięci narodu jakąś ważną chwilę dziejową, a zarazem przypomnieć światu, że Polska była niegdyś wielkiem i potężnem państwem. Oto tytuły jego obrazów: „Bitwa pod Grunwaldem”, „Stańczyk”, „Unja Lubelska”, „Hołd pruski”, „Posłowie moskiewscy proszą króla Stefana Batorego o pokój”, „Odsiecz Wiednia przez Jana Sobieskiego”, „Konstytucja Trzeciego Maja” i „Kościuszko pod Racławicami”. To tylko najważniejsze z jego dzieł, a wszystkie tak wielkie rozmiarami, że trzeba by sporego kościoła, aby je w sobie mógł pomieścić. Są zaś te obrazy arcydziełami, równymi największym dziełom sztuki wszystkich innych narodów, a jednak niepodobnemi do żadnego z nich; tak bardzo odrębny od innych był wielki, potężny duch Matejki.



Stańczyk (obraz Jana Matejki)

Jeden z wielkich malarzy zagranicznych zapytany, co sądzi o Matejce, zdjął kapelusz z głowy i rzekł:

— O Matejce powinno się mówić tylko z kapeluszem w ręku.

Mistrz przy pracy. Zdumienie nas ogarnia nad ogromem pracy, dokonywanej przez Matejkę, kiedy przygotowywał się do tworzenia nowego dzieła. Widać ją dziś w jego pracowni, zamienionej po jego śmierci na muzeum; można w niem podpatrzeć, w jaki sposób wielki malarz tworzył swoje historyczne obrazy.

Dbał on o wierne przedstawienie wyglądu, stroju i broni historycznych postaci. Dlatego gromadził u siebie wszystko, co pochodziło z dawnych czasów, jak stare zbroje, szaty, czy choćby kawałki drogocennych, starożytnych jedwabi i aksamitów. Ale wielu takich przedmiotów nie mógł pozyskać dla swoich zbiorów; odrysowywał je więc starannie w muzeach i skarbcach, aby w każdej chwili mieć pod ręką podobizny wszystkiego, czem się bohaterowie jego obrazów w życiu otaczali. Ich samych, bohaterów, królów i hetmanów, szukał na dawnych rysunkach, obrazach i medalach, nawet na pieczęciach, któremi odciskano w wosku podobizny władców. Odrysowywał je wszystkie z największą starannością, porównywał z sobą podobizny, poprawiał i potem pozostawiało mu tylko w te rysy tchnąć duszę, co dla niego, który wiecznie przebywał myślą w ubiegłych wiekach, było pracą łatwą. Stąd pochodzi, że w obrazach Matejki wszystko jest prawdziwe, poprostu jakby wykradzione przeszłości.

Inne dzieła Matejki. Oprócz obrazów historycznych, których Matejko pozostawił blisko 100, sławnem jego dziełem jest także pokrycie całego wnętrza kościoła Marjackiego w Krakowie pięknymi malowidłami, które powstały w ten sposób, że Matejko malował swe pomysły na wielkich kartonach, a jego uczniowie, stojąc na rusztowaniach, odtwarzali je na ścianach kościoła. Pozatem malował także portrety, t. j. obrazy, przedstawiające współczesne mu osoby.

Wielkość mistrza. Taki mistrz byłby dla każdego narodu skarbem; dla Polaków, będących w niewoli, był błogosławieństwem. To też otaczano go nadzwyczajną czcią. Stworzono umyślnie Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, aby Matejce

oddać jej kierownictwo, wybito na jego cześć medal, a gdy wykończył i w sali Sukiennic na widok publiczny wystawił swój wspaniały „Hołd Pruski“, urządzono wielką uroczystość na cześć twórcy.

Bo też ogromna była zasługa mistrza Jana Matejki: oto do wielkiego skarbcza sztuki świata wprowadził on malarstwo polskie, dzięki niemu równe doskonałością najslawniejszym dziełom innych narodów.

Znalazło się tam obok poezji Mickiewicza i muzyki Szopena.

57. O HENRYKU SIENKIEWICZU I BOLESŁAWIE PRUSIE

Sienkiewicz. Trylogja. Łatwiej czyta się powieści z dziejów, niż naukowe dzieła historyczne, więc też oddawna pisano takie powieści zagranicą, a potem i u nas. Z naszych powieściopisarzy największą sławę pozyskał sobie Henryk Sienkiewicz. Pisał językiem prostym, dla każdego zrozumiałym, a tak umiał przedstawiać czytelnikom czy ludzi, czy rzecz jakąś, że zdaje się



Henryk Sienkiewicz

czytającym, jakoby osoby opisywane znali, a bitwy widzieli na własne oczy i brali w nich udział. I drugi jeszcze dar miał Sienkiewicz: dowcip taki, że mógłby nim rozśmieszyć ludzi najbardziej ponurych, a postać starego szlachcica, Zagłoby, tchórza i samochwała, ale przeźornego i dobrego człowieka, mówiącego ustawi-

cznie dowcipy, musi się każdemu podobać. Jakoż trylogja Sienkiewicza, jak z grecka nazwano jego trzy powieści historyczne z czasów Jana Kazimierza i jego następcy, znalazła mnóstwo czytelników i to tak wśród ludzi oświeconych, jak i prostaczków, a przetłumaczona na wiele języków, jest czytana chętnie na całym świecie.

„Potop“. Z pośród składających się na trylogję powieści najslawniejsza nosi tytuł: „P o t o p“. Opisał w niej Sienkiewicz czasy wojen szwedzkich, kiedy to przybysze z północy zalali Polskę i kiedy zdawało się, że kraj nasz już nigdy nie wydzwignie się na swobodę. Wszystkie te zawody i triumfy, zdrady i poświęcenia, klęski i zwycięstwa, liczne bitwy, przedstawił Sienkiewicz tak żywo i tak barwnie, że pozostają w pamięci czytelnika na długie lata. Główną postacią opowiadania jest młody i dzielny szlachcic K m i c i c, który, początkowo obalamucony przez zdrajców, staje po ich stronie przeciw prawowitemu królowi, ale potem, przejrzawszy, naprawia swój błąd bezgranicznem poświęceniem się dla ojczyzny.

Była trylogja pisana dla pokrzepienia serc w smutnych czasach po powstaniu styczniowem — i spełniła swe zadanie, przypominając, jak to Rzeczpospolita, choć tonęła w zalewie nieprzyjacielskich najazdów, znalazła w sobie tyle sił, że zdołała swą niepodległość obronić.

Inne pisma Sienkiewicza. Po wydaniu trylogji napisał Sienkiewicz powieść z czasów prześladowania chrześcijan przez cesarza rzymskiego N e r o n a i dał jej łaciński tytuł: „Q u o v a d i s? co znaczy po polsku: Dokąd idziesz? Ta powieść, w której występuje także święty P i o t r, przetłumaczona na obce języki, zdobyła Sienkiewiczowi światową sławę.

Życie Polski w dawnych czasach, i to w czasach tak bardzo odległych, jak panowanie Jagiełły, maluje nam Sienkiewicz najdokładniej w powieści p. t.: „K r z y ż a c y“, kończącej się wspaniałym opisem bitwy pod Grunwaldem.

Bolesław Prus. Równocześnie z Sienkiewiczem żył w Warszawie jego kolega szkolny i równie, jak on, znakomity powieściopisarz, A l e k s a n d e r G ł o w a c k i, który utwory swoje ogłaszał pod nazwiskiem przybranem czyli pseudonimem B o l e s ł a w a P r u s a. I on umiał pisać jasno, a dowcip miał nie mniejszy, a delikatniejszy, niż Sienkiewicz, ale nie szedł



Bolesław Prus

z nim w zawody, bo zajmowały go sprawy zupełnie inne. Nie pojedynki, walki i bitwy pociągały Prusa, ale to, co się dzieje w głębi serca ludzkiego, przede wszystkim zaś dobroć. Więc w przepięknych drobnych opowiadaniach przedstawiał ciche, niezauważone przez nikogo poświęcenia i bohaterstwa. W jednym z nich np. chory student widzi we śnie niebo: najwspanialej wygląda w nim stara żydówka, handlarka śledzi, której potargane, nędzne ubranie lśni jak drogie kamie-

nie w nagrodę za to, że nie mogąc więcej, dawała raz na tydzień śledzia pierwszemu ubogiemu, którego spotkała, idąc zrana na targ.

Placówka. Ale nietylko dobroci serca żądał Prus od swoich rodaków: uczył ich także hartu woli. Oto w opowieści p. t.: „Placówka” przedstawił walkę chłopu polskiego, Ślimaka, z kolonistami niemieckimi, walkę o ziemię rodzinną. Niemcy, którzy od właściciela wsi nabyli duży kawał gruntu, chcą kupić jeszcze zagon od Ślimaka, bo wiatrak, który im jest koniecznie potrzebny, można postawić tylko na Ślimakowym pagórku. Ale chłop nie chce sprzedać ojczystej ziemi. Darmo próbują koloniści różnych sposobów i ofiarują mu wielkie sumy pieniędzy; odprawia ich z niczem i nie ustępuje, choć nieszczęścia jedne po drugich spadają na niego, jak gromy. Wreszcie nadchodzi chwila, w której koloniści wynoszą się z Polski, a Ślimak dźwiga się z biedy i rozpoczyna szczęśliwe życie.

Dwa światła. Kto pragnie uradować się wspomnieniami dawnej chwały wojennej polskiej i widokiem żołnierzy, gotowych w każdej chwili ofiarować życie za sprawę, dla której walczą, ten znajdzie to wszystko w powieściach historycznych Sienkiewicza. Kto zaś pragnie obrazów poświęceń cichych, co-

dziennych, dobroci serca lub bohaterskiego wytrwania w spełnianiu pospolitych, ale ciężkich obowiązków, ten niech czyta dzieła Prusa.

Jakże szczęśliwa byłaby Polska, gdybyśmy w codziennem życiu naśladowali bohaterów Prusa, a w chwili niebezpieczeństw, grożących Ojczyźnie, umieli jej bronić tak dzielnie i niezłomnie, jak bohaterowie trylogii Sienkiewicza!

58. O STANISŁAWIE WYSPIAŃSKIM

Malarz. Z okien kamienicy pod Wawelem, która 400 lat przedtem należała do wielkiego historyka i wychowawcy Jagiellonów, ks. Jana Długosza, wpatrywał się mały Staś w katedrę. Widział ją już to w blaskach słonecznego dnia, już to w krwawej łunie zachodu, już wreszcie długimi zimowymi wieczorami w siemnym świetle księżyca. Dostojne mury i kryjące się w nich pamiątki dawnej polskiej sławy czarowały wrażliwą duszę chłopca podobnie, jak się to działo kilkadziesiąt lat przedtem z Matejką; nie więc dziwnego, że młody Stanisław, syn rzeźbiarza, został uczniem starego już Matejki. Był jednym z tych, co według planów mistrza malowali kościół Marjacki; inny zaś kościół, Franciszkański, chlubi się sławnymi, przepięknymi witrażami, które Wyspiański stworzył już sam po śmierci króla polskich malarzy.

Poeta. Ale Wyspiański nie potrafił wymalować wszystkiego, o czem marzyła jego dusza. Zaczął więc tworzyć dramaty czyli dzieła poetyckie, przeznaczone do odgrywania w teatrze.



Stanisław Wyspiański (autoportret)

Treścią ich były zawsze sprawy polskie: albo przedstawiały próby zrządzenia jarzma niewoli, jak n. p. „Noc listopadowa“, albo zawierały myśli, jak zdobywać wolność i od czego odzyskanie niepodległości jest zależne. O tem też mówi naj-sławniejsze dzieło Wyspiańskiego — „Wesele“.

„Wesele“. Na wsi pod Krakowem odbywa się wesele. Żeni się młody poeta z chłopką; zebrali się więc ludzie z wszystkich stanów. Są mieszczenie i szlachta i chłopci, jest ksiądz i żyd arendarz. Jedna z panien zaprasza żartem także chochoła, wiecheć słomiany, który pod oknem otula krzak róży — i, o dziwo, chochół przychodzi i zapowiada nowych gości. Jakoż po chwili zajeżdża na białym koniu dawno, przed stu kilkudziesięciu laty, zmarły Wernyhora, sławny lirnik ukraiński, który marzył o zjednoczeniu panów z chłopami i podobno przepowiadał upadek i wskreszenie Polski; przyjmuje go gospodarz domu, a Wernyhora każe rozesłać wici (wezwanie na wojnę), bo mają się rozstrzygnąć losy Polski.

Gospodarz patrzy, słucha: sen to, czy jawa?

— Jako żywo! Jako żywo!
 Waść mi takie dziwa prawi
 i to jako rzecz prawdziwą!

— mówi zdumiony, naco Wernyhora, wręczając mu złoty róg, odpowiada:

— Wszystko święte! Wszystko żywo!
 Waszmość rękę miej szczęśliwą —
 daję waści złoty róg!

A złoty róg ma cudowną siłę zniewalania ludzi do wielkich czynów; uszczęśliwiony gospodarz wręcza go parobkowi, by z nim obiegł chaty i zwołał naród. Ale wysłaniec, schylając się po pawie piórko, które mu z czapki odpadło, gubi róg i wskutek tego, gdy zebrali się chłopci z kosami, zabrakło hasła, mogącego ich zaprowadzić w bój. A wtedy zjawia się znowu słomiany chochół, a wszyscy zebrani tańczą sennie tak, jak on im przygrywa na dwu patykach, jakby na wiejskich skrzypcach.

W Polsce po ukazaniu się „Wesela“ zawrzało. Jedni poetę wysławiali — inni oburzali się na niego. Zarzucali mu, że obraża cały naród. Bo cóż znaczy ten złoty róg? To przecie nieugięta wola wydobycia Ojczyzny z jarzma zaborców. I tę wolę, tę niezłomną chęć, jak twierdzi Wyspiański, naród utracił, zgubił ją,

troszcząc się więcej o rzeczy tak błahe, jak kolorowe piórko. Mało tego: zgubiwszy złoty róg, tańczy posłusznie według muzyki chochoła — czyli słucha nakazów swych przewódców, marnych, jak pusta słoma!

Nie jestże to obraza narodu?

Tak mówili przeciwnicy autora „Wesela“. Ale „Wesele“ jest dziełem tak pięknem i potężnem, że i oni musieli przyznać, iż w Wyspiańskim przybył Polsce prawdziwy, wielki poeta.

Do czynu! Tymczasem w Rosji wybuchła rewolucja. W Polsce znaleźli się ludzie, którzy postanowili skorzystać z osłabienia państwa carów i przygotowywać wskrzeszenie niepodległości Ojczyzny. Jęli się tedy tworzenia zawiązków polskiego wojska. Wydali do narodu odezwę, by nie szczędził na ten cel składek. Podpisał ją, między innymi, jeden z największych polskich pisarzy, Stefan Żeromski i poszedł z nią do Wyspiańskiego, by go również do jej podpisania zaprosić.

Wyspiański wpatrywał się długo w twarz gościa, a potem zaczął pisać prośbę o zwolnienie z posady profesora Akademii Sztuk Pięknych, gdyż uważał, że nie może podpisywać odezw, wzywającej do powstania i pozostać płatnym austriackim urzędnikiem.

A potem wstał i zaczął mówić:

— Daję jedenaście obrazów, które mam na wystawie w Warszawie. Niech je sprzedadzą jak najdrożej. A tu mam rysunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Zaraz odbiję ją na swój koszt w stu tysiącach egzemplarzy. Jeżeli je sprzedadzą po rublu (rosyjska moneta = około 2 zł.), będą mieli sto tysięcy.

Nazajutrz zapukał do mieszkania Wyspiańskiego Józef Piłsudski.

59. MŁODOŚĆ JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Dzieciństwo. W ziemi wileńskiej, niedaleko Święcian, w pięknej, pagórkowatej okolicy, pełnej lasów i jezior, w majątku Zułowie, urodził się w parę lat po powstaniu styczniowem Józef Piłsudski. Pochodził z bogatej, prawie magnackiej rodziny. Miłość wzajemna liczego rodzeństwa, dostatek w domu mogły były sprawić, by lata dziecinne Ziuka, jak nazywano Józefa, płynęły wśród spokoju i niezamąconego szczęścia. A jednak smutek panował w dworze zułowskim, zbyt



Pochód na Sybir (obraz Artura Grottgera)

bowiem świeża była pamięć niedawnej klęski. Więc jak w każdym polskim domu na Litwie, tak i w Zułowie płynęło życie na opowieściach o bohaterach powstania, o ukrywanym w r. 1863 we dworze przed carskimi siepaczami powstańcu, o gwałtach żołnierskich, o szubienicach, na których ginęli najlepsi synowie Ojczyzny z rozkazu okrutnego generała Murawiewa, którego sami Moskale przezwali *Wieszatielem* (wieszającym) i o męczennikach zagrzebanych za życia w kopalniach Sybiru. Upływały lata, a ludzie ciągle jeszcze drżeli z przerażenia i nienawiści na widok czynowniczego (urzędniczego) munduru i bledli, gdy pod dworem zabrzmiał dzwonek u wózka nadjeżdżającego żandarma moskiewskiego.

Matka. Mimo to Polska żyła w sercach Polaków. „Matka, — pisał później Józef — nieprzejednana patriotka, nie starała się nawet ukrywać przed nami bólu i zawodów z powodu upadku powstania; owszem, wychowywała nas, robiąc właśnie nacisk na konieczność dalszej walki z wrogiem ojczyzny. Od najmłodszejszego dzieciństwa zaznajamiano nas z utworami naszych wieszczów, uczono historii polskiej, kupowano książki wyłącznie polskie“. Wieczorem gromadziła się cała rodzina i domownicy, by słuchać utworów wieszczów, głośno czytanych przez matkę. Wieczorne te zebrania zawsze kończono słowami, wyjętymi z utworu polskiego poety: „Będzie Polska w imię Pana!“

O wpływie matki na wychowanie swoich dzieci dowiadujemy się z późniejszych pism Józefa. „Gdy jestem w rozterce

ze sobą, gdy wszyscy są przeciwko mnie, gdy wkoło podnosi się burza oburzenia i zarzutów, gdy okoliczności nawet są pozornie wrogie moim zamiarom, wtedy pytam się samego siebie, jakby matka kazała mi w tym wypadku postąpić i czynię to, co uważam za jej prawdopodobne zdanie, za jej wolę, już nie oglądając się na nic.“

W szkole. W siódmym roku życia małego Ziuka nawiedził Zułowo straszliwy pożar. Stan majątkowy państwa Piłsudskich pogorszył się; musieli wyzbyć się reszty majątku i przenieśli się do Wilna. Tu zapisali synów do gimnazjum, mieszczącego się w starych murach dawnego polskiego uniwersytetu, w którym kształcił się niegdyś Mickiewicz i filomaci.

Były to najprzeźrzejšie lata dla małego Ziuka. Na każdym kroku dziecko polskie było podsłuchiwane i szpiegowane przez nauczycieli rosyjskich. Musiał się uczyć po rosyjsku, musiał wysłuchiwać pogardliwych słów o Polsce. Nieraz burzył się z tego powodu, ale wtedy uspokajała go matka:

— Cóż robić, synu? Wyrośniesz, pomścisz. A teraz ucz się, ucz! Nie daj najmniejszego powodu do zaczepki.

Tak upłynęło kilka lat. Mały Ziuk nauczył się wiele. Zrozumiał, że naród podbity, aby odzyskać wolność, musi potajemnie do tego się przygotować. Doprowadziło to młodych Piłsudskich do założenia tajnego Kółka samokształcenia wśród młodzieży gimnazjalnej, podobnego do Towarzystwa Filo-



Józef Piłsudski jako uczeń

matów: na tajnych zebraniach zajmowano się historją Polski, omawiano pojawiające się utwory literackie Sienkiewicza i inne i poruszano zagadnienia społeczne, zwłaszcza toczono rozmowy o socjalizmie, nauce, głoszącej, że tylko praca wytwarza wartość i że wszystko, co przyczynia się do wytworzenia wartości, np. ziemia, kopalnie, fabryki, powinny być wspólną własnością pracujących, a nie należeć do tego lub innego człowieka.

„Poza książkami, tyjącami się Polski, czytałem dosyć dużo najróżnorodniejszych książek, wszystko, co mi tylko nawinęło się pod rękę — mówi o sobie Józef Piłsudski. — Najżywsze wrażenie sprawiały na mnie książki, opisujące byt narodów klasycznych (starożytnych), Greków i Rzymian. Prawdopodobnie dlatego, że były przepełnione szczegółami walk o ojczyznę i opisami bohaterskich czynów. Oprócz tego byłem rozkochany w Napoleonie i wszystko, co się tego mego bohatera tyczyło, przejmowało mnie wzruszeniem...”

Na Sybir. Ukończywszy gimnazjum, został Józef Piłsudski uwikłany w proces o spisek na życie cara. Piłsudski wiedział o spisku, ale go potępiał.

Twierdził, że Polacy nie powinni się mieszać w takie sprawy. Cóż Polsce przyjdzie z tego, że jeden car zginie, a drugi przyjdzie na jego miejsce. Zresztą nie sam car jest największym wrogiem Polski.

Jakoż i sam nie chciał słyszeć o spisku i innym radził, by w nim nie brali udziału.

Mimo to, ponieważ, wiedząc o spisku, nie doniósł o nim rosyjskim władzom, został razem z bratem skazany na zesłanie do wschodniej Syberji, gdzie spędził kilka lat swego życia.

60. DO BRONI!

Robotnik w walce z caratem. Czy był kto w Polsce w czasach po powrocie Piłsudskiego z Sybiru, ktoby prowadził walkę z carskim rządem?

Był. Niedawny w Polsce stan, najbiedniejszy, nie mający nic do stracenia prócz życia w nędzy. W owych czasach robotnik — w państwach zachodnich broniony już przed wyzyskiem

przez prawo — pod panowaniem carów był ciągle jeszcze zdany na łaskę fabrykanta, zwykle człowieka obcego, którego rząd zawsze popierał przeciw robotnikom. Rosło więc wśród robotników niezadowolenie, wybuchały strajki, tłumione krwawo przez wojsko, wreszcie powstały tajne stowarzyszenia robotnicze, dążące do obalenia caratu. Nowego wroga rząd zwalczał po staremu więzieniem i szubienicami, na co znów robotnicy odpowiadali zamachami na życie carskich dostojników.

Pierwsza próba walki zbrojnej, r. 1905. Piłsudski zgłosił się do najliczniejszego robotniczego stowarzyszenia, Polskiej Partji (stronnictwa) Socjalistycznej.

— Może z tych ludzi da się stworzyć zbrojną siłę na wojnę z najeźdźcą?

Tak rozważał i pod pseudonimem Wiktora głosił robotnikom w pismach, odezwach i mowach:

— Jeżeli chcecie polepszyć swą dolę, to musicie naprzód rzucić rosyjskie jarzmo! Gotujcie się więc do walki z bronią w ręce o niepodległość Polski!

Po kilku latach Moskale wykryli w Łodzi drukarnię „Robotnika“, czasopisma, które wydawał Piłsudski, a jego samego uwięzili. Piłsudski zdołał jednak zmylić czujność straży i przy pomocy towarzyszy zbiec z więzienia, poczem schronił się do Galicji, skąd kierował dalszą walką przeciwko caratowi.

Wtem wybuchła wojna między Rosją a Japonją. Wojna skończyła się w r. 1905 klęską Moskali. W państwie carów wybuchła rewolucja. W Królestwie młodzież samorzutnie przestała uczęszczać do rosyjskiej szkoły; Towarzystwo „Macierz Szkolna“ zaczęło zakładać szkoły polskie; unici jawnie ogłaszali się katolikami; zarządy gminne wprowadzały do urzędowania język polski.

Te zdobycze zadowalały wielu Polaków, ale Piłsudski nie przestawał nawoływać do rozpoczęcia zbrojnej walki o niepodległość. Tłumaczył, że niepodległości Polski „nikt nam nie podaruje, ani nikt za nas nie wywalczy“, że o nią musimy walczyć sami „i to nie na języki, nie zapomocą bibuły zadrukowanej, lecz z bronią w ręku. Musimy przeciwstawić zorganizowanej sile najazdu — siłę zbrojną mas ludu polskiego!“

Ale masy nie garnęły się do **O r g a n i z a c j i B o j o w e j**, którą założył przeważnie z robotników Królestwa Polskiego,

a wtedy sam twórca Organizację rozwiązał i zajął się tworzeniem wojska polskiego w najswobodniejszym wówczas z zaborów, w Galicji.

Związki Strzeleckie. Nagle po całym tym kraju rozległo się między młodzieżą hasło: Wstępować do Strzelca! Do polskiego wojska!

I wkrótce na ulicach miast widywano ludzi młodszych i starszych, ubranych w szaroniebieskie kurtki, w krągłych „maciejówkach“ na głowie.

Byli to strzelcy, członkowie Związku Strzeleckiego, organizacji kierowanej przez Józefa Piłsudskiego. Główna kwatera Związku była we Lwowie; tam też mieszkał Komentant. Przyjmowano do Strzelca, jak zwykle tę organizację nazywano, każdego Polaka, liczącego przynajmniej 16 lat życia; jego obowiązkiem było uczyć się musztry, strzelania, patrolowania, wszystkiego, co potrzebne żołnierzowi. Czynili to strzelcy, gdy miasto jeszcze spało; o 5 rano wyruszali w pole, by po paru godzinach ćwiczeń wrócić do swoich codziennych zajęć: fabryki, warsztatu, sklepu czy biura. Ich podoficerowie i oficerowie kształ-



Przeгляд oddziałów Strzelca w r. 1913 we Lwowie

cili się w osobnych szkołach założonych przez Związek Strzelecki; w lecie odbywały się dzienne i nocne ćwiczenia w obozach letnich, a w Zakopanem miał siedzibę utworzony ze składek społeczeństwa Polski Skarb Wojskowy.

Liczba strzelców rosła; wkońcu nie było w Galicji miasteczka, gdzieby nie było strzeleckiej organizacji. Powstawały nawet po wsiach. Nadto do szkół i letnich obozów zjeżdżali się strzelcy z Królestwa, Litwy, Ukrainy, a nawet z głębi Rosji, Niemiec, Belgji i Francji.

Tyłu ludziom Polski Skarb Wojskowy nie mógł dostarczyć broni. Pożyczały jej Strzelcom austriackie wojskowe komendy: Austrija bowiem, która spodziewała się lada dzień wybuchu wojny z Rosją, chciała mieć Polaków po swej stronie.

61. WYBUCH WOJNY ŚWIATOWEJ

Beczka prochu. Jak Polska długa i szeroka, wszędzie mówiono o niechybnej, bliskiej wojnie.

W Niemczech jej zarzewie — twierdzili jedni. — Tam się ludzie poprostu duszą. Jest ich prawie połowa tej liczby, która zamieszkuje Rosję, a mają 40 razy mniejszy kraj. Ich ogromny przemysł rośnie i coraz trudniej im znaleźć zbyt dla swoich wyrobów. Wciskają się więc z niemi do kolonij, zwłaszcza angielskich. To drażni Anglików. W dodatku rośnie ilość niemieckich okrętów wojennych i Anglicy zaczynają się obawiać o swoje panowanie na morzach. Oto, dlaczego wojna jest nieunikniona.

A Francja? — przypominali inni. — Rządzą tam ludzie, którzy w młodości patrzyli na straszliwą klęskę, zadaną ich ojczyźnie przez Niemców. Tam od 40 lat gotują się do odwetu.

Czy dadzą Niemcom radę? — Niektórzy powątpiewali. — Niemcy, to naród wielki, drugi co do liczebności po Rosji. Mają największą armję. I podobno najlepszą. Nadto pomogą im Austro-Węgry.

Austro-Węgry? Nie. Austriacy i Węgrzy będą mieli co innego w głowie, niż pomagać Niemcom — sądzili niektórzy. — Spadnie na nich lawina rosyjska. Oddawna Moskale głoszą się opiekunami Słowian, których tyle w Austro-Węgrzech; będą ich chcieli oswobodzić od jarzma austriackiego, aby im nałożyć moskiewskie.

Takie były zwykle wówczas rozmowy w Polsce.

A rządy zbroidy się na wyścigi tak na lądzie i morzu, jak i w powietrzu, budując niedawno przedtem wynalezione samoloty, narody zaś ugiwały się pod brzemieniem podatków na zbrojenia.

Europa była jak beczka prochu: lada iskra mogła wywołać straszliwy wybuch.

Strzały w Serajewie. W Bośni, kraju, należącym wówczas do Austro-Węgier, a zamieszkałym przez prawosławnych Serbów i tylko katolicką religją od nich różniących się Chorwatów, odbywały się w czerwcu r. 1914 manewry (ćwiczenia wojskowe), na które przyjechał następca austriacko-węgierskiego tronu. Towarzyszyła mu żona. Kiedy auto, wiozące arcyksiążęcą parę, wjechało do stolicy Bośni, Serajewa, naprzód wybuchła rzucona pod nie bomba, nie wyrządzając zresztą żadnej szkody jadącym, ale później, na innej ulicy, padło parę strażników, od których zginął arcyksiążę i jego żona.

Austrjackie ultimatum. Zamieszkujący południowe kraje Austro-Węgier Chorwaci i Serbowie tem boleśniej odczuwali ucisk obcych rządów, że tuż za granicą, na półwyspie Bałkańskim, cieszyło się niepodległością małe zresztą królestwo serbskie. Jakoż wśród młodzieży serbskiej w Austro-Węgrzech powstała tajna organizacja, której celem było połączenie wszystkich ziem serbo-chorwackich z rodzimem królestwem, i jej to dziełem był zamach w Serajewie.

— Oto, jaki tam w Austro-Węgrzech ucisk narodów — mówiono w Europie po zamachu.

— Ten zamach, to knowanie Serbów z królestwa. Narody w Austro-Węgrzech są zadowolone — odpowiadali Austrjacy, zgola w to nie wierząc.

I z Wiednia przychodzi do Serbji ultimatum, t. j. ostateczne żądanie, którego odrzucenie oznacza wojnę: Austro-Węgry żądają prawa prowadzenia na ziemiach serbskiego królestwa śledztwa w sprawie zabójstwa arcyksięcia.

Rząd serbski po dokładnem rozważeniu ultimatum wielkiego sąsiada odpowiada:

Chociaż żądanie uwłacza godności niepodległego państwa, to jednak Serbja zgadza się na nie, jeżeli na takie naruszenie jej niezawisłości zgodzą się inne państwa europejskie.

Kiedy do Wiednia przysłała odpowiedź serbska, generałowie zażądali wojny.

— Ależ Serbowie nie odrzucili austriackiego ultimatum — tłumaczyli im niektórzy. — Jakże tu wzbudzić w kraju zapal do wojny, skoro Serbja chce pokoju?

— Więc trzeba ogłosić, że Serbja odrzuciła ultimatum — nalegają generałowie.

I cesarz austriacki, zarazem król węgierski, uczynił to i podniecany zresztą przez swego potężnego sprzymierzeńca, niemieckiego cesarza Wilhelma II, zaczął z Serbją wojnę.

Początki wojny. Ale przeciw Austro - Węgrom i Niemcom stanęła Rosja, Francja, Anglja i Japonja, a później jeszcze Włochy i Rumunja, a do Niemiec przyłączyła się znów Bułgarja i Turcja — i zaczęła się wojna, jakiej nie знаła ludzkość od początku swego istnienia. Nie tysiące bowiem, ani nawet setki tysięcy ludzi wyprowadzał rozkaz wodzów na pole bitwy, ale miliony, które były się na lądzie, na morzu i pod jego po-



Kościół w Wislicy z czasów Kazimierza Wielkiego, zniszczony przez działania wojenne

wierzchnią, i w powietrzu, bronią, dawniej niesłyszana, bo nawet trującymi gazami, których używanie na wojnie wprowadzili pierwsi Niemcy przeciw murzyńskiemu wojsku francuskiemu.

Działania wojenne zaczęli Niemcy i szybko dotarli aż prawie pod Paryż, lecz po kilku tygodniach ponieśli klęskę i cofnęli się, a wtedy oba nieprzyjacielskie wojska stanęły na długi czas

i okopały się naprzeciw siebie. Również i wojska austro-węgierskie, pobite przez Moskali, musiały się cofać, a armja rosyjska dotarła aż pod Kraków, na południu zaś przekroczyła Karpaty i zajęła północną część Węgier.

Na ziemiach polskich walczyli trzej zaborcy w dwu wrogich sobie obozach i paląc wsie i miasta, burząc historyczne budowle, rabując dobytek, w ruinę zamieniali polski kraj.

62. GŁOS ŻŁOTEGO ROGU

Ostatnie manewry. Znojne to były dni owego lipca r. 1914, kiedy brać strzelecka zjechała się na manewry, które odbywały się pod Krakowem. Więc z lubością, złożywszy karabiny w kozły i rzuciwszy plecaki na ziemię, kładli się strzelcy na nocny spoczynek pod gołym niebem. Ale długo nikt nie zasypiał, długo w nocy toczyły się gawędy, zwłaszcza o dokonaniem przed kilku dniami zabójstwa w Serajewie.

Zastanawiano się, czy może z tego wyniknąć wojna.

O jednego człowieka, choćby arcyksięcia, Austrija miałaby wysyłać tysiące ludzi na śmierć? — Nie. Wielu strzelcom zdawało się to niemożliwe.

Na to otrzymywali odpowiedź, że wprawdzie zabójstwo w Serajewie samo nie wywoła wojny, ale może ją przyspieszyć. Bo, że na nią się zanosi, to pewne. Wojna musi wybuchnąć, bo za dużo ludzi jej przagnie.

— W Królestwie Polskiem niewielu — twierdzili Królewscy. — Tam boją się zwycięstwa Niemców. Wolą już jarzmo Moskali.

Wreszcie zgodzono się na to, że najlepiej dla Polski byłoby, gdyby Niemcy pobili Rosjan, a potem zostali pobici przez Francuzów. Byłby to cud!

Wszyscy zaborcy pokonani — to poprostu zmartwychwstanie dawnej Rzeczypospolitej! Ale nie można beczynn timer czekać cudów; trzeba pamiętać, że musi się stworzyć silne polskie wojsko, aby, jak wojna wybuchnie i armje zaborców staną przeciw sobie, bić z Niemcami Rosję, a po jej pokonaniu — z Francuzami Niemców.

Mobilizacja związków strzeleckich. Wtem pewnego dnia w parę tygodni po strzeleckich manewrach Kraków zawrzał niebywałym gwarem.

— Wojna! — krzyczą roznosiciele gazet. Wojna! — mówią znajomi czy nieznajomi, spotykając się ze sobą. — Wojna między zaborcami!

Na ulicach, w biurach, w warsztatach, kawiarniach, wszyscy mówią o wojnie. Fabryki pustoszeją, a ulicami przeciągają zbrojne oddziały w maciejówkach i śpiewają:

„Wnet z naszych strzelb piorunne zagrzmia strzały,
a lotem kul kieruje zbawca Bóg!”

— Strzelcy! Nasi strzelcy! Wojsko polskie! Komendant Piłsudski ogłosił mobilizację (wezwanie do broni) związków i drużyn strzeleckich!

W t. zw. Oleandrach, na łąkach pod miastem, rojno i gwarno. Strzelcy obozują pod gołym niebem, palą ogniska, odbywają musztrę, wychodzą z obozu na dalsze ćwiczenia. W mieście zapalał rośnie. Na jeden z placów wpada wóz z chłopem w białej sukmanie. Chłop zeskakuje na ziemię, całuje ją i klęcząc, rozkłada ręce i woła w radosnym zdumieniu:

— O Jezu Najświętszy! O Matko Boska! Moskali już na granicy niema ani jednego. Precz odeszli!

Otoczyła go publiczność. Skąd jest? Z pod Miechowa. Jechał do Krakowa, a tu na granicy niema komu oddać przepustki. Niema granicy!

Rozkaz Komendanta z 3 sierpnia 1914 r. Zanim Austriacy zaczęli kroki wojenne przeciw Rosji, ruszył do Królestwa Polskiego pierwszy oddział polskiego wojska, t. zw. kompanja



Józef Piłsudski

kadrowa, która na wydartej Moskalom polskiej ziemi miała tworzyć nowe oddziały wojska. Kadrówka liczyła 152 ludzi; stojąc na baczność, słuchali idący na wojenny trud żołnierze słów rozkazu Komendanta:

„Żołnierze! Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granicę rosyjskiego zaboru jako czołowa kolumna wojska polskiego, idącego walczyć za oswobodzenie Ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie naznaczam szarż (stopni), każę tylko doświadczeńszym wśród was pełnić funkcje (czynności) dowódców. Szarże uzyskacie w bitwach. Każdy z was może zostać oficerem, jak również każdy oficer może znów zejść do szeregowców, czego oby nie było!

Patrzę na was jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armja polska i pozdrawiam was jako pierwszą kadrówką kompanję!“

Przed świtem 6-go sierpnia 1914 roku kadrówka ruszyła z Krakowa do Królestwa. „Złoty róg“ Wyspiańskiego zagrzmał słowami rozkazu komendanta Piłsudskiego.



Orzełek legjonowy

Legjony. Za tą kompanją poszły inne. Wtedy zebrali się w Krakowie przedstawiciele polskich stronnictw zaboru austriackiego i po naradach z Komendantem utworzyli Naczelny Komitet Narodowy jako najwyższą polską władzę, a z oddziałów, walczących w Królestwie, stworzyli, na wzór Dąbrowskiego, nowe polskie Legjony. Wkrótce Naczelny Komitet Narodowy zawarł z naczelną komendą austriacką umowę, która, pozostawiając legjonom polską komendę i polskie

odznaki, zapewniła im jednocześnie, jako współwalczącym z Rosją, uzbrojenie i umundurowanie. Zaczęły się dla żołnierza polskiego lata krwawych walk i ciężkich ofiar.

63. WŚRÓD KARPACKICH WIERCHÓW

Z Królestwa w Karpaty. Po klęsce, której doznała armja austriacka w okolicy Lublina, prawie całe Królestwo Polskie zostało znów zajęte przez wojska rosyjskie. Nadto przeszły one na południe od Wisły przez Dunajec i zagroziły Krakowu, a na zachód od Nowego Sącza posunęły się nieco za Limanowę. Tam naprzeciw Rosjan stanęła austriacka kawalerja, której



Oddział ułanów w marszu (obraz J. Ryszkiewicza)

dano do pomocy wycofane z Królestwa 2 pułki piechoty polskich legionów, zrazu tylko po 2 bataljony każdy — i stu kilkudziesięciu konnych.

Pułkami temi dowodził Komendant Józef Piłsudski; dwa inne były się we wschodnich Karpatach.

Mroźnym wieczorem nadeszli legjoniści do wsi, przeznaczonej dla nich na kwaterę. Ale wieś pełna wojska. Natomiast w dwu sąsiednich małych wioskach niema Austriaków; tylko w jednej z nich, Chyżówkach, rano byli Moskale. Czy są tam jeszcze? — Zapytywani górale nie widzieli ich odchodzących.

Chyżówki leżały o parę kilometrów w bok od austriackiego frontu. Był to błąd, popełniony przez Austriaków, że pozwolili

wrogowi usadowić się tak blisko ich prawego skrzydła. Ale Komendant przekonał się już w poprzednich bojach, że Austriacy często popełniali błędy. Postanowił ich tedy zabezpieczyć, a zarazem zdobyć nocleg dla jednego ze swych pułków.

Chyżówki. Była już ciemna noc, kiedy pułk przyszedł pod Chyżówki i otoczył wioszczynę dookoła. Nocował tam spory oddział rosyjskich ułanów pod wodzą 7 oficerów. Tworzyli go najdzielniejsi żołnierze, ze swego pułku umyślnie wybrani i zaopatrzeni w najlepsze konie. Mimo to oddział źle spełniał obowiązki. Oficerowie, nie wiedząc o nadejściu polskich pułków, a lekceważąc austriacką konnicę, nie wysyłali patroli i rozstawiając kilka wart, ułożyli się do spoczynku. Tymczasem Polacy, otoczywszy wieś, zaczęli się podsuwać ku budynkom. Jakaś warta zauważyła ten ruch i nagle w ciszy nocnej pada kilka strzałów. Zrywa się z łóżka rosyjski dowódca, wybiegają z chat i stodoł ułani i zaczynają strzelać w ciemności, nie trafiając zresztą nikogo. Ale z ciemności odzywają się rosyjskie przekleństwa, tak dokładnie wygłaszane przez legjonistów z Królestwa, że Moskale, przekonani o zbliżaniu się swoich, przestają strzelać. Wtem jak piorun spada na nich Rydz Śmigły ze swojemi bataljonami i ułani rosyjscy poddają się.

Była to prawdziwie „mistrzowska sztuka“ żołnierskiego rzemiosła: cały oddział z końmi i bronią wzięty bez wystrzału do niewoli. Austriacy zwykle woleli trzymać się od nieprzyjaciela zdaleka, to też wielka była ich zazdrość, zmieszana z podziwem, z powodu czynu legjonowej braci. Generał dowodzący pod Limanową przyjechał do Komendanta, aby zobaczyć wsławione już zresztą przedtem legjony; dowiedziawszy się zaś, że nie mają ani jednego szybkostrzelnego maszynowego karabinu czyli kulomiotu, oddał pod rozkazy Komendanta dwu swoich oficerów z dwoma kulomiotami, czterema działami i ich obsługą.

Przekleństwo niewoli. Ale nie zawsze odważne czyny legjonowe wywoływały zadowolenie Komendanta. Czasem zamiast radości duszę jego przepełniał ból. Działo się to wtedy, gdy nacznie dostrzegał bolesne skutki rozdarcia Ojczyzny. Raz schwytano paru jeńców i przyprowadzono ich do niego. Działo się to w tych samych Chyżówkach. Jeden z jeńców był ciężko ranny w piersi. Pokazało się, że to Polak z Litwy i że pochodzi ze zna-

nej Komendantowi rodziny. Jeniec miał łzy w oczach, a i Komendant Piłsudski niedaleki był od łez, jak sam o tem kiedyś później pisał.

Nowy Sącz. Jeden pułk legionów, wycieńczony i przerzedzony niedawnymi bojami w Królestwie, odszedł z Chyżówek za front bojowy, tak, że Komendant, wysunawszy się przed Austriaków aż do sąsiadującej z Sączem wsi, znalazł się pewnej grudniowej nocy z dwoma tylko bataljonami, t. j. z niespełna 2000 ludzi i 12 działami, w czym 4 austriackie, wobec 12000 niespodzianie do Sącza nadeszłych Moskali.

Kilkadziesiąt rosyjskich dział grzmiało przez cały dzień s z r a p n e l a m i, roztrzaskującemi się nad głowami polskiej garstki; przez cały dzień terkotały rosyjskie kulomioty i strzelały ręczne karabiny podsuwających się ku wsi Moskali; przez wiele długich godzin Komendant spoglądał w bok, skąd, przez górę, powinna była nadejść z pod Limanowej pomoc austriackich oddziałów.

Ale Austriaków nie widać: zamiast ich posiłków na górze pokazują się Moskale.

Polskiej garstce grozi oskrzydlenie.

Komendant, próbując wycofać się, przesuwając część swego oddziału w bok, ku Limanowej. Czy dojdzie, nie przerywając ognia, na nowe stanowiska, zanim je zajmą Moskale?

Mała nadzieja. Komendant rozgląda się i widzi za sobą płonącą wieś, a na pagórku kościół murowany i murem opasany.

Trzeba iść pod kościół — postanowił. — Tam, za murem, można się jeszcze czas jakiś bronić.

Był gotów na śmierć.

Ale i Moskale, podobnie jak Austriacy, nie lubili pośpiechu. Zamiast szybko odciąć Polakom odwrót, rozciągali się powoli coraz dalej ku Limanowej, dając Komendantowi czas na przeniesienie swego oddziału częściami ku zachodowi, tak, że gdy po dniu nieustannej, ciężkiej walki zapadł wieczór, Polacy, straciwszy zaledwie 100 ludzi w rannych i zabitych, znaleźli się niedaleko Limanowej.

Tymczasem Moskale, zatrzymani przez legionowy pułk cały dzień, pozwolili Austriakom ściągnąć tyle sił, że wkrótce wojska rosyjskie poniosły na tym odcinku frontu bojowego ciężką klęskę.

64. WŚRÓD MOKRADEŁ WOŁYNIA

Rozrost legionów. Na początku wojny zapowiedział cesarz niemiecki swemu wojsku, że zanim liście z drzew opadną, Niemcy wrócą jako zwycięzcy do domów. Ale od tego czasu drzewa już dwa razy straciły liście i dwa razy pokryły się świeżą zielenią, a wojna się nie kończyła.

Tymczasem legjony polskie rozrastały się. Liczyły już 7 pułków piechoty, podzielonych na 3 brygady, nadto brygadę konnicy, razem kilkanaście tysięcy ludzi z artylerją i kulomiotami. Była to już więc cała mała armja, która z końcem drugiego roku walczyła nad rzeką Styrem na Wołyniu.

Dwie brygady tej armji stały pod *K o s t j u c h n ó w k ą*.

Wojna okopowa. Już rok przedtem bowiem Niemcy, przełamawszy rosyjski front nad Dunajcem, odrzucili Moskali daleko na wschód, aż za Bug, w dorzecze Prypeci. Ale siły przeciwników były tak liczne, że czoło każdego z nich stanowił jeden nieprzerwany szereg oddziałów, oparty jednym bokiem o morze

Bałtyckie, a drugim sięgający aż do granicy rumuńskiej. Niepodobna więc już było wroga ani oskrzydlić, ani otoczyć; można go było tylko przełamać. Aby do tego nie dopuścić, oba nieprzyjacielskie fronty zabezpieczyły się rowami, wałami i ustawionymi na nich płotami z kolczastego drutu; w rowach czuwały stale wojskowe posterunki, a reszta żołnierzy czekała z tyłu gotowa do odparcia wroga, gdyby się pokusił o zdobycie umocnień. Tam też, z tyłu, za rowami, kopało sobie wojsko miejsca noclegowe, zwane *z i e m i a n k a m i*, pokryte pniami drzew i ziemią, przed wielkimi zaś pociskami armatniami, granatami, chowano się do głębszych



Granatnik

od ziemianek i grubiej od nich pniami i ziemią pokrytych granatników.

Spokój na froncie. Długo już stoi I i III brygada legionów pod spaloną i pustą Kostjuchnowką na Polskiej Górze i w Polskim Lasku. Tak nazwali Austriacy parumorgowy laszek nad sporem bagnem i piaszczysty pagór niedaleko lasku. I góra i laszek zryte, okopane kilku szeregami rowów i odrutowane; ztyłu ziemianki i granatniki.



Ks. biskup Bandurski zwiedza okopy nad Styrem

Spokój. Tylko czasem, raz na kilka dni, odzywają się działa i przekrzykują się ponad linie okopów, wałów i drutów. I czasem tylko, kiedy armaty umilkną, odnosi brat legionowa na ramionach kolegę na założony za ziemiankami cmentarzyk, na którym też rośnie powoli ilość mogił i krzyżów, zбитych z białych brzozowych konarów.

Przyjechał też raz w piękny majowy dzień wielki przyjaciel legionowej wiary, ks. biskup Bandurski, który się zjawił w okopach polskich, by ich obrońcom przynieść pozdrowienie od rodaków i zachęcić do wytrwania w walce o wyzwolenie Ojczyzny.

Spokój. Legjonowa wiara chodzi a raczej pełza na wywiady ku rosyjskim okopom, kopie obronne rowy, poprzeczne do nich dojścia czyli g a n k i, naprawia ziemianki, a wolni od zajęć czytają, grają w piłkę nożną, a nawet urządzają przedstawienia teatralne i inne zabawy.

Wielka bitwa. Świt letniego dnia. W ziemiankach wszystko śpi. Nagle pada strzał jeden, drugi, coraz częstsze. Drży ziemia, do ziemianek wpadają kłęby dymu.

Wiara zrywa się na równe nogi.

— Kuferki!

„Kuferkami“ nazywano wielkie g r a n a t y, t. j. armatnie pociski, które wybuchają dopiero po zetknięciu się pocisku z ziemią.

Co żyje, wybiega z ziemianek i patrzy. Za ziemiankami kapliczka na cmentarzu, zbudowana przez żołnierzy, zniknęła; cmentarz zorany granatami; trupy, dawno pogrzebane, wyrzucone z grobów, poszarpane w strzępy, rozrzucone na wszystkie strony.

Przed ziemiankami okopy. Ale ich nie widać. Schowały się w jednej nieprzejranej chmurze białego dymu. A z chmury co chwila, prawie co sekunda, wylatują tumany szarego piasku, wyrzucanego wysoko przez wybuchy „kuferków“.

— Obywatelu plutonowy! Melduję, że naszej ziemianki już niema.

— Niewielka szkoda! Idźcie do „lisiej jamy“.

Lisią jamą nazywało się silnie zbudowane schronisko.

Ciężkie granaty dziurawią wszystko, las, bagno, ziemianki; strumienie czarnego błota, tumany piachu, całe drzewa z korzeniami wylatują w powietrze. Huk taki, że aż w uszach kłuje. Paru żołnierzy popada w oblężanie.

Ogień uspokajał się na chwilę, potem znów się wzmagał, aż nagle wieczorem umilkł.

— Do okopów! — brzmi komenda.

Nieprzyjaciół, ostrzelawszy tysiącami pocisków polskie stanowisko, ruszył do ataku.

Wróg pośród drutów. Zaroił się w Polskim Lasku rów przed kolczastym drutem. Wiara opiera się pierściami o ścianę okopu i wysuwa karabiny ku nadchodzącym Moskalom. Idą już? Nie

widać ich w dymie. Nagle pokazują się o 20 kroków, przy odrutowanych kółkach przed rowem.

„Urree!“ — wyrwał się przeciągły krzyk z tysięcy piersi. Lunał w nich ogień kulomiotów, karabinów i ręcznych granatów. Wrogów jak mrowia; pełzają popod druty, inni kładą się na kolce, jeszcze inni wspinają się na druty. Kółki poddają się ciężarowi ich ciał, pochylają się ku ziemi. Coraz bliższe czerwone, spocone twarze. Tnie je ulewa kul; ludzie giną w milczeniu, często nie wystrzeliwszy nawet, nie rzuciwszy granatu, który każdy z nich ma przygotowany. Rośnie wał trupów między drutami, na drutach, tuż nad rowem.

Polakom mdleją ręce. Pot zalewa oczy. W uszach tętni.

Nagle w rowie krzyk:

— Moskale na Polskiej Górze!

Polską Górę zajmowali od jakiegoś czasu Austriacy. Teraz nie wytrzymali ataku i uciekli. Polski Lasek będzie opasany. Obrońcom opadają ręce. Korzysta z tego hurma Moskali i nagle staje na brzegu okopów.

— Bić w nich! — rozlega się w okopach dziki krzyk i jak piorun zagrzmiały karabiny, w jednej chwili oczyszczając brzeg rowu.

Tymczasem jeden bataljon legjonów odebrał Moskalom Polską Górę, ale, nie otrzymawszy pomocy od Austriaków, został opasany i musiał się przebijać z bagnietem w rękę przez mrowie Moskali, przyczem zginął jego dowódca.

Frontowemu okopowi w lasku zagroziło znów opasanie; znużonym obrońcom kazano się wycofać do drugich, przygotowanych poprzednio okopów.

A potem zapadła krótka lipcowa noc, po której nastąpił podobny poprzedniemu okropny dzień i po nim jeszcze jeden: trzeci.

I każdego dnia sąsiedni Austriacy opuszczali swoje okopane stanowiska na Polskiej Górze, odsłaniając atakującym Moskalom bok polskiego frontu i narażając Polaków na otoczenie przez wroga.

W tych strasznych dniach jeden pułk I brygady stracił więcej, niż połowę oficerów i prawie połowę żołnierzy. Polegli dwaj dowódcy bataljonów, a komendant pułku, podpułkownik Berbecki, został ciężko ranny.

65. NAD STOCHODEM

Odwrót. Front austriacki nad Styrem przerwany. Na nic się nie zdały krwawe polskie wysiłki pod Kostjuchnowką. Bohaterowie Polskiego Lasku idą, śmiertelnie zmęczeni, na nowe stanowiska. Przygotowano je nad Stochodem, o 50 km na zachód od Styru.

Świt. Idą całą noc. Boleśnie wrzynają się w karki rzemień. Jak ołów, cięży broń i plecak. Oczy się kleją. Zwidują się majaki: trupy, strzępy ciał, twarze wśród drutów, a wszystko to leci, zbliża się, płynąc, jak ptak, nie poruszający skrzydłami.

Żołnierz wzdryga się. Otwiera oczy. Przez szeregi przebiega szept:

— Równaj krok! Dziadek patrzy na nas.

Dziadkiem zwano Komendanta.

A Komendant stoi przed chatą przy drodze i smutnie uśmiecha się do swej wiary.

— Bardzoście pomęczeni, chłopcy? — pyta.

— Nie, niebardzo — zapewnia wiara, prostując plecy.

Nareszcie postój. Trzy godziny spoczynku. Spać!

Popłoch. Po krótkim niespokojnym śnie, marsz. Obok kolumny legjonów, drugą stroną drogi, ciągnie austriacka artylerja. Nagle pęka kilka rosyjskich szrapneli. Austriacy zrywają się do ucieczki. Przerażona ciżba wpada na maszerującą polską kolumnę.

— Stać! — krzyczy jakiś legjonowy porucznik i chwytając cugle konia austriackiego kapitana, a drugą ręką przykładając mu lufę do czoła.

— Bagnet na broń! — brzmi polska komenda i kolumna staje naprzeciw pędzącej ciżby. Ta uspakaja się, a Polacy przepuszczają ją obok siebie. Ale za nią pędzi druga fala Austriaków, a za nimi uciekają Niemcy.

Przelatują na koniach oficerowie, wozy, armaty, oddziały kulomiotów. Wpadają na siebie, potracają się, tratują. Uciekają całe szwadrony huzarów, ułanów. Ich świetni oficerowie rzucają po drodze szable, pistolety. Wylatują z wozów skrzynki amunicji, granaty, szrapnele, wory jęczmienia, owsa, sucharów. Wreszcie fala mija; nadlatuje trzecia i czwarta.

Wtem ze stojącej spokojnie polskiej kolumny buchnął śpiew:

„Hej strzelcy wraz! Nad nami Orzeł Biały!“

Zdumieli się dowódcy austriacy, zawstydzili się niemieccy, słysząc śpiew polskiego żołnierza pośród burzy ogólnego popłochu. Zaczynają zdzierać swoje przerażone konie, popłoch ustaje i wraca spokój dzięki dzielności wycieńczonego legjonowego oddziału.

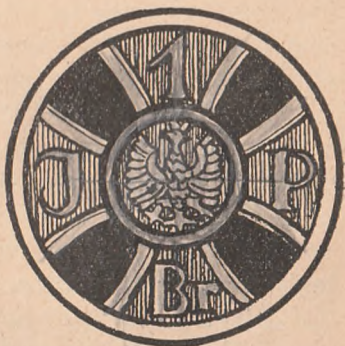
Zwątpienie i karność. Pomiedzy bagnami Stochodu, olszyną i łożami wraca legjonowa brać do ziemianek, wyrzuciwszy Moskali ze stanowisk, które znów Austriacy opuścili.

Ale w ziemiankach niema już dawnej wesołości: wkrada się do nich zwątpienie.

Czy to dobrze, że się pomaga Niemcom i Austriakom? Oto Królestwo już od roku wolne od Moskali, a sprawa polska tyle na tem zyskała, że zamiast jednego zaborcy panują w kraju dwaj inni. Nie dopuszczają do utworzenia polskiego rządu, łupią kraj, a nawet pragną odebrać legjonom ich odznaki. Więc poco te ofiary? Poco ci legjoniści, co są poddanymi państwa carów, narażają się podwójnie na śmierć: raz na polu bitwy, a drugi raz jako „buntownicy“ w rosyjskiej niewoli? Czy nie lepiej porzucić legjony i wrócić do domu? Nawet Dziadek podobno nie widzi już korzyści dla Polski w spółce z Niemcami; mówią, że chce się zrzec komendy.

Na to padała odpowiedź, że kto tak mówi, ten nie jest żołnierzem. Żołnierz ma słuchać, a do wydawania rozkazów w legjonach jest Dziadek. Trzeba robić, co on każe. Nawet jakby opuścił legjony, to i tak bezczynnie siedzieć nie będzie. Znajdzie sobie robotę. A jak mu kto do niej będzie potrzebny, to go zawoła.

Druga rocznica. Nad Stochodem doczekały się legjony drugiej rocznicy wymarszu kadrówki. Świącono ją uroczyście, ale nie bez rzewnego smutku.



Odznaka I Brygady

Na obszernej polanie rozpięto namiot. W nim ustawiono ołtarz. W złocisty ornat przybrany kapelan odprawia uroczyste nabożeństwo. Podłużnym czworobokiem stoją delegacje oddziałów I brygady i zaproszeni z dwóch innych brygad. Przed ołtarzem grupka wyższych oficerów, między nimi Komendant, jego szef sztabu czyli doradca, Sosnkowski, i pułkownik Haller. Na lewo od nich pierwsza patrol, która z Galicji udała się do Królestwa, dalej kadrówka z przed dwu lat. Ale mało kto z niej został. Ze 152 ludzi, którzy o świcie 6 sierpnia r. 1914 wyszli z Krakowa do Królestwa, jest ich na polanie nad Stochodem trzydziestu kilku kapitanów, poruczników, podporuczników, sierżantów, kaprali i szeregowców różnych rodzajów broni.

Od ołtarza padają słowa:

— Modliłem się o to, by Bóg zachował nam Komendanta naszego; modliłem się o urzeczywistnienie naszego celu: niepodległego Państwa Polskiego, za które już tylu zginęło... A teraz wzywam was do wspólnej modlitwy za spokój dusz poległych naszych kolegów.

Ku ziemi chylą się kornie postacie dowódców, oficerów, żołnierzy. Kłęką Komendant. Modlący się wspominają poległych towarzyszy broni. Tyle krwi przelanej! A ile jej jeszcze przelać trzeba, aby wywalczyć Niepodległą Polskę?

Po nabożeństwie Komendant przypina obecnym żelazny Krzyż I Brygady, a oficerowie wręczają mu honorową szablę. Orkiestra gra: „Jeszcze Polska nie zginęła!“

Wkońcu odczytano rozkaz, w którym Komendant żądał od wojska, aby zawsze strzegło honoru żołnierskiego munduru i żył małej polskiej armji, aby w następną rocznicę rozkaz był odczytany już na wolnej polskiej ziemi.

Rozkaz ten obszedł wszystkie trzy brygady, a był pożegnaniem się Komendanta z legionami, gdyż niedługo potem otrzymał na własne żądanie zwolnienie z dowództwa i wyjechał do Warszawy budować niezależną od nikogo, polską siłę zbrojną.

66. O POLSKIEJ ORGANIZACJI WOJSKOWEJ

Listopadowa demonstracja. Przykro było wyrzeć na ulicę w Warszawie jesienią r. 1914. Wszędzie pełno rosyjskiego wojska, dążącego na front, zewsząd dolatują dźwięki rosyjskiej

mowy. Zalana wrogą powodzią publiczność potulnie ustępuje z drogi butnym carskim oficerom, a tajna, po cywilnemu, dla niepoznaki, ubrana policja, kręcąca się wśród tłumu, raz po raz rzuca okrzyki:

— Niech żyje rosyjska armja!

I obalamucony ludzki tłum powtarza bezmyślnie okrzyk, a pod kopyta kozackich koni padają wiązanki kwiatów, rzucane przez policyjnych usłużników.

Wtem rozeszła się po Warszawie wieść, że w rocznicę listopadowego powstania ma się odbyć w kościele św. Krzyża demonstracja, przygotowana przez jakąś tajną organizację. Publiczność pośpieszyła do kościoła. Nagle nad jej głowy wznosi się spory białoczerwony sztandar, przyniesiony przez kogoś w kieszeni i w kościele zatknięty na laskę. A tam już drugi taki sam powiewa nad głowami i trzeci i dziesiąty, a z tysiąca piersi grzmia chórem słowa pieśni:

Boże, Coś Polskę przez tak liczne wieki.....

„Cudny, wzniosły nastrój opanował dusze — opowiada naczynny świadek demonstracji. — Wszystkie oczy zalane łzami, wszystkie twarze pobladłe z uniesienia“.

Po chwili u wejścia wszczął się zgiewk. Do kościoła wpadają żandarmi i wyprowadzają aresztowanych, a opornych biją i kopią.

Utajone wojsko. Owa demonstracja była dziełem tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej. Powstała ona za plecami rosyjskiego frontu na rozkaz Komendanta Józefa Piłsudskiego, zaczynającego wtedy orężne boje na czele garści strzeleckiej wiary. Oficerowie legjonowi, przysyłani przez Komendanta, uczyli członków organizacji rzemiosła wojskowego, poczem jedni z tych tajnych żołnierzy przechodzili przez front do legjonów, a inni zostawali za plecami wroga i przyprawiali go o dotkliwe straty, zrywając połączenia telegraficzne, niszcząc magazyny i uszkadzając kolejowe tory.

Była to praca trudna i niebezpieczna. Polacy z Królestwa, żywo pamiętając popowstaniowe prześladowania, wyrzekali się nawet myśli o zbrojnej walce z Rosją; mimo to jednak i mimo licznych szpiegów i grozy szubienicy organizacja, zwana krótko P. O. W., zjednywała sobie, zwłaszcza między młodzieżą, coraz liczniejszych członków.



Komenda P. O. W. po ćwiczeniach w lesie pod Warszawą

Z końcem pierwszego roku wojny zajęli Królestwo Niemcy i Austriacy. Organizacja rosła. Wstępowali do niej Polacy ze wszystkich zaborów po obu stronach bojowego frontu; należało do niej wiele kobiet, które przewoziły tajne rozkazy komendy organizacji i przy współpracy Ligi Kobiet opiekowały się żołnierzem polskim, dostarczając mu bielizny, mundurów, pielęgnując rannych; wstępowali też do niej niektórzy Polacy, służący w armjach austriackich, niemieckiej, a nawet rosyjskiej.

Polska Organizacja Wojskowa rosła, tworząc coraz liczniejszą, tajną, niezależną od nikogo polską armję.

Miał więc czem zająć się Komendant, kiedy na początku trzeciego roku wojny, złożwszy dowództwo, przybył do Warszawy.

Ogłoszenie niepodległości Królestwa Polskiego. Tymczasem siły przeciwników wyczerpywały się. Znużeni już byli wojną Rosjanie, a i Niemcy z trudem tylko wytrzymywali na zachodnim froncie napór Francuzów i Anglików.

Z placów boju dochodzą do Niemiec wołania generałów o więcej ludzi. Skąd ich wziąć? Chyba z Królestwa Polskiego. Może ono dać setki tysięcy doskonałego żołnierza. Ale Polacy nie pójdą zadarmo na wojnę. Trzeba im dać niepodległość.

I aby sobie zjednać Polaków z Królestwa, Niemcy i Austria wydały akt, w którym ogłosiły niepodległość tego kraju i utworzyły dla Królestwa tymczasowy rząd, nazwany *Radą Stanu*, do której jako referent spraw wojskowych, więc jakby ich minister, powołany został Józef Piłsudski.

— Teraz Królestwo ma niepodległość — mówili Niemcy. — Niech więc da jak największą armję pod niemiecką komendę! Niech Rada Stanu zarządzi pobór rekruta!

— Owszem, Królestwu potrzebna wielka armja — odpowiada Piłsudski. — Ale musi ona słuchać komendy polskiej, nie obcej.

Na to Niemcy się nie godzą. Któż wie, czy ta armja nie wystąpiłaby przeciw nim? Werbuja (zaciągają) więc ochotników do legionów. Ale Komendant przez Polską Organizację Wojskową ogłasza rozkaz: nie dawać ochotników! — i z całego kraju zgłasza się zaledwie paruset, zamiast pożądanych przez Niemców setek tysięcy.

Uwięzienie Komendanta, upadek I brygady. Tymczasem w Rosji wybuchła rewolucja. Carat upadł, armja rozprzegła się. Stało się to, na co liczył Komendant. Teraz, po klęsce jednego zaborcy, trzeba przyspieszyć upadek dwu innych.

— Nie mamy takiej siły, aby Niemców „zarznać“, ale mamy jej dość, by ich „dorznać“ — mówił do swych pomocników z Polskiej Organizacji Wojskowej. A Niemcom, kiedy coraz natarczywiej wołali o pobór rekruta, odpowiadał, że zarządzi pobór, ale dopiero wtedy, gdy obce wojska opuszczą kraj.

Wtedy Niemcy zaczęli z legionów i owych nielicznych ochotników tworzyć *Polską Siłę Zbrojną* i zażądali od żołnierzy przysięgi na wierność nie tylko Ojczyźnie, ale także na „braterstwo broni wojskom Niemiec i Austro-Węgier“. Na to Polska Organizacja Wojskowa ogłasza rozkaz Komendanta: nie przysięgać — i z 6 pułków tylko 2 złożyły przysięgę, a 4 t. j. I i III brygada, odmówiły jej.

— To jawny bunt! — krzyczą Niemcy — i rozbrajają oporne brygady, a ich żołnierzy umieszczają pod strażą w obozach jeńców, Komendanta zaś i pułkownika Sosnkowskiego wywożą jako więźniów do Niemiec, gdzie w twierdzy *Magdeburgu* Piłsudski przebywał już do końca wojny.

Dowództwo Polskiej Organizacji Wojskowej objął z rozkazu komendanta pułkownik *Rydz Śmigły*.

67. POLSKIE WOJSKA NA OBCYZYŃNIE

Bajończycy. Pierwsze tygodnie wojny. W Paryżu popłoch. Wielu mieszkańców ucieka z zagrożonego miasta. Rząd opuszcza stolicę.

Przebywający we Francji Polacy podają sobie wiadomość, że związki **Sokołów** (towarzystw gimnastycznych) organizują oddziały ochotników na wojnę z Niemcami. Słyszy to **Szafraniec**, tułacz z Galicji, człowiek w sile wieku, ale z wargą zapadłą na bezzębną szczękę. Chciałby się zgłosić do polskiego oddziału, ale wie, że go francuski lekarz nie uzna za zdolnego: nie ma zębów. Więc trzeba je sobie wprawić. Ale to kosztuje, a on nie ma pieniędzy. Tedy **Szafraniec**, pożyczwszy sobie ubrania, sprzedał swoje, jedyne, jakie miał, a potem pobiegł do dentysty wprawić sobie zęby. Za parę dni jechał już z innymi ochotnikami do **Bayonne** (Bajon) w południowo-zachodniej Francji, gdzie z nich zorganizowano polską ochotniczą kompanję, którą niedługo wysłano na front.



Odznaka II Brygady

Ale rosyjskie poselstwo sprzeciwiło się tworzeniu dalszych polskich oddziałów i wkrótce kompanja bajończyków, niezasilana nowymi ochotnikami, została w ustawicznych bojach tak przerzedzona, że jej resztki wcielono wkońcu do oddziałów francuskich.

Szafraniec zginął w trzecim roku wojny jako porucznik francuskiej piechoty.

Pokój brzeski. Brygada II czyli karpacka, którą dowodził **Józef Haller**, składała się przeważnie z Polaków zaboru austriackiego. Złożyli oni przysięgę żadaną przez

Niemców, ponieważ sądzili, że wytrwanie przy Austrii może sprawie polskiej przynieść jakiś pożytek.

Tymczasem stało się, że ta resztką legjonów przeżyła I i III brygadę tylko o kilka miesięcy.

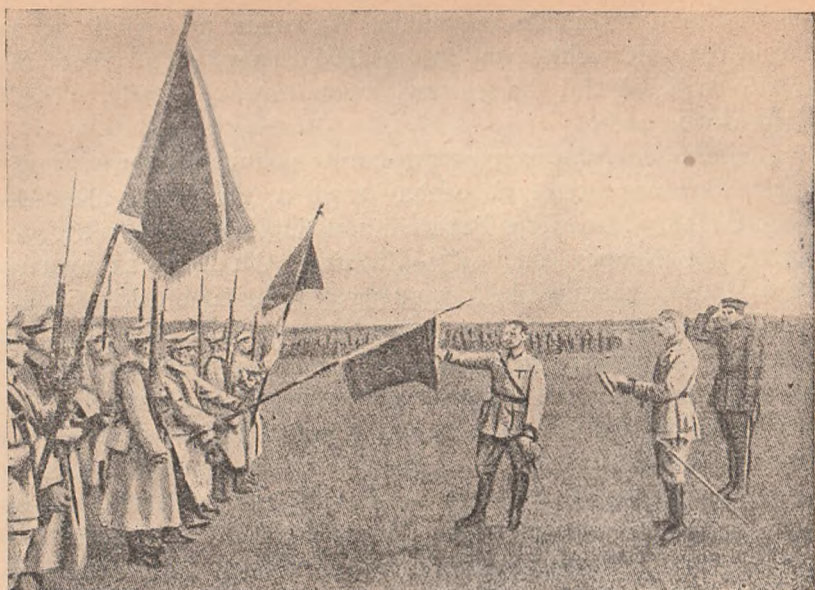
W Rosji wybuchła rewolucja. Wywołała ją socjalistyczna partja robotniczo-rolnicza, zwana bolszewicką. Front rosyjski rozsypał się; bolszewicy, opanowawszy rządy, prosili Niemców o pokój.

Ujarmione narody państwa carów podniosły głowę; w Kijowie Ukraińcy utworzyli osobny rząd, a ten ogłosił niepodległość Ukrainy i zawarł w Brześciu nad Bugiem pokój, w którym Austria i Niemcy odstąpiły Ukrainie Chełmszczyznę i Podlasie, ziemie, niedawno uświęcone krwią unickiego ludu.

Hallerczycy. Ten nowy rozbiór Polski popchnął II brygadę do rozpaczliwego kroku. Stała ona na Bukowinie, za południowo-wschodnim kątem dzisiejszej Rzeczypospolitej. Po gorączkowych naradach postanowiono porzucić Austrię i pod komendą pułkownika Hallera udać się na Ukrainę i do Rosji, skąd przychodziły wieści o tworzeniu się oddziałów polskich z Polaków rozbitej armji rosyjskiej. Ale tylko część II brygady zdołała przebić się przez front austriacki; część zatrzymali Austriacy i wywieźli do więzień i obozów jeńców. Oddziały, które przeszły granicę, dotarły aż do Kaniowa nad Dnieprem,



Wojsko polskie na Murmanii



Wręczenie sztandarów armji polskiej we Francji

i tam, osaczone przez Niemców, musiały po całodziennej walce złożyć broń.

Taki był koniec II brygady. Ale żołnierz legionowy nie spoczął. Rozprószywszy się po Ukrainie, przedzierał się do różnych polskich oddziałów, nawet na daleki, lodowaty M u r m a n, leżący na skraju północnej Europy, gdzie pułkownik Haller zbierał resztki swej brygady, by z nimi wyjechać morzem do dalekiej Francji.

Tam też, mianowany generałem, skupił wokół siebie tych Polaków z wojsk niemieckich i austriackich, którzy jako jeńcy przebywali we Francji i we Włoszech, a kiedy do nich przyłączyli się liczni rodacy, rozsiani po Ameryce i Azji, stała z Francuzami przeciw Niemcom nowa, kilkunastotysięczna polska armja.

Polskie oddziały wojskowe na Wschodzie. Tymczasem za rosyjskim frontem powstały już przedtem liczne polskie wojskowe oddziały. Po wybuchu rosyjskiej rewolucji i po upadku carskiego tronu, między Polakami, służącymi w armji rosyjskiej, rozbrzmiało hasło: „Tworzyć własne, polskie wojsko!“. Nawoływali do tego przedewszystkiem członkowie Polskiej Organizacji

Wojskowej i ich to głównie dziełem były te coraz liczniejsze polskie oddziały za rosyjskim frontem. I tak w Kijowie zebrała się cała dywizja strzelców pod dowództwem pułkownika Żeligowskiego — w Mińsku utworzył generał Dowbor Muśnicki I korpus polski, na który złożyły się 3 dywizje piechoty, a także konnica i artylerja, razem około 10.000 żołnierzy — niedługo potem powstał na Ukrainie II-gi, później III-ci polski korpus, a nawet na dalekiej Syberji uzbierała się dywizja, zwana syberyjską.

68. ZMARTWYCHWSTANIE

Upadek potęgi niemieckiej. Chociaż Niemcy wojnę z Rosją wygrali, mimo to jednak zbliżali się szybko do upadku. Zaczęli ponosić klęski na froncie zachodnim, gdzie obok Francuzów i Anglików stanęły teraz, jako ich sprzymierzeniec, także Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Amerykanie wysyłali nie tylko coraz więcej wojsk, ale także nowych, nieznanych przedtem przyrzędów wojennych, jak np. czołgi, potężne opancerzone wozy, uzbrojone w działa i karabiny maszynowe, miażdżące wszystko po drodze i przechodzące łatwo przez takie przeszkody, jak kolczaste druty i strzeleckie rowy. Jakoż niedługo po zawarciu zwycięskiego pokoju z bolszewikami zaczęła się armja niemiecka wycofywać z Francji, w której od czterech lat walczyła, a w jesieni r. 1918 tak Niemcy, jak i Austriacy złożyli broń i poddali się zwycięzcom. Wtedy w Niemczech i Austrii wybuchły rewolucje, a ich władcy uciekli zagranicę.

Spełniły się nadzieje więzionego przeszło od roku Komentanta: wszystkie trzy zaborcze potęgi leżały w gruzach.

Najcudowniejszy, śniony przez tyle pokoleń polskich sen stał się rzeczywistością: rozdarta przed laty Niepodległa Polska wstała z martwych.

Wyzwolenie Krakowa. Pierwszy w Polsce uwolnił się od zaborcy Kraków. Stało się to w chmurny jesienny dzień r. 1918. Na ulicach pokazały się niewidziane od pół roku mundury polskich legionistów, którzy zatrzymują austriackich żołnierzy i zdzierają im z czapek t. zw. „bączki“, t. j. odznaki z początkową literą cesarskiego imienia. Wtem na ulicach zjawia się

muzyka kolejowych pracowników i wygrywa dziarskiego marsza; za nią postępuje oddział Polaków w austriackich mundurach, ale już z polskimi kokardkami na czapkach. Na czele kroczą oficerowie z podobnemi odznakami. Pochód dąży ku Rynkowi. Publiczność wpada w zapal.

— Do koszar! — rzuca ktoś hasło. — Uwolnić naszych chłopców!

I publiczność wpada do koszar, w których władze austriackie więziły legionistów. Tylko jakiś jeden porucznik stawia tłumowi opór, ale za chwilę wyrzucony wylatuje nagle na ulicę z gołą głową, bez szabli.

Tymczasem w budynku magistratu odbywają się narady komendy miasta z polską komisją, żądającą oddania władzy nad wojskiem w jej ręce.

Austriacki generał opiera się: mówi, że nie otrzymał od swoich władz rozkazu oddania komukolwiek komendy nad miastem.

Wtem u drzwi zjawia się spora garść oficerów z polskimi kokardkami u czapek. Są gotowi uwięzić całą austriacką komendę.

Ale do tego nie przyszło. Do pokoju wchodzi legionowy pułkownik R o j a. Ma na sobie mundur polski.

— Jako najwyższy stopniem oficer polski — mówi do Austriaków — obejmuję nad miastem komendę.

Przerażony generał tłumaczy, że mu nie wolno oddawać komendy, że musi na to otrzymać pozwolenie od ministra wojny, a przynajmniej od naczelnego dowództwa...

— Zapóźnie, panie generale — odpowiada Roja. — Jeżeli mi pan nie odda komendy, za pół godziny nastąpi nasz atak na magazyny broni!

Widząc swoją bezsilność, Austriacy poddają się. Tymczasem w rynku, na odwachu, zajęтым przez polskie wojsko, powiał sztandar z Białym Orłem. Muzyka kolejowa gra „Boże, Coś Polskę“. Tłumy wzruszonej publiczności stoją w skupieniu z odkrytymi na drobnym deszczu głowami. Przez cały czas odgrywania polskiego hymnu stoi jakiś austriacki generał wyprężony, trzymając rękę przy daszku pozbawionej bączka czapki.

Na drugi dzień cała zachodnia część Galicji, nazywanej od-tąd Małopolską, była aż po San wolna od obcego panowania.



Powrót J. Piłsudskiego 11 listopada r. 1918

Dzień 11 listopada w Warszawie. Niespełna w dwa tygodnie po uwolnieniu Krakowa przyjechał do Warszawy wypuszczony przez Niemców z Magdeburga Józef Piłsudski i objął naczelne dowództwo nad tworzącym się z byłych legjonów wojskiem polskim. Tymczasem Niemców w Warszawie rozbrajała P. O. W. przy pomocy publiczności; po przyjeździe zaś Komendanta resztki przynębionej załogi oddały mu broń, prosząc, by im pozwolono spokojnie powrócić do domu. Stało się to 11 listopada 1918 r. i tego to dnia Warszawa, a za parę dni całe Królestwo, były wolne od wojsk najeźdźnika.

Uwolnienie Wielkopolski. Tylko w Wielkopolsce Niemcy próbowali oporu. W czasie świąt Bożego Narodzenia Poznań oczekiwał przyjazdu wielkiego naszego rodaka, Ignacego Paderewskiego, sławnego w całym świecie artysty-muzyka i gorącego patrioty, który, przebywając podczas wojny zagranicą i żyjąc w przyjaźni ze znakomitymi cudzoziemcami, zdołał ojczystej sprawie oddać wielkie usługi i uzyskać uznanie niepodległości Polski przez rządy zwycięskich państw.

Kiedy w drugi dzień świąt pociąg przywiózł Paderewskiego i towarzyszących mu angielskich oficerów do Poznania, panowali tu jeszcze Niemcy. Był wieczór. Od dworca kolejowego aż do środka miasta ustawiała się szpalerem (dwoma rzędami) mło-



Ignacy Paderewski

dzień szkolna, skauci, liczne towarzystwa i cechy. Nagle, kiedy pociąg nadjechał na dworzec, zgasły wszystkie światła.

Była to sprawka Niemców, śmieszny figiel, który miał zepsuć Polakom ich uroczystość. Ale chybił celu, bo oto przed dworcem w rzędach młodzieży szkolnej, trzymającej w rękach pochodnie, zachybotwały się setki świateł i młodzież podbiega, by rozjaśnić dworzec.

Ku pociągowi zbliża się gromada żołnierzy

w niemieckich mundurach i porywa gości na ramiona.

— Czego chcą ci Niemcy? — pytają zaniepokojeni Anglicy.

— To nie Niemcy — słyszą odpowiedź — to Polacy, niedawni niemieccy żołnierze!

Niemcy pokazali się dopiero następnego dnia. Z nabitą bronią wkroczyli do środka miasta, zrywając po drodze i deptając sztandary zwycięskich państw, poczem padły strzały i zaczęła się walka. Nie trwała ona jednak długo; skończyła się już po paru dniach: odzyskał wolność Poznań, a wkrótce potem cała prawie Wielkopolska.

Przemożny dotąd wróg, który panował w tej ziemi przez sto kilkadziesiąt lat, ustąpił.

69. WALKI O DZIELNICE KRESOWE

Lwów. W skład nowego państwa polskiego weszły początkowo zaledwie drobne części dawnej Rzeczypospolitej. Poza obrębem Polski pozostały: Śląsk Cieszyński i Górný, Pomorze, ziemie na wschód od Niemna i Bugu, a nadto dawna Ruś

Czerwona czyli Galicja Wschodnia, zwana dziś Wschodnią Małopolską.

Jakoż zaraz po upadku Austrii rozpoczęły się walki o Lwów, oddany przez ostatniego namiestnika austriackiego Ukraińcom. Trzy tygodnie trwały ciężkie walki, staczane nie tylko przez legjonistów i polskich żołnierzy z armji austriackiej, ale także przez ludność cywilną, wśród której nie brakło młodzieży, kobiet, a nawet dzieci.

Raz zdarzyło się, że pułkownik, zwiedzający polskie stanowiska, zastał w pewnym budynku 12-letniego chłopca, odbywającego wartę przy rannych ukraińskich żołnierzach.

Chłopiec miał krótkie dziecinne spodenki i długie loki na głowie, ale zapytany z żartów przez pułkownika, czy był już w ogniu, odpowiedział śmiało, stając na baczność, jak nakazuje żołnierska karność — że był w 12 potyczkach, że przez 2 tygodnie bronił jednej z ulic i że razem z trzema starszymi kolegami zdobył karabin maszynowy.

Pułkownik, nie dając wcale poznać po sobie rozrzewnienia, które go ogarnęło, pochwalił chłopca i żartując zapytał go, dlaczego nie da sobie ostrzyć włosów: przecie to nie po żołniersku, nosić takie długie loki.

Na te słowa znikła dziarska mina 12-letniego żołnierza: zawstydzony, z trudem wykrztusił wreszcie odpowiedź, że on — nie śmie pójść sam do fryzjera, bo bez tatusia nigdy tam nie był...



Z obrony cytadeli we Lwowie



Zmiana warty we Lwowie w r. 1918

Po trzech tygodniach bohaterskich walk Polacy opanowali Lwów, ale pół roku upłynęło, zanim polskie wojska wyparły Ukraińców za Zbrucz i Karpaty.

Śląsk Cieszyński. Niespodziewanie przyszło też do walki z Czechami o Śląsk Cieszyński. Zaraz po rozpadnięciu się Austrii Polacy zawarli z Czechami umowę, według której prawie cały Śląsk Cieszyński miał przypaść Polsce. Graniczną stacją kolejową miał być *B o g u m i n*, który też został obsadzony przez jeden polski bataljon.

Nagle pewnego dnia na sąsiednią polską stację wpada jakaś niezapowiedziana lokomotywa.

Podbiega ku niej zdziwiony urzędnik ruchu.

— Skąd ta lokomotywa? — pyta się maszynisty.

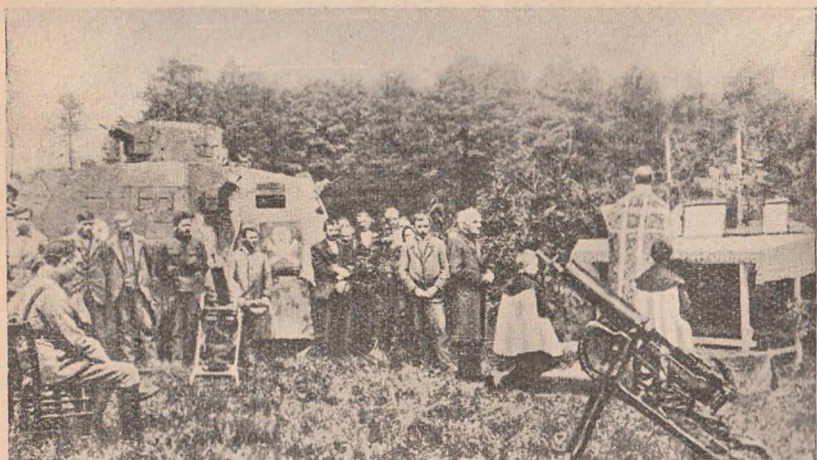
Z *Bogumina*. Wpadł tam silny oddział Czechów. Polski bataljon wycofał się. A lokomotywa stała w ogrzewalni, w której ją przygotowywano do drogi, paląc pod kotłem, aby wytworzyć potrzebną ilość pary. Jeszcze nie była nawet dobrze ogrzana, kiedy maszynista wskoczył na nią i wyjechał ze stacji wśród gradu kul, padających gęsto wślad za nim z czeskich karabinów.

Strzelano za nim gwałtownie, ale on cieszy się, że mu się udało sprzątnąć maszynę Czechom z pod nosa.

Zajęcie Bogumina przez Czechów wszczęło zacięte walki o Śląsk Cieszyński, przerwane wkrótce pośrednictwem zwycięskich rządów europejskich czyli koalicji (związku państw), która obiecała sprawę bezstronnie rozstrzygnąć. Ale Polska źle wyszła na tym sądzie: koalicja przyznała jej bowiem tylko mniejszą część Śląska Cieszyńskiego po rzekę Olzę, tak, że nawet miasto Cieszyn zostało podzielone na 2 części: polską i czeską. Podobnie też niekorzystnie dla Polski rozstrzygnęła koalicja sprawę Spiszu i Orawy, przydzielając nam tylko drobne ich skrawki, resztę zaś oddając Czechom. W ten sposób bardzo wielu naszych rodaków pozostało poza granicami państwa polskiego.

Górny Śląsk. Najdłużej przewlekały się spory o los Górnego Śląska. Ludność, nie mogąc doczekać się złączenia swej dzielnicy z Polską, parę razy chwyciła za broń. Wtedy państwa koalicyjne uspokajały ją obietnicami rychłego załatwienia sprawy, zwłokę zaś wyzyskiwali Niemcy i niezmordowanie przedstawiali rządowi koalicyjnemu Śląsk jako kraj czysto niemiecki.

W społeczeństwach zachodnich niewiele wiedzano o tym kraju. Raz, kiedy w parlamencie angielskim była mowa o Ślą-



Msza powstańców na Górnym Śląsku

sku, jeden z posłów zapytał ministra, dlaczego rząd Wielkiej Brytanji troszczy się tylko o los śląskich Polaków i Niemców, zapominając o tamtejszych Ormianach. Nazwa bowiem Śląska brzmi po angielsku podobnie, jak Cylicji, kraju w Małej Azji, w którym wówczas właśnie Turcy bez litości wycinali chrześcijańskich Ormian.

Niewiele też o Śląsku wiedziały koalicyjne rządy i wydawały różne rozstrzygnięcia, które następnie cofały, aż wreszcie, po powszechnem głosowaniu ludności śląskiej czyli plebiscycie, i po jeszcze jednym, zwycięskim powstaniu śląskiem przyznały ostatecznie Polsce dwa powiaty całe i części kilku innych, w czem znalazł się południowo - wschodni, najbogatszy obszar przemysłowo - górniczy.

Traktat wersalski. Układ pokojowy między państwami koalicyjnymi a Niemcami zawarty został w Wersalu pod Paryżem. Z wyjątkiem Górnego Śląska wyznaczył on Polsce takie mniej więcej granice, jakie Polacy zdobyli w walkach z Niemcami, a nadto Pomorze. Zajął je generał Haller, który następnie, dotarłszy na czele polskich wojsk do Bałtyku, wjechał ze swem otoczeniem konno w morze, biorąc je w posiadanie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

70. O PIERWSZYM NACZELNIKU NIEPODLEGŁEJ RZECZYPOSPOLITEJ

Nowe trudy. Nie na odpoczynek wrócił z magdeburskiego więzienia wódz legionów do Warszawy i zamieszkał w Belwedrze: czekał go tu ciężki trud piastowania najwyższej władzy w kraju, którą mu naród powierzył jako Naczelnikowi Państwa, a raczej jako budowniczemu, co z gruzów miał je napowrót dźwignąć do życia. Zaczął tedy Naczelnik obliczać wszystko, co zostało po wojennej pożodze, a coby się dało użyć do nowej budowy.

Rachunek, jak potem opowiadał, wprawiał go w rozpacz.

— Cóż miałem rachować? — mówił. — Czy łachmany, w które ubierałem żołnierza, posyłając go na bój pod Lwowem? Czy liczyć dziury w butach żołnierza, stojącego na warcie w mróz trzaskający? Czy obliczać niedoświadczenie młodego żołnierza,

posłanego na boje często bez znajomości karabinu, z którego miał strzelać? Czy liczyć depesze, donoszące z pod Lwowa o braku amunicji, o tem, że wystarczy jej zaledwie na dwie godziny boju?

Mijały tygodnie, a trudności przybywało coraz więcej. Do wojny z Ukraińcami przybyła druga, z Czechami o Śląsk Cieszyński, potem trzecia z Niemcami o Wielkopolskę, a tymczasem na wschodzie, na dawnym wojennym froncie, znajdowała się kilkaset tysięcy licząca armja niemiecka, mogąca każdej chwili zagrozić świeżo wskrzeszonemu państwu.

Pierwszy Sejm. Najbardziej jednak niecierpiącą zwłoki była sprawa stworzenia rządu i władz państwowych.

Zaraz po objęciu swej nowej godności Naczelnik Państwa wezwał do siebie jednego z legionowych oficerów, Jędrzeja Moraczewskiego, który stanął przed Komendantem wyprężony na baczność i stuknął ostrogami w żołnierskim ukłonie.

— Panie Jędrzeju! — rzekł Naczelnik Państwa. — Trzeba stworzyć rząd Rzeczypospolitej. Mianuję pana jego prezesem.



Otwarcie pierwszego sejmu Niepodległej Polski

Ma pan 24 godzin czasu do złożenia Rady Ministrów, poczem trzeba natychmiast przygotować zwołanie Sejmu.

— Rozkaz, Panie Naczelniku! — rzekł pierwszy w odrodzonej Rzeczypospolitej prezes Rady Ministrów i natychmiast wyszukał ludzi, którym porozdzielał czynności ministrów, a następnie wraz z nimi obmyślił sposób wybierania posłów do sejmu i zarządził wybory.

Jakoż już w parę miesięcy potem zgromadził się w Warszawie wybrany przez powszechne głosowanie Sejm. Naczelnik Państwa otworzył go czyli ogłosił początek jego obrad, a kiedy przedstawicielstwo narodu się ukonstytuowało, t. zn. urządziło, wybierając marszałka i jego zastępców a także sekretarzy, za parę dni później znów zjawił się w Sejmie i wstąpiwszy na mównicę, odczytał oświadczenie, że skoro zebrał się już pierwszy Sejm polski, tedy on, Naczelnik Państwa, oddaje swą władzę w ręce marszałka Sejmu.

Odczytawszy to oświadczenie, Józef Piłsudski opuścił salę obrad; Sejm jednak wśród burzliwych oklasków postanowił jednomyślnie powierzyć mu nadal władzę Naczelnika Państwa.

Władza Naczelnika Państwa. Nie była ona wielka. Tak zwana „mała konstytucja“, którą Sejm niebawem uchwalił, głosiła, że władzą ustawodawczą i zwierzchnią w Państwie Polskiem jest Sejm, że Naczelnik Państwa jest tylko przedstawicielem Rzeczypospolitej i najwyższym wykonawcą uchwał Sejmu, że wprawdzie należy do niego mianowanie ministrów, ale że bez zgody Sejmu nie może tego czynić i wreszcie, że tak Naczelnik Państwa, jak i ministrowie są odpowiedzialni przed Sejmem za to, jak wykonują rządy. Sejm zagarnął więc prawie całą władzę w swoje ręce, choć, niewprawny w rządzeniu, nie zawsze był zdolny do skutecznej pracy nad budową państwa.

Polska w rządzie innych państw. Najważniejszą sprawą narodową była teraz walka o niezłączone jeszcze z Rzeczpospolitą ziemie dawnej Polski i o utrwalenie jej granic. Dwie drogi wiodły do załatwienia tych spraw: jedna dyplomatyczna, t. j. przez układy z innemi państwami, drugą była wojna. Naczelnik Państwa użył ich obu. Zaraz na początku swych rządów zawiadomił wszystkie państwa o wskrzeszeniu Rzeczypospolitej i o przystąpieniu jej do koalicji, której przedstawiciele zgromadzili się w Wersalu, aby radzić nad ustaleniem nowego porządku świata.

Pięć zwycięskich mocarstw, t. j. Francja, Anglja, Włochy, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej i Japonja, zaprosiło Polskę na odbywającą się właśnie k o n f e r e n c j ę p o k o j o w ą, na którą to rząd wskrzeszonej Rzeczypospolitej wysłał 2 delegatów.

Jednym z nich był Ignacy Paderewski.

Organizowanie armji polskiej. Wśród krwawych walk ze wszystkimi prawie sąsiadami organizowała Polska swoją siłę zbrojną. Początkowo było to zaledwie dwadzieścia kilka tysięcy żołnierzy różnorodnych formacyj wojskowych, powstałych w różnym czasie i w różnych krajach. Ale nawet tej garści nie było w co odziać, ani czem uzbroić. Wiele więc nabiedził się Naczelnik Państwa, zanim wydobył tyle pieniędzy, by nietylko utrzymać to szczupłe początkowo wojsko, lecz aby je także znacznie powiększyć.

Wydany przezeń w parę tygodni po objęciu władzy rozkaz mobilizacyjny powołał pod broń członków Polskiej Organizacji Wojskowej, legjonistów i dawniejszych wojskowych Polaków z armij zaborecznych. Niedługo potem zaczęły do kraju wracać różne inne rozprószone po świecie formacje: przybyła z Francji armja Hallera, z Rosji wróciła dywizja Żeligowskiego, zamianowanego już generałem, z Syberji brygada syberyjska i wreszcie inne oddziały, a każdy z nich był uzbrojony inaczej, w karabiny to francuskie, to rosyjskie, to niemieckie, to wreszcie austriackie. Wszystkie formacje, choć pomnażały armję polską, przysparzały niemało trudu Naczelnemu Wodzowi, który musiał myśleć nawet o tem, jak pogodzić rozmaite rodzaje broni, wymagające rozmaitej amunicji.

71. ROK 1920

Požoga. Jak kiedy czasem pożar bezmiernego amerykańskiego stepu pędzi przed sobą wszelkie żywe stworzenie, a ono ucieka, w zgodzie obok siebie ptactwo, czworonogi, gady i płazy, tak owego lata nadbiegła do Warszawy fala wozów, bryczek i powozów, uwożących ludzi i garść ich mienia przed ciągnącą od wschodu bolszewicką pożogą.

Za uchodźcami cofał się polski front, który jeszcze parę

tygodni temu stał mocno długą linią od Dżisny nad Dźwiną na północy, aż gdzieś poza Kijów na południu.

— Gdzież nasze wojska? — pytali warszawianie uchodźców.

Nie wiedzą. Dawno ich nie widzieli. Przez polski front przedarł się G a j - C h a n na czele konnicy i idzie przed nim, siekąc, rabując i paląc. Dość, bywało, nocą z bryczki oglądać się za siebie, by dojrzeć luny pożarów. — Boże, zmiłuj się nad Polską! — wzdychali przerażeni przybysze z pod Mińska, Wilna czy Grodna.

Ale nietylko Polsce zagrażali bolszewicy zalewem krwi i ognia. Chcieli oni „przez trupa Polski“ przejść do Niemiec, by stamtąd ogniem rewolucji podpalić całą Europę. Taki rozkaz wydał ich naczelny wódz. Jeżeli ich Polska nie zatrzyma, jeżeli Warszawa padnie, nie będzie już miejsca w Europie, gdzieby się schować. Wszędzie będzie to samo: koniec ładu, prawa, bezpieczeństwa życia i mienia, poprostu koniec świata.

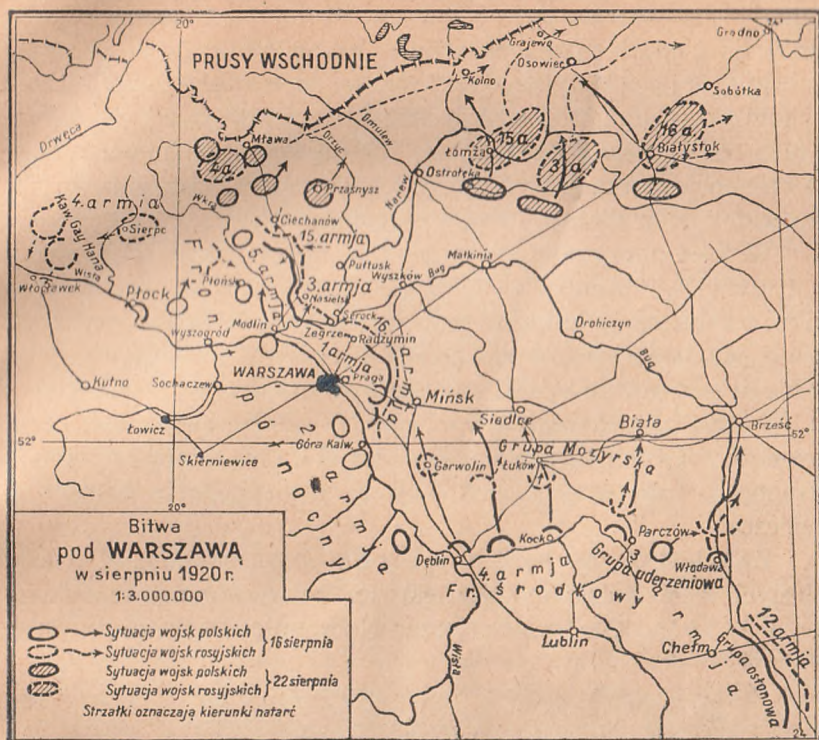
Przygotowanie do czynu. Upływa połowa lipca. W pałacu Saskim, w Ministerstwie Spraw Wojskowych, rozmawia Naczelnik Państwa z ministrem Sosnkowskim i z francuskim doradcą, generałem W e y g a n d e m.

Minister zdaje sprawę ze swoich czynności. Zgromadził całe nowe, potężne wojsko: 400.000 ludzi, w tem 80.000 ochotników, przeszło 20.000 koni, ponad 1000 kulomiotów i prawie 500 dział.

Naczelnik Państwa, zarazem naczelny wódz, zadowolony. Te świeże siły podnoszą nastrój armji, nadwątlony przez kilkutygodniowy odwrót. Także i w kraju nie widać upadku ducha. Zwątpiały żołnierz nabiera śmiałości widząc, że naród nie opuszcza rąk. Tylko Warszawa sprawia Naczelnikowi Państwa kłopot. Na co jej tych 10 dywizyj, które tu stoją, i taka potężna artylerja? Połowa tych sił wystarczyłaby na obronę stolicy, a drugą należałoby zabrać na południowe skrzydło, na rozstrzygające uderzenie. Jest tam tylko 5 dywizyj: śmiesznie to wygląda przeznaczać tu, na obronę, dwa razy tyle sił, co tam na działania zaczepne. A inaczej postąpić niepodobna, bo gdyby zabrać z pod Warszawy część wojsk, powstałby w mieście popłoch.

I Naczelnik Państwa wydał rozkazy, wybierając się do Dębli, skąd za 4 dni później uderzył na lewe rosyjskie skrzydło.

Ks. Skorupka. Tylko przez jeden rok pracował w pewnem gimnazjum warszawskiem młody ks. Ignacy Skorupka, a tak



pokochał swoich uczniów, że gdy wszyscy jego wychowankowie z dwu najwyższych klas wstąpili dobrowolnie do wojska, ks. prefekt przyłączył się do nich i niedługo znalazł się na froncie, o kilkanaście kilometrów na wschód od Warszawy.

O świcie oddział zerwał się na nogi. Powietrze drgało od huku armat. Oddział w żelaznych hełmach stanął w szeregach. Obok niego inne, ochotnicy i dawniejsi żołnierze. Ks. Ignacy odmówił modlitwę i przeżegnał swoich chłopców. Nadjechał dowodzący podwarszawskim frontem generał Haller, krótko przemówił i wydał komendę.

— Marsz! — powtórzyli oficerowie i oddział za oddziałem ruszał w las, w kierunku Ossowa. Ks. prefekt, czytając brewiarz (modlitewnik księdza), maszerował obok swoich uczniów. Skończył się las. Komenda i oddział staje, ładuje broń i nakłada bagnety. Znowu komenda i chłopcy rozsypują się w rzadką tyraljerę. Przed nimi Ossów, a z Ossowa rozlega się grzechotanie karabinów i wylatują gwizdzące roje kul. Chłopcy błędą, po-

stępują coraz nieśmielej. Wtem zaterkotały kulomioty. Krzyk komendy i oddział pada na ziemię. Kulomioty milkną. Chłopcy zrywają się i pędzą kilkanaście kroków; znów ten okropny terkot i znów przypadanie na ziemię. Ale za każdym podrywem kilku z nich bez komendy pada, by się już nigdy nie podnieść. Wtem ze wsi bucha wrzask wybiegających do ataku bolszewików. Na ten widok oddział staje i nagle poczyną uciekać.

W lesie oprzytomniał. Wtedy, jak opowiadają, ks. Ignacy, podtrzymując sutannę lewą ręką, z krzyżykiem w prawej, wysoko wzniesionej, zaintonował „Serdeczna Matko“ i wybiegł przed oddział. Razem z nim pada i znów się zrywa, aż wreszcie w biegu zakręca się i pada, już teraz na zawsze.

— Ks. prefekt zginął! — rozlega się bolesny krzyk jego uczniów i zapalony żądzą zemsty oddział z taką siłą rzucił się na wroga, że jego szeregi zachwiały się i rozprysły w beładnej ucieczce.

Zwycięstwo. Za parę dni obiegła świat wiadomość o tak niesłychanem polskiem zwycięstwie, że nazwano je *cudem nad Wisłą*. Oto rzucone przez Naczelnika Państwa dywizje



Walka przy użyciu czołgów

z taką gwałtownością uderzyły z nad dolnego Wieprza na lewe bolszewickie skrzydło, że w jednym dniu je rozbiły, a jego resztki zapędziły aż za Siedlce, zagrażając od tyłu podwarszawskiemu rosyjskiemu frontowi. Pękł tedy i rozsypał się, jak przerwany sznur paciorków: część uszła w górę wzdłuż Narwi, inna schroniła się za granicę pruską, a reszta, zmierzwiiona, wplątała się pomiędzy szybko następujące zwycięskie polskie dywizje.

Po tej klęsce bolszewicy przestali być groźni. Odrzuceni daleko na wschód, bronili się jeszcze czas jakiś, a wreszcie na początku r. 1921 zawarli w R y d z e, stolicy Łotwy, pokój, w którym przyznali Rzeczypospolitej jej dzisiejsze wschodnie granice.

Zwycięski wódz, Naczelnik Państwa Józef Piłsudski, na prośbę wojska przyjął tytuł m a r s z a ł k a, jakby dawnego polskiego hetmana.

72. O GRANICACH POLSKI I JEJ SĄSIADACH

Rodzaje granic. Na ścianie zawisła karta Polski z podwójnymi granicami: przedrozbiorowymi i dzisiejszemi. Widać z nich, że dawna granica Rzeczypospolitej sięgała na wschodzie i północy dalej, niż dzisiejsza. Częściowo także na zachodzie. Ale na Śląsku dzisiejsza wybiega nieco poza dawną: to przysądzony nam przez państwa koalicyjne ułamek tego kraju, odpadłego od Polski jeszcze za Kazimierza Wielkiego. A i koło Tatr widzimy zmiany: dziś należy do Polski część Orawy, której nie było w granicach dawnej Rzeczypospolitej, i zmieniła się także granica na Spiszu.

Ale dalej na wschód, Karpatami, biegnie ta sama linja, co dawniej. To granica n a t u r a l n a. Niełatwo ją przesunąć: to nie kopce, które trzeba było sypać na s z t u c z n y c h granicach: zachodniej i wschodniej.

Jeszcze jednak lepszą od gór granicą jest morze. Żadne góry nie mogą się z nią równać. Bo albo są niedostępne i wtedy dają wprawdzie podczas wojny bezpieczeństwo przed sąsiadami, ale podczas pokoju zamykają do nich dostęp naszym towarom, są więc n i e k o r z y s t n e, albo są łatwe do przebycia, więc k o r z y s t n e, ale wtedy znów nie dają bezpieczeństwa.

Powiedziałby ktoś, że przecie czy z towarami, czy z wielkiem wojskiem, każdemu łatwo przyjechać do nas morzem?

Tak. Tylko wylądować trudniej, jeżeli gospodarz tego kraju sobie tego nie życzy. Niechby w Gdyni chciał wylądować miljon ludzi z bronią i wojennym sprzętem. Czy odrazu wszyscy mogą wysiąść ze setek okrętów na ląd?

Nie; muszą to uczynić częściami, a małe oddziały niewielką siłą można łatwo zniszczyć.

Morze to najlepsza granica. Tylko że nasz brzeg morski krótki; tworzy zaledwie 40-tą część wszystkich granic Polski. Szczęśliwa Anglja, mająca tylko morską granicę, także i Francja, której połowę granic tworzą morskie brzegi, a nawet Niemcy, bo morze stanowi przeszło trzecią część ich granic.

Granica południowa. Z lądowych granic najbezpieczniejsza jest karpacka. Wprawdzie poza Tatrami, skalistemi i stromemi, wszędzie w Karpatach można od biedy wyjechać wozem, ale od zakarpackich sąsiadów nie nam nie grozi. Są to Czesi i Słowacy, tworzący republikę C z e c h o - S ł o w a c k ą, nasi najbliżsi krewni. Niczego im Polska nie wzięła; owszem na czeskim Śląsku tuż za naszą granicą, znajduje się kilkadziesiąt wsi, zaludnionych Polakami. Granica biegnie grzbietem Karpat, między lasami i trawiastemi halami. Piękny to kraj ten, na południu od Karpat. Góry zasłoniły go od północy, więc cieplej tam, niż u nas, lasy bujniejsze i więcej w nich drzew liściastych.

W Czarnohorze dochodzimy do granicy drugiego sąsiada, królestwa R u m u n j i. Biegnie ta granica rzeką Czeremoszem do Prutu, a potem jarem Dniestru do ujścia Zbrucza. Na ścianach jaru widać winnice i morelowe sady, za granicą pola, obsiane kukurydzą, choć żyzna ziemia rodzi także wiele pszenicy. To nasi sprzymierzeńcy, pokrewni Włochom i Francuzom, połączeni z Polską niebezpieczeństwem, grożącym obu państwom od wspólnego wschodniego sąsiada.

Wschodnia granica. Jar Zbrucza wżarł się głęboko w płytę podolską i towarzyszy granicy polskiej aż prawie do źródeł tej rzeki. Za nią, na wschodzie, reszta tej samej płyty, taksamo pociętej równoległemi jarami dopływów Dniestru, i taksamo bezleśnej. Dopiero na północnej krawędzi płyty zjawiają się lasy. Tam w okolicy Krzemieńca i Ostroga przecinamy dwa razy Horyń, potem raz Słucz; kraj, zrazu pagórkowaty, staje się

plaski, wilgotnieje, porasta olszyną, brzozą i łożyną, aż wreszcie spada w bagna, przez które między suchszemi lasistemi kępami leniwie snuje się Prypeć i jej dopływy. Tu woda panuje nad ziemią. Często wytryska z pod nóg przechodnia i biada mu, gdy zlekceważy przestrogę: po kilku krokach zapadnie się bez śladu w bezdni grząskiego bagna.

Na północ kraj znów się podnosi i porasta sosną. Przecho-
dzimy przez źródłiska Niemna, omijamy obrębione szuwarami jeziora płyty litewskiej i dochodzimy do Dźwiny, północnego krańca naszej długiej wschodniej granicy.

Za nią państwo, jedno z największych na świecie. Zaległo prawie pół Europy i całą północną Azję, razem przestrzenie dwa razy większe od naszej części świata, a liczy 5 razy tyle ludności, co Polska. Jest to dawna Rosja, dziś Związek Socjalistycznych Republik Rad (Z. S. R. R.), bo według tamtejszego ustroju republikami, należącemi do związku, rządzą rady chłopskie i robotnicze. Polska sąsiaduje z dwiema z nich: na północy od Prypeci z Białorusią, na południu z Ukrainą.

Granica, dzieląca nas od nich jest dość obronna: jeziora płyty litewskiej, bagna Prypeci, jary podolskie. Gdzie niegdzie porobiono zasieki i płoty z koleczastych drutów, zresztą czuwa tam Korpus Ochrony Pogranicza, a w dodatku Polska układem, zawartym niedawno ze Związkiem, zabezpieczyła sobie pokój przynajmniej na 10 lat.

Granica północna i zachodnia. Od Dźwiny ku południowemu zachodowi graniczymy z pokrewną Litwinom Łotwą. Granica niegroźna: z Łotwą, jak i z Rumunją, łączy nas wspólny przeciwnik, Związek Socjalistycznych Republik Rad. Nie można tego powiedzieć o Litwie, republice 10 razy mniejszej od Polski; rości sobie ona prawa do Wilna, kiedyś stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego i uważa się za pokrzywdzoną przez Polskę.

Ale najwięcej trosk przysparza naszym politykom i wodzom granica niemiecka, przecięta przez nasze Pomorze na dwie części. Północna, stara nasza granica od Prus jest oddalona od Warszawy mało co więcej, niż o 100 km, zaś zachodnia, tylko na płycie Pomorskiej wzmocniona nieco jeziorami, przedstawia dla nas duże niebezpieczeństwo, obejmując, jak kleszczami, całą zachodnią Polskę. Za niemiecką granicą mieszka wielu Polaków,

ale panuje tam naród, dwa razy liczniejszy od ludności naszej Rzeczypospolitej, naród pracowity i oszczędny, oświecony, posłuszny swej władzy, a na polskie Pomorze patrzący, jako na swoją krzywdę.

Ale narazie możemy być spokojni: nasz rząd, jak ze Związkiem Rad, tak i z Niemcami zawarł układ, którym Polska i Niemcy zabezpieczają sobie wzajemnie nienaruszalność dzisiejszych granic.

73. O URZĄDZENIACH RZECZYPOSPOLITEJ

Praca nad konstytucją. Nielatwe zadanie czekało posłów pierwszego sejmiku odrodzonej Rzeczypospolitej, który miał wypracować ustrój nowego państwa.

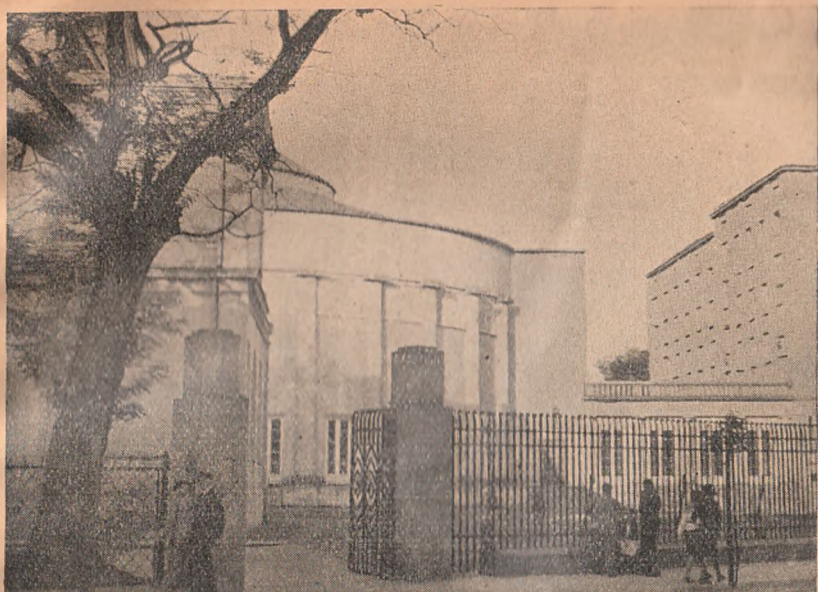
Przedewszystkiem sejmowi brakowało doświadczenia: niewielu posłów wiedziało, co i jak mają robić.

Czy nie wystarczyło więc poprostu przepisać którą z dawnych konstytucyj, np. 3 Maja, Księstwa Warszawskiego albo Królestwa Kongresowego?

Nie. Posłowie rozumieli, że owe, dobre w swoim czasie konstytucje, nie nadają się do dzisiejszego życia narodu, podobnie, jak nie nadaje się dziś strój z przed 100 lat, albo sposób podróżowania ówczesnym pocztowym dyliżansem. Zamiast więc naśladować dawne polskie ustroje, sejm szukał wzoru w obcych, ale nowych — i znalazł go we Francji.

Ale upływały miesiące, minał rok i wreszcie drugi, zanim, w r. 1921, konstytucja została wypracowana i uchwalona: nie ułatwiała bowiem sejmowi pracy ani wojna, którą przez cały ten czas Rzeczpospolita prowadziła to z jednym to z drugim sąsiadem, a niekiedy nawet równocześnie z kilkoma — ani swary licznych po wojnie światowej stronnictw, z których każde usiłowało narzucić narodowi inne urządzenie.

Republika. Prezydent. Konstytucja ustanowiła dla naszego państwa formę rządów republikańską. Jesteśmy więc republiką, podobnie jak Francja, na której czele stoi także, jak i u nas, Prezydent. Wybiera go co 7 lat Zgromadzenie Narodowe, t. j. Sejm i Senat, razem połączone. Ale konstytucja przyznała mu niewiele władzy; o wiele mniej, niż jej ma prezydent francuski. Nie dała mu nawet prawa usuwania nieodpowiednich urzędni-



Gmach Sejmu

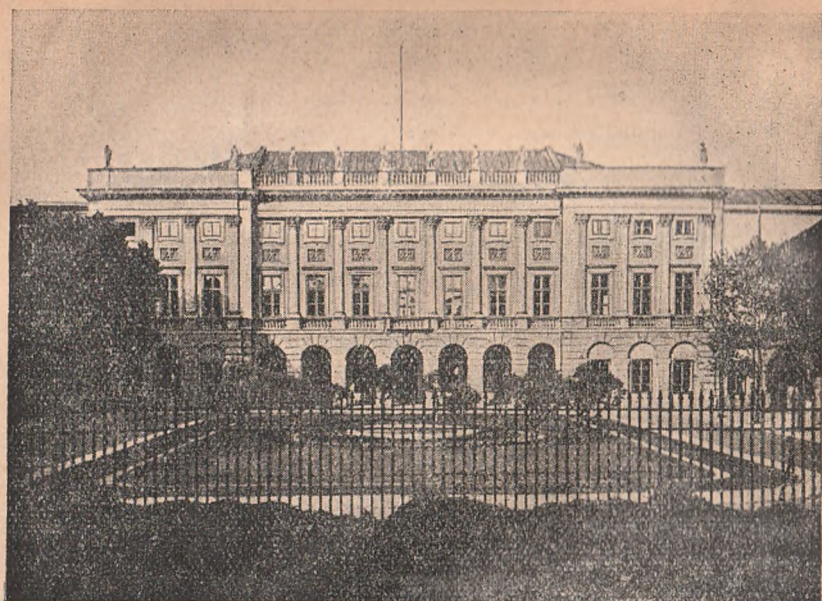
ków: poprostu zostawiła mu niewiele więcej ponad podpisywanie postanowionych przez kogo innego zarządzeń.

Sejm i Senat. Konstytucja nie oddała tedy rządów Prezydentowi. Któż je więc objął? Oto ten, kto uchwalił konstytucję: Sejm.

Składa się on z 444 posłów, wybieranych przez pełnoletnich obywateli obojga płci. Należy do niego uchwalanie nowych ustaw czyli ustawodawstwo i nakładanie podatków. Pozatem Sejm ustala liczbę wojska, zezwala ministrowi Spraw Wojskowych na pobór rekruta, rozdziela dochody z podatków na różne potrzeby państwa i nadzoruje całą gospodarkę państwową.

W tem wszystkiem pomaga mu Senat, złożony z 111 senatorów, których wybierają obywatele, liczący przynajmniej 30 lat wieku — razem zaś ze Senatem tworzy Sejm Zgromadzenie Narodowe, które wybiera Prezydenta Rzeczypospolitej.

Nadto Sejm przyznał sobie także prawo stanowienia o ministrach i ich urzędnikach, czyli o władzy wykonywania ustaw.



Gmach Rady Ministrów

Mianowicie najsilniejsze stronnictwa w Sejmie, to znaczy te, które miały najwięcej posłów, łączyły się ze sobą i wyznaczały rząd, t. j. ministrów, a ci musieli rządzić tak, jak sobie życzyły stronnictwa, które im władzę dały i mogły ją odebrać.

W ten sposób w Polsce nastały na kilka lat rządy Sejmu.

Władza wykonawcza. Wszyscy ministrowie razem tworzą Radę Ministrów, a jeden z nich w niej przewodniczy i nazywa się jej prezesem albo premierem. Każdy z nich jest naczelnikiem jednego działu w zarządzie państwa: np. minister Spraw Wewnętrznych jest najwyższym przełożonym wojewodów, zarządzających każdy swoim województwem, ci zaś wydają rozkazy powiatowym starostom, a starosta dogląda porządku w powiecie: w miastach, na których czele stoją burmistrzowie i w gminach wiejskich, którymi zarządzają wójtowie.

Władza sądowa. Nad sądownictwem Rzeczypospolitej zwierzchnikiem jest minister Sprawiedliwości. Ale ani on, ani nikt nie ma prawa nakazywać sędziemu, jak ma sądzić: sędziowie bowiem są w wydawaniu wyroków od nikogo niezależni.

leżni i sądzą tylko według prawa i własnego sumienia. Jeżeli zaś ktoś uważa się za pokrzywdzonego przez wyrok, który otrzymał w sądzie, może się odwołać do sądu wyższego. Cztery są bowiem stopnie sądów, a mianowicie: sądy grodzkie, okręgowe, apelacyjne i wreszcie Najwyższy Sąd w Warszawie.

Prawa i obowiązki obywateli. Wszystkie te urządzenia są stworzone dla dobra obywateli. Możemy więc być spokojni o nasze życie czy mienie, czuwają bowiem nad nimi prawa Rzeczypospolitej i jej policja. Jesteśmy wszyscy równi wobec prawa, to znaczy, że niema innych praw dla tego, a innych dla tamtego stanu: nie może nam też nikt odebrać naszej osobistej wolności, to znaczy uwięzić nas bez sądowego nakazu. Chyba, gdybyśmy popełnili jakąś zbrodnię; wtedy policja ma prawo uwięzić winowajcę, nie czekając polecenia sądu. Bronią nas nasze prawa jako obywateli Rzeczypospolitej. Ale nikt nie może cieszyć się prawami, nie dźwigając za to obowiązków. Państwo musi utrzymywać urzędy, sądy, zakładać szkoły, budować drogi, opłacać policję, która strzeże naszego spokoju — a stąd wynika obowiązek płacenia przez obywateli podatków.

Gdyby jednak wróg wdarł się do kraju, wtedy policja nie wystarczyłaby dla zapewnienia nam bezpieczeństwa, wtedy musielibyśmy iść sami bronić kraju — i to jest drugi obowiązek obywatela: podatek krwi, obowiązek służby wojskowej.

Czy na obywatelu nie ciążyą inne jeszcze obowiązki wobec państwa?

Owszem. Rzeczpospolita jest wspólnem dobrem wszystkich obywateli, podobnie, jak rodzinny dom jest dobrem wszystkich członków rodziny — sam więc rozsądek nakazuje nam pracować zawsze ku pożytkowi państwa, a nigdy na jego szkodę.

74. O PREZYDENCIE RZECZYPOSPOLITEJ

Wybór. Na wiosnę roku 1926 zeszli się w gmachu sejmowym w Warszawie posłowie i senatorowie na wspólne posiedzenie czyli na Zgromadzenie Narodowe, które miało dokonać wyboru trzeciego już Prezydenta Rzeczypospolitej.

Posiedzenie otworzył Marszałek Sejmu, który też objął przewodnictwo na niem.



Prezydent Ignacy Mościcki

W myśl przepisów konstytucji prezydentem został wybrany ten z kandydatów, który otrzymał bezwzględną większość głosów (więcej niż połowę) w jawnym głosowaniu.

Był nim Ignacy Mościcki, uczony i profesor Politechniki Lwowskiej.

Zaprzysiężenie. W parę dni potem o godzinie 12 w południe, na zaproszenie Marszałka Sejmu, wszedł nowo wybrany Prezydent do wielkiej sali na Zamku królewskim, gdzie oczekiwali go członkowie Zgromadzenia Narodowego, ministrowie, przedstawiciele obcych państw oraz najbliższa rodzina nowoobranego.

Na zapytanie Marszałka Sejmu oświadczył prof. Mo-

ścicki, że przyjmuje godność Prezydenta, a potem złożył następującą przysięgę:

„Przysięgam Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynek, i ślubuję Tobie, Narodzie Polski, na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej, który obejmuję: praw Rzeczypospolitej, a przede wszystkim Ustawy Konstytucyjnej święcie przestrzegać i bronić; dobru powszechnemu Narodu ze wszystkich sił wiernie służyć; wszelkie zło i niebezpieczeństwo od Państwa czujnie odwracać; godności imienia polskiego strzec niezachwianie; sprawiedliwość względem wszystkich bez różnicy obywateli za pierwszą mieć sobie cnotę; obowiązkom urzędu i służby poświęcić się niepodzielnie. Tak mi dopomóż Bóg i Święta Syna Jego Męko! Amen!“

Słowa przysięgi odczytywał Marszałek Sejmu, a nowoobрани Prezydent powtarzał je za nim, trzymając lewą rękę na Konstytucji, a dwa palce prawej ręki wzniosłszy do góry. Gdy przebrzmiały słowa przysięgi, rozległ się gromki okrzyk na sali:



Zamek królewski

„Niech żyje Prezydent Rzeczypospolitej!“, a Pan Prezydent skierował kroki ku innej sali, zwanej „Marmurową“, aby podpisać akt objęcia najwyższej godności w państwie. W tej chwili ustawiona na brzegu Wisły baterja oddała 21 strzałów armatnich, a jednocześnie zawieszono na Zamku amarantową chorągiew z Białym Orłem pośrodku. Nastąpiło składanie życzeń przez członków Rządu i przedstawicieli państw obcych, poczem Pan Prezydent udał się na dziedziniec zamkowy, gdzie odbyła się defilada wojskowa, która tę uroczystość zakończyła.

Zwiększenie władzy Prezydenta. Mała jednak była pierwotnie władza Prezydenta; bez porównania mniejsza, niż władza Sejmu. To okazało się szkodliwem dla państwa. Zgubne zwłaszcza było prawo Sejmu obalania Rządu zwykłą większością głosów. Sejm bowiem często korzystał z tego prawa, tak często, że Rząd zmieniał się przeciętnie dwa razy w roku i nierzadko minister nie miał nawet czasu, by się należycie zaznajomić z pracą, którą objął po swoim poprzedniku. Tedy Marszałek Józef Piłsudski, który w jakiś czas po uchwaleniu Konstytucji usunął się był w zacisze domowe, wszedł w r. 1926 do Rządu, zrazu jako Prezes Rady Ministrów, a następnie jako Minister Spraw Wojskowych, i przeprowadził w Sejmie zmianę Konstytucji w celu wzmocnienia władzy Prezydenta Rzeczypospolitej. Odtąd Pre-

zydent ma prawo rozwiązać Sejm, a nadto — w razie nagłej potrzeby — wydawać ustawy bez uchwały Sejmu. Nie może jednak zmienić Konstytucji, wypowiedzieć wojny ani zawrzeć pokoju; prawa te przysługują tylko Sejmowi i Senatowi.

Inne uprawnienia Prezydenta. Prezydent stoi na czele rządu; sprawuje go jednak nie osobiście, lecz przez ministrów. Mianuje Prezesa Rady Ministrów, a na jego wniosek także wszystkich innych ministrów. Odbywa z nimi narady i w ten sposób wpływa na bieg spraw państwowych. Nadto mianuje sędziów i posiada t. zw. prawo łaski, t. j. może darować lub złagodzić karę, którą wyznaczył sąd swoim wyrokiem, np. karę śmierci może zamienić na karę więzienia. Jest on także najwyższym zwierzchnikiem siły zbrojnej państwa; w czasie wojny jednak mianuje naczelnego wodza na wniosek Rady Ministrów. Wreszcie jako najwyższy zwierzchnik Państwa jest Prezydent jego przedstawicielem wobec zagranicy; przyjmuje tedy posłów obcych państw i wysyła do nich przedstawicieli Polski.

Dożynki w Spale. Tłumnie i wesoło bywa w Spale, letniej rezydencji Prezydenta, w dniu święta dożynek, urządzanego po żniwach każdego roku przy napływie tysięcznych rzesz ludu z całej Polski. Od ubranych w rybackie kurtki nadmorskich Kaszubów aż do białoopiętych Podhalan i kolorowo odzianych Huculów, wszystkie ziemie Polskie wysyłają delegacje w odświętnych ludowych strojach, aby złożyć hołd najwyższemu Gospodarzowi Rzeczypospolitej. Po rannem nabożeństwie przychodzą barwne gromady z wieńcami zbóż przed ganek pałacu, również ubrany snopami zboża, poczem następuje zabawa z muzyką, tańcami i śpiewem. Pomiedzy rozbawione tłumy schodzi Pan Prezydent, ze wszystkimi rozmawiając i dopytując się o ich rodzinne strony. Tak mija przedpołudnie, zaczem wszystkie gromady zasiadają do zastawionego pod gołem niebem obiadu, którym je przyjmuje gościnny Gospodarz. Pod wieczór drugi pochód przed ganek, gdzie do Pana Prezydenta, siedzącego w otoczeniu najstarszych delegatów, ministrów i obcych posłów, podchodzi każda delegacja i po przemówieniu swego przedstawiciela składa przed Gospodarzem wieniec; po złożeniu wszystkich wieńców Pan Prezydent łamie się z delegatami chlebem i wypija z nimi kubek miodu. Aż do wieczora trwają tańce i zabawy w pałacowym parku, poczem goście zaczynają się rozjeżdżać.

75. ODBUDOWA POLSKI. GDYNIA

Odwrót Rosjan. Przez kilka lat szalejąca na ziemiach polskich wojna szerzyła nietylko śmierć, ale i zniszczenie. Niszczyły zaś kraj zarówno wojska rosyjskie, jak austriackie i niemieckie.

„Palić, wysiedlać, zostawić tylko pustynię!“ — taki rozkaz wydały władze rosyjskie swojej cofającej się przed Niemcami armji. Jakoż Rosjanie, opuszczając Królestwo, starali się zostawić po sobie kraj pusty i zniszczony. Przemocą usuwano ludność wsi i miast z domów i z dymem puszczano całe osady ludzkie, ich mieszkańców zaś wysiedlano w głąb Rosji. W pewnym miasteczku podpalono kościół, a gdy się go ogień nie chwycił, trzykrotnie podsycano go naftą, byle tylko nie zostawić za sobą niezniszczonego budynku.

Rządy okupantów. Nie lepiej było, gdy ziemie polskie opawali Niemcy. Kraj podzielono na dwie części: większą niemiecką i mniejszą austriacką. Granica między nimi biegła mniej więcej Pilicą, tak więc, jak niegdyś po trzecim rozbiórce między zaborem austriackim a niemieckim. Rządy w nich objęli dwaj generał-gubernatorzy (główni zarządzający) i zaczęli ogołacać kraj ze wszystkiego, co miało jakąś wartość. Rekwirowali tedy czyli zabierali żywność nietylko dla wojska w kraju, ale i na wysyłkę do Niemiec, wycinali lasy i wywozili drzewo, zabierali wszelkie miedziane i mosiężne przedmioty, nawet klamki od drzwi i kościelne dzwony, potrzebne im jako materiał do odlewania dział, niszczyli przemysł polski, rozbierając na części maszyny, wywożąc je z kraju i unieruchamiając w ten sposób fabryki, i opanowywali handel, oddając go w ręce niemieckich spółek.

Do tego umyślnego pustoszenia kraju przez Moskali, Austriaków i Niemców należy dodać zniszczenie, spowodowane działaniem wojennem. Znikały od pożarów całe wsie, niszczały uprawne pola, ryte przez armatnie pociski, armje nieprzyjacielskie, opuszczając kraj, psuły drogi i wysadzały mosty. Setek milionów sięgała wartość zniszczonych i spalonych budynków mieszkalnych i zabudowań gospodarczych, a wszystkie straty i szkody wojenne obrachowano w Polsce na kilkadziesiąt miliardów złotych!

Odbudowa. Po wyrzuceniu wrogów i ustaleniu granic zajęły się władze polskie odbudową kraju. Naprawiono drogi i mosty, odbudowano spalone albo zrujnowane gmachy urzędów i władz państwowych, a uboga ludność otrzymała kredyt i drzewo na odbudowę zniszczonych domów mieszkalnych i zabudowań gospodarczych.

Rząd nie ograniczył się jednak do odbudowy tego, co wojna zniszczyła. Owszem, tworzył nowe wartości: zakładał fabryki, wznosił gmachy publiczne. Największemi z tych dzieł są trzy następujące: fabryka przetworów chemicznych w Mościcach pod Tarnowem, która w czasie pokoju wytwarza potrzebne dla rolnictwa nawozy sztuczne, a w czasie wojny może dostarczyć potrzebnych do obrony materiałów gazowych — wielka linja kolejowa, łącząca Górny Śląsk z Gdynią — i port w Gdyni.

Port w Gdyni. Na podstawie wersalskich układów pokojowych i późniejszych umów Polska ma prawo korzystać z portu Wolnego Miasta Gdańska. Ale port gdański za mały, aby mógł pomieścić wszystkie okręty, które już to wywożą polskie towary zagranicę, już to przywożą cudze do kraju. Gdy zaś nadto ludność gdańska odnosi się do Polaków wrogo, tak, że podczas wojny z bolszewikami nie przepuszczono nawet przez Gdańsk amunicji przeznaczonej dla Polski, tedy nasz rząd, chcąc krajowi na zawsze zapewnić wolną morską drogę, wcześniej przystąpił do budowy własnego wielkiego portu.

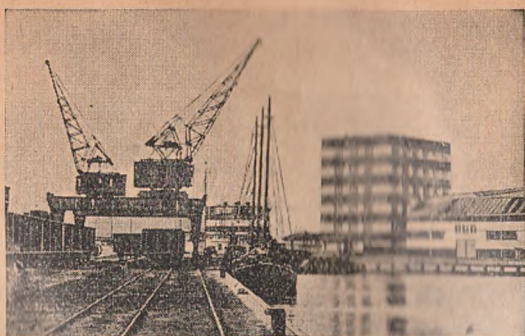
Zaroilo się więc pewnego dnia od ludzi i ciężarowych samochodów w Gdyni, małej wówczas, cichej rybackiej osadzie, i zawrzała tam gorączkowa praca. Umyślnie na ten cel zbudowane statki zaczęły wydzierać dno płytkiego wybrzeża, aby przygotować kotliny czyli baseny, do którychby mogły zawijać największe oceaniczne okręty — rzuconemi na prędkie kolejkami potoczyły się wózki z materiałem na budowę potężnego muru, zwanego łamaczem fal, którego zadaniem jest ochrona spokojnego zwierciadła portu przed wściekłością wzburzonego morza — zakrzętnęły się gromady robotników około budowy pomostów, ułatwiających dostęp do okrętów a na lądzie wyrastały potężne składy, magazyny i przemysłowe zakłady, jak wielka łuszczaźnia ryżu, sprowadzanego z ciepłych krajów w stanie nieprzygotowanym do handlu i dopiero u nas uwal-

nianego od przyro-
słych do ziarna lu-
sek.

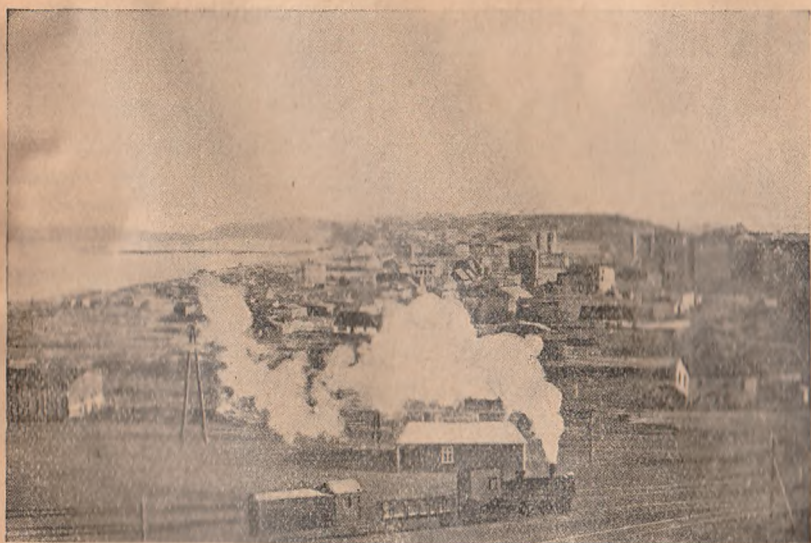
Niemaló więc
natrudził się inży-
nier Eugenjusz
Kwiatkowski,
przez kilka lat pia-
stujący urząd mini-
stra handlu i prze-
mysłu, którego to
głównie dziełem jest
wyrosła jak z pod

ziemi Gdynia. Wygodne baseny, osobne dla statków, rozwożących
węgiel, dla rybaków, dla okrętów wojennych i innych, potężne
dźwignie i żórawie, przenoszące całe kolejowe wozy razem z ładunkiem z brzegu na statki, liczne wspaniałe budynki i kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców — oto dzisiejsza Gdynia, 3-ci port co do wielkości na Bałtyku, a 14-ty na świecie, ciągle rozszerzający się i wzrastający z każdym rokiem.

Ruch handlowy. Letniska. Przez Gdynię prócz węgla, który zajmuje pierwsze miejsce w wywozie towarów, wysyła Polska



Gdynia, basen portowy i łuszcarnia ryżu,
na lewo u góry 2 żórawie



Ogólny widok Gdyni

cukier, bekony (mięso wieprzowe), wyroby z drzewa, sztuczne nawozy, szyny kolejowe, odzież i t. p., przywozi zaś rudy żelaza, potrzebne dla śląskich hut, maszyny, bawełnę, wyroby włókniste, owoce, ryż, śledzie i t. d.

Z każdym rokiem wzrasta flota handlowa tak co do ilości statków, jak co do ich pojemności czyli wielkości i wypływa na pełne morze pod polską banderą, na której na biało - czerwonym polu widnieje Orzeł Biały.

Ale nie tylko dla celów żeglugi wykorzystano polskie wybrzeże morskie. W Gdyni i we wielu miejscowościach na wybrzeżu powstały liczne kąpieliska morskie, do których w porze letniej przybywa ludność całej Polski, co tamtejszym mieszkańcom przynosi wiele zarobku.

76. POLSKA A INNE PAŃSTWA ŚWIATA

Stosunki międzynarodowe. Kiedy Polska odzyskała niepodległość, zaczęły do Ministerstwa Spraw Zagranicznych napływać pisma z całego świata. Pochodziły one jużto od Polaków, przebywających gdzieś daleko za granicami swego państwa, którzy ministra prosili o opiekę nad sobą — jużto od rządów obcych państw, pragnących uregulować handel z Polską i prawa ich obywateli, przebywających w Rzeczypospolitej.

Jakoż Polska pozawierała z licznymi państwami przyzymierza i układy, a nasz Rząd potworzył w wielu obcych stolicach przedstawicielstwa Rzeczypospolitej, zwane ambasadami względnie poselstwami, które tam chronią naszych obywateli i nasze interesy handlowe i strzegą zgodnego współżycia między narodami.

Przymierza i układy. Pierwsze państwa, z którymi porozumiała się wskrzeszona Polska — to Francja i Rumunia.

Z Francją oddawna łączyła nas przyjaźń, to też, gdy Polska odzyskała niepodległość, oba państwa zawarły ze sobą przymierze, aby zapewnić sobie wzajemną pomoc przeciw wspólnemu sąsiadowi, Niemcom. Przez kilka lat bowiem Niemcy często i dosadnie głosili roszczenia do krajów utraconych po wielkiej wojnie na rzecz Polski i Francji i uparcie domagali się t. zw. rewizji (ponownego badania i zmiany) granic: chcieli mianowicie oderwać od Polski Górny Śląsk, a zwłaszcza Pomorze,

zwane przez nich „gdańskim korytarzem“. Te zaborcze dążenia niemieckie sprawiły, że Francja i Polska zawarły ścisłe przymierze, zabezpieczające obu państwom ich granice.

W Rumunji znalazła Polska poparcie przeciwko Związkowi Republik Rad. Między Rumunią bowiem a Związkiem trwa spór o Besarabję, która przez dłuższy czas należała do Rosji, a którą po ostatniej wojnie zajęli Rumuni.

Zawarła też Polska przyjaźń z Łotwą, Estonją i Finlandją, młodemi państwami nad morzem Bałtyckiem, które powstały na gruzach cesarstwa rosyjskiego, a którym także grożą zaborcze dążenia wielkiego wschodniego sąsiada.

Pozatem pozawierała Polska układy handlowe z największymi potęgami świata: Wielką Brytanią, Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej, Włochami, Japonją i prawie wszystkimi innemi państwami na kuli ziemskiej.

Pakty o nieagresji. Ale nie zaniedbywała Polska również sposobności, aby porozumieć się z Niemcami i Rosją i dzięki zabiegom naszego ministra spraw zagranicznych zawarła układ z Niemcami, zwany paktem o nieagresji (układem o nienapadaniu na siebie), w którym oba państwa zobowiązały się wszelkie spory i zatargi załatwiać między sobą pokojowo. Układ ten zapewnia obu stronom wiele korzyści, zwłaszcza handlowych, wzmagając obopólny ruch towarów, zresztą zawsze bardzo duży, jak zwykle między sąsiadami.

Podobny pakt o nieagresji zawarła przedtem Polska z Rosją, z którą w ostatnich latach weszła w porozumienie.

Liga Narodów. Spowodowane wojną światową nieobliczalne straty, owe dziesiątki milionów trupów i kalek, zniszczenie niesłychanie wielkiej wartości przeraziło narody i opamiętało je. Rządy ich zaczęły się naradzać nad sposobami zapobiegania wojnom w przyszłości i wreszcie na wniosek Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Wilsona, powstał związek państw, zwany Ligą Narodów.

Ma ona na celu, jak głosi jej statut, uchwalony wraz z traktatem pokojowym w Wersalu, „współdziałanie narodów i zapewnienie im pokoju i bezpieczeństwa“. To też państwa, które wchodzi w skład Ligi, przyrzekły sobie, że wszelkie spory i zatargi między sobą będą załatwiały pokojowo i będą

szanowały „wszystkie zobowiązania, przyjęte w układach międzynarodowych“ czyli wszystkie pozawierane między sobą układy i przymierza.

W ten sposób świat, ciężko doświadczony straszliwemi klęskami wielkiej wojny, wszedł na drogę upragnionego przez całą ludzkość pokoju.

Ogólne Zgromadzenie Ligi, w którem biorą udział przedstawiciele wszystkich państw do niej należących, zbiera się rzadko, ale parę razy do roku zjeżdża się Rada Ligi Narodów, złożona z delegatów kilkunastu państw, która rozpatruje i załatwia wszystkie sprawy, dotyczące pokoju świata.

Siedzibą Ligi Narodów jest Genewa w Szwajcarii.

Polska w Lidze Narodów. Polska oddawna zajmuje się pilnie wszystkim, nad czem pracuje Liga i wchodzi w skład jej Rady. Przed kilku laty zgłosiła przez swojego przedstawiciela na Radzie Ligi wniosek, który potępił wojnę, i domagał się, aby wszystkie spory między narodami, nawet temi, które do Ligi nie należą, były pokojowo przez Ligę załatwiane. że zaś Polska szczerze pragnie pokoju i jej przedstawiciele w Radzie Ligi wytrwale pracują nad jego utrwaleniem, tedy na jednym z niedawnych posiedzeń tej Rady oddano przewodnictwo polskiemu ministrowi spraw zagranicznych.



Medal wybity na pamiątkę
przyjęcia Polski do Ligi Narodów

DODATKI

A) do ustępu 15

Tekst przysięgi Tadeusza Kościuszki, ogłoszonej na krakowskim rynku dnia 24 marca r. 1794.

„Ja, Tadeusz Kościuszko, przysięgam w obliczu Boga całemu Narodowi Polskiemu, iż powierzonej mi władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyję, lecz jedynie jej dla obrony całości granic, odzyskania samowładności Narodu i ugruntowania powszechnej wolności używać będę. Tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna Męka Syna Jego“.

B) do ustępu 20

Odezwa generała Jana Henryka Dąbrowskiego, wydana w Medjolanie, 20 stycznia r. 1797.

„Do współobywateli!

Wierny ojczyźnie mojej, do ostatniego momentu walczyłem za jej wolność pod nieśmiertelnym Kościuszką. Upadła ona pod przemocą i nie zostaje nam jak pocieszające wspomnienie, żeśmy krew przelewali za ziemię przodków naszych, żeśmy widzieli nasze chorągwie zwycięskie pod Dubienką, Raclawicami, Warszawą i Wilnem.

Polacy! Nadzieja powstaje! Francja zwycięża! Ona się bije za sprawę narodów. Starajmy się osłabić jej nieprzyjaciół! Francja pozwala nam schronienia; czekając lepszych losów dla kraju naszego idźmy pod jej chorągwie. Te są oznakiem (znakiem) honoru i zwycięstwa! Legjony polskie formują się we Włoszech na tej ziemi, niegdyś świątyni wolności. Już oficerowie i żołnierze, towarzysze trudów waszych i męstwa, są ze mną, już się bataljony formują, przybywajcie koledzy, rzucajcie

broń, którą was nosić przymuszono! Bijmy się za sprawę wspólną wszystkich narodów, za wolność, pod walecznym Bonaparte, zwycięzcą Włoch! Triumfy Rzeczypospolitej Francuskiej są naszą jedyną nadzieją, za jej pomocą i jej aliantów (sprzymierzeńców) może zobaczymy jeszcze domy nasze, któreśmy z rozrzewnieniem porzucili.

W kwaterze głównej w Medjolanie dnia 1 pluviose (plujwios) roku 5 Rzplitej Francuskiej jednej i nierozdzielnej.

Generał lieutenant (porucznik) polski Jan Dąbrowski.“

Data odezwy (20 stycznia 1797) wyrażona według ówczesnego francuskiego kalendarza; pluviose był miesiącem odpowiadającym dniom od 20 stycznia do 9 lutego.

Ziemię włoską zwie generał Dąbrowski dawną „świątynią wolności“; tam bowiem w starożytności stworzyli Rzymianie republikę, którą rządził wspólnie senat i lud rzymski.

Odezwa była skierowana do Polaków z zaborów austriackich, którzy służyli w austriackiej armji we Włoszech; generał wzywa ich, by porzucili chorągwie zaborcy i przechodzili pod własny sztandar polskich legjonów.

C) do ustępu 20

Mazurek Dąbrowskiego (napisał Józef Wybicki)

Jeszcze Polska nie umarła,
kiedy my żyjemy;
co nam obca moc wydarła,
szablą odbijemy.

Marsz, marsz, Dąbrowski,
do Polski z ziemi włoskiej!
za Twoim przewodem
złączym się z narodem.

Tak Czarniecki do Poznania
wracił się przez morze
dla ojczyzny ratowania
po szwedzkim rozbiorze (zalewie).

Marsz, marsz, Dąbrowski i t. d.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
będziem Polakami!
dał nam przykład Bonaparte
jak zwyciężać mamy.

Marsz, marsz, Dąbrowski i t. d.

Niemiec, Moskal nie osiedzie, (w Polsce)
gdy jawnszy pałasza,
hasłem wszystkich zgoda będzie
i Ojczyzna nasza.

Marsz, marsz, Dąbrowski i t. d.

Już tam ojciec do swej Basi (w kraju —
[w Polsce]
mówi zapłakany:
„Słuchaj jeno, pono nasi
biją w tarabany.“

Marsz, marsz, Dąbrowski i t. d.

Na to wszystkich jedne głosy: (zgodne
[głosy rodaków w kraju]
„Dosyc tej niewoli!
Mamy Racławickie kosy,
Kościuszkę Bóg pozwoli!“

Marsz, marsz, Dąbrowski i t. d.

D) do ustępu 66

„My, I Brygada“.

Bohaterne, choć dumne były myśli Tadeusza Biernackiego, legionisty I brygady, kiedy po jej rozbrojeniu jechał razem z kolegami pod eskortą Niemców do obozu jeńców, do Berezypiórna pod Kaliszem. Koniec I brygady, koniec legionów. Naprzód wołały one do rodaków: Dajcie nam siebie samych, pójdźcie wazysacy na orężną walkę o wolność Ojczyzny! Jakże niewiele tylko usłuchało wezwania! Jakże często odpowiadano na wołanie tak, jak na prośbę natrętnego żebraka:

jałmużną t. j. nieznacznym datkiem na Polski Skarb Wojskowy! A zgoła nie żebraczą dumę miały legjony, butna brać strzelecka; z królewską bowiem hojnością ofiarowała ona wszystko, swój często wygodny byt, życie w dostatku, które rzuciła na stos, na spalenie, jako ofiarę dla Ojczyzny.

A potem tyle cierpień, tyle przelanej krwi. „Naprawdę! — mówiono nieraz legjonowej braci w kraju — jesteście narzędziem w ręku Niemców. Otumanili was, bijecie się dla ich korzyści!” — Ale legjony, samotne, mała garstka, rzucona między bezlik wrogów, ze swym ukochanym Wodzem na czele, nie wpadały w zwątpienie: wierzyły bowiem w cel, do którego dążyły, w niedaleką już wolność Ojczyzny.

Te to myśli włożył Tadeusz Biernacki w parę zwrotek pieśni, śpiewanej na nutę marsza, który I brygadzie wygrywała wojskowa muzyka w czasach zimowych bojów pierwszego roku wojny. Ale później, kiedy zbliżała się nieuchronna klęska Niemiec i w Polsce zaczęto coraz powszechniej żałować legjonów i wysławiać ich czyny — wtedy w obozie w Szczypiornie powstały dwie ostatnie zwrotki tej pieśni; końcową nazwał Komendant „najdumniejszą pieśnią, jaką kiedykolwiek Polska stworzyła.“

„My I Brygada“.

Legjony — to żebracza nuta,
Legjony — to ofiarny stos,
Legjony — to żołnierska buta,
Legjony — to straceńców los.

My, Pierwsza Brygada,
Strzelecka gromada,
Na stos rzuciliśmy
Swoją życia los —
Na stos — na stos!

O, ile męk, ile cierpienia,
O, ile krwi, przelanych łez!
Pomimo to — niema zwątpienia,
Dodawał sił — wędrówki kres!

My, Pierwsza Brygada i t. d.

Krzyczeli, żeśmy stumanieni,
 Nie wierząc nam, że chcecie — to móc!
 Leliśmy krew osamotnieni,
 A z nami był nasz drogi Wódz!

My, Pierwsza Brygada i t. d.

Inaczej się dziś zapatrują
 I trafić chcą do naszych dusz
 I mówią, że już nas szanują —
 Lecz właśnie czas odwetu już!

My, Pierwsza Brygada i t. d.

Nie chcemy już od was uznania,
 Ni waszych mów, ni waszych łez!
 Skończyły się dni kołatania
 Do waszych serc — do waszych kies!

My, Pierwsza Brygada i t. d.

E) Polski Hymn:

„Boże, Coś Polskę“...

Boże, Coś Polskę przez tak długie wieki
 otaczał blaskiem potęgi i cniwały,
 coś ją osłaniał tarczą Swej opieki
 od nieszczęść, które przygnębić ją miały,

Przed Twe ołtarze i t. d.

Ojczyźnie naszej pobłogosław Panie!

Ty, któryś potem tknięty jej upadkiem
 Wspierał walczących za najświętszą sprawę,
 A chcąc świat cały mieć jej męstwa świadkiem,
 W nieszczęściach samych pomnażał jej sławę

Przed Twe ołtarze i t. d.

Wróć nowej Polsce świetność starożytną,
 Użyźniaj pola, spustoszone łąny;
 Niech szczęście, pokój na wieki w niej kwitną,
 Poprzestań karać, Boże zagniewany!

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:

Nasz hymn państwowy „Boże, coś Polskę“ napisał poeta Alojzy Feliński na początku panowania Aleksandra I, jako króla polskiego. Od tego czasu brzmienie hymnu zostało zmienione.

W pierwszej zwrotce wiersz 3 i 4-ty brzmiały, zgodnie z tekstem Felińskiego:

„I tarczą swojej zasłaniał opieki“
Od nieszczęść, które przywalić ją miały“ —

a nie, jak dziś śpiewamy:

„Coś ją osłaniał tarczą swej opieki“
Od nieszczęść, które przygnębić ją miały.“

Zmienił się także, i nawet dwa razy, refren, (dwuwiersz, powtarzany po każdej zwrotce). Feliński napisał:

„Naszego króla zachowaj nam, Panie!“

— po powstaniu listopadowym, przez długi czas niewoli zamiast tych słów wkładano w hymn Felińskiego:

„Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić, Panie!“
— a wreszcie, od czasów zmartwychwstania Państwa Polskiego, śpiewamy:

„Ojczyźnie naszej pobłogosław Panie!“

W drugiej zwrotce spotykamy niewielkie zmiany w wierszach 2, 3 i 4-tym. Zamiast:

„Wspierał walczącą za najświętszą sprawę“ — jak pisał Feliński, śpiewamy:

„Wspierał walczących...“ — zamiast:

„I chcąc świat cały mieć jej męstwa świadkiem“ — śpiewamy dziś:

„A chcąc świat cały mieć ich męstwa świadkiem“ — wreszcie zamiast:

„Wśród samych nieszczęść pomnożył jej [sławę“

tekst dzisiejszy hymnu brzmi:

„W nieszczęściach samych pomnażał jej [sławę“.

Najwięcej zmieniona została zwrotka ostatnia; prócz pierwszego wiersza brzmi ona zupełnie inaczej, niż w hymnie Felińskiego, w którym czytamy:

„Wróć nowej Polsce (Feliński miał na myśli Królestwo Kon-
 [gresowe) świetność starożytną
 I spraw, niech pod nim szczęśliwą zostanie!
 [(pod królem, o którym mowa w refrenie)
 Niech sprzyjażnione dwa narody kwitną (Pol-
 [ska i Rosja)
 I błogosławią jego panowanie.



TREŚĆ

	Strona
1. Oplakane czasy	3
2. Światło wśród mroków	7
3. Szkoła Rycerska J. Kr. Mości i Rzplitej	10
4. O Tadeuszu Rejtanie	13
5. Bohaterowie dwu światów	16
6. O Komisji Edukacji Narodowej	19
7. Czwartkowe obiady	22
8. O Stanisławowskich siedzibach i stolicy	24
9. Jak ks. referendarz urządził swoje państwo	28
10. O „wielkim piecu“ pana Podkanclerzego	31
11. O Sejmie czteroletnim	33
12. O Julianie Ursynie Niemcewiczu	36
13. O Konstytucji 3 Maja	39
14. Nowy grom	41
15. Krakowscy chłopci zdobywają armaty	44
16. Jak Kiliński pomógł wyrzucić Moskali z Warszawy	48
17. Jak Kościuszko tworzył zbrojną siłę	51
18. O Maciejowicach i trzecim rozbiórze Polski	54
19. Napoleon Bonaparte	57
20. Jeszcze Polska nie zginęła	59
21. O żołnierzu tułaczu	62
22. O Księstwie Warszawskim	64
23. Jak Księżę Józef bił Austryjaków	67
24. O roku 1812	70
25. O bitwie narodów	73
26. O Puławach	76
27. O Tadeuszu Czackim i krzemienieckiem liceum	79
28. O wielkim przemyśle i robotniczym stanie	81
29. Jak powstał Żyrardów	84
30. O wielkim synu małego miasteczka	87
31. Czego świadkiem był plac Saski za czasów W. Księcia	90
32. O Filomatach	92
33. O Walerjanie Łukasińskim	95
34. Jak listopadowa noc uwolniła Królestwo od Moskali	98
35. Grochów	100
36. O Prądyńskim i zwycięstwie pod Iganiami	104
37. O Emilji Plater	107
38. O obronie Woli	109
39. O Adamie Mickiewiczu	112

	Strona
40. O Fryderyku Szopenie	114
41. O więźniach moabickich	117
42. O wiosnie ludów	120
43. Krwawa manifestacja	123
44. O nocy styczniowej	126
45. Manifest Tymczasowego Rządu Narodowego	128
46. Bitwa w lesie	131
47. Tajny dyktator	133
48. O nafcie	136
49. Czarne diamenty	140
50. Łódź	143
51. O śląskim ludzie i o Karolu Miarce	145
52. Gdzie chłop polski szukał ziemi	148
53. Za chlebem	152
54. Wóz Drzymały	155
55. Walka o duszę narodu	158
56. O Janie Matejce	161
57. O Henryku Sienkiewicz i Bolesławie Prusie	164
58. O Stanisławie Wyspiańskim	167
59. Młodość Józefa Piłsudskiego	169
60. Do broni!	172
61. Wybuch wojny światowej	175
62. Głos złotego rogu	178
63. Wśród karpackich wierchów	181
64. Wśród mokradel Wołynia	184
65. Nad Stochodem	188
66. O Polskiej Organizacji Wojskowej	190
67. Polskie wojska na obczyźnie	194
68. Zmartwychwstanie	197
69. Walki o dzielnice kresowe	200
70. O pierwszym Naczelniku Niepodległej Rzeczypospolitej	204
71. Rok 1920	207
72. O granicach Polski i jej sąsiadach	211
73. O urządzeniach Rzeczypospolitej	214
74. O Prezydencie Rzeczypospolitej	217
75. Odbudowa Polski. Gdynia	221
76. Polska a inne państwa świata	224

Dodatki:

- A) do ustępu 15: Tekst przysięgi Tadeusza Kościuszki, ogłoszonej na krakowskim rynku dnia 24 marca r. 1794 227
- B) do ustępu 20: Odezwa generała Jana Henryka Dąbrowskiego, wydana w Medjolanie, 20 stycznia r. 1797 227
- C) do ustępu 20: Mazurek Dąbrowskiego 228
- D) do ustępu 66: „My, I Brygada“ 229
- E) Polski Hymn: „Boże, coś Polskę“ 231

SPIS RYCIN

	Strona
1. Obrady sejmu	4
2. Król August II	5
3. Stroje francuskie	6
4. Scena z życia za Sasów	7
5. Kolegjum nobilium	7
6. Medal na cześć ks. Konarskiego	10
7. Mundur kadecki	12
8. Rejtan (obraz Jana Matejki)	14
9. Popiersie Jerzego Waszyngtona	16
10. Kazimierz Pułaski	18
11. Ks. Grzegorz Piramowicz	21
12. Król Stanisław August (portret Bacciarellego)	22
13. Sala balowa na Zamku Warszawskim	26
14. Łazienki. Widok zewnętrzny	27
15. Łazienki. Sala Salomona	28
16. Wielki piec w Antoninowie	32
17. Stanisław Małachowski	34
18. Julian Ursyn Niemcewicz	37
19. Ogłoszenie Konstytucji 3 Maja (fragment obrazu Jana Matejki)	41
20. Ks. Józef Poniatowski.	42
21. Tadeusz Kościuszko	45
22. Bitwa pod Racławicami (fragment obrazu Al. Orłowskiego)	47
23. Lud pod wodzą Kilińskiego walczy na ulicach Warszawy	50
24. Mundury żołnierzy kościuszkowskich	52
25. Pojmanie rannego Kościuszki (rysunek J. Norblina)	56
26. Napoleon Bonaparte	57
27. Jan Henryk Dąbrowski	60
28. Mundury legjonistów	63
29. Fryderyk August	66
30. Bitwa pod Raszynem (obraz J. Suchodolskiego)	68
31. Odwrót armji Napoleona (przejście przez Wilno)	72
32. Śmierć ks. Józefa Poniatowskiego (fragment obrazu J. Suchodolskiego)	75
33. Pałac w Puławach (rycina współczesna)	77
34. Świątynia Sybilli (rycina współczesna)	78
35. Popiersie Tadeusza Czackiego	80

	Strona
36. Pociąg z lokomotywą Stephensona	82
37. Maszyna systemu Jacquarda	83
38. Ksawery Drucki - Lubecki	85
39. Ks. Stanisław Staszic	87
40. Wielki Książę Konstanty	90
41. Uniwersytet wileński	93
42. Wywiezienie Walerjana Łukasińskiego	97
43. Piotr Wysocki	98
44. Napad na Belweder	99
45. Józef Chłopicki	101
46. Bitwa pod Olszynką Grochowską (obraz W. Kossaka)	103
47. Ignacy Prądzyński	104
48. Emilja Plater (rzeźba)	107
49. Śmierć generała J. Sowińskiego	111
50. Adam Mickiewicz	112
51. Fryderyk Szopen (płaskorzeźba)	115
52. Grupa więźniów z Moabitu	119
53. Uwolnienie więźniów w Krakowie w r. 1848	120
54. Manifestacja na ulicach Warszawy r. 1861	125
55. Bronisław Deskur	126
56. Pieczęć Rządu Narodowego	129
57. Mikołaj Heidenreich - Kruk	131
58. Romuald Traugutt	134
59. Powstańcy w bitwie	135
60. Ignacy Łukasiewicz	137
61. Widok Borysławia z wieżami wiertniczymi	139
62. Dobywanie węgla	141
63. Widok Łodzi	143
64. Karol Miarka	146
65. Osiedle polskie w Paranie	149
66. Budowa kościoła polskiego w Detroit	154
67. Wóz Drzymały	157
68. Obrona cerkwi (obraz Walerego Eljasza)	160
69. Stańczyk (obraz Jana Matejki)	162
70. Henryk Sienkiewicz	164
71. Bolesław Prus	166
72. Stanisław Wyspiański (autoportret)	167
73. Pochód na Sybir (obraz Artura Grottgera)	170
74. Józef Piłsudski jako uczeń	171
75. Przegląd oddziałów Strzelca w r. 1913 we Lwowie	174
76. Kościół w Wiślicy z czasów Kazimierza Wielkiego zniszczony przez działania wojenne	177
77. Józef Piłsudski	179
78. Orzełek legionowy	180
79. Oddział ułanów w marszu (przez J. Ryszkiewicza)	181
80. Granatnik	184

	Strona
81. Ka. bp. Bandurski zwiedza okopy nad Styrem	185
82. Odznaka I brygady	189
83. Komenda P. O. W. po ćwiczeniach w lesie pod Warszawą	192
84. Odznaka II brygady	194
85. Wojsko polskie na Murmaniu	195
86. Wręczenie sztandarów armji polskiej we Francji	196
87. Powrót Józefa Piłsudskiego 11 listopada r. 1918	199
88. Ignacy Paderewski	200
89. Z obrony cytadeli we Lwowie	201
90. Zmiana warty we Lwowie w r. 1918	202
91. Msza powstańców na Górnym Śląsku	203
92. Otwarcie pierwszego Sejmu Niepodległej Polski	205
93. Walka przy użyciu czołgów	210
94. Gmach Sejmu	215
95. Gmach Rady Ministrów	216
96. Prezydent Ignacy Mościcki	218
97. Zamek królewski	219
98. Gdynia, basen portowy i łuszcarnia ryżu	223
99. Ogólny widok Gdyni	223
100. Medal wybity na pamiątkę przyjęcia Polski do Ligi Narodów	226

SPIS PLANÓW I MAP

1. Atlantycki brzeg Stanów Zjednoczonych Ameryki półn. (w tekście)	17
2. Plan bitwy pod Dubienką (w tekście)	43
3. Plan bitwy pod Racławicami (w tekście)	46
4. Plan bitwy pod Maciejowicami (w tekście)	55
5. Plan bitwy pod Raszynem (w tekście)	69
6. Plan bitwy pod Grochowem (w tekście)	102
7. Plan bitwy pod Iganiami (w tekście)	105
8. Plan fortyfikacyj Warszawy r. 1831 (okopy wolskie) (w tekście)	109
9. Plan Krakowa w r. 1848 (w tekście)	122
10. Plan bitwy pod Warszawą (w tekście)	209
11. Mapa 1-go rozbioru Polski	tab. 1
12. Mapa 2 i 3-go rozbioru Polski	tab. 2
13. Mapa Północnych Włoch	tab. 3
14. Mapa Księstwa Warszawskiego	tab. 3
15. Mapa Europy w roku 1812	tab. 4
16. Mapa Ziemi polskich od r. 1815—1918	tab. 5
17. Plan Warszawy od r. 1794—1830	tab. 6
18. Mapa Europy przed wybuchem wojny w r. 1914	tab. 7
19. Rzeczpospolita Polska	tab. 8

Wyższej Szkoły Pedagog.

W KRAKOWIE



TABLICA 8.



Course 031

listopadow

o sy dei
wojny 2



UP - Kraków BG



1050305570